

LUDWIK MIĘDZYBORSKI

MIŁOŚĆ W DOMU OBŁĄKANYCH

Po raz pierwszy ujrzałem Inkę w połowie czerwca, kiedy to odrywające się od gałęzi topoli pyłki urządziły na ulicach straszliwą zadymkę. Każdy podmuch wiatru powodował, iż odrywały się one od swych miejsc postoju i atakowały przechodniów. Alergicy przeżywali piekło. Chrypieli, dusili się, tarli obrzmiałe powieki, wlewali do nozdrzy wszelakiej maści krople, brali zwolnienia od lekarzy i przesiadywali w domu nie otwierając ani okien, ani drzwi. Reagowałem podobnie, jak inni. Połykałem pyłki, walczyłem z dusznością i przyspieszałem kroku, aby zbiec z miejsc, w których było ich najwięcej. Jako alergik od urodzenia nosiłem ze sobą zarówno krople do oczu, jak i tabletki efedryny, których nie znosiłem, z uwagi na ich działanie uboczne. Likwidowały duszność, to fakt, ale wywoływały jednocześnie rozdrażnienie, zawroty głowy i drżenie palców.

Z niepokojem myślałem o obchodzie: po efedrynie wyglądałem tak, jak narkoman po zażyciu niepełnej porcji kompotu. Dziś wyruszyłem do szpitala w ciemnych okularach i z szalikiem zarzuconym na nos i usta. Ujrzawszy znajome ogrodzenie odetchnąłem. Tu nie było topoli, mogłem oddychać swobodnie. Przekroczyłem bramę i ujrzałem przed sobą pawilon interny. Był to corocznie remontowany budynek, nad którym wisiał portret wiernego syna partii, towarzysza Bieruta, obok zaś podniszczony, wyblakły napis: *Pracujemy metodą Szyszymirowa i Zawiałowa*, co oznaczało, że budowlani przyswoili sobie kolejną, znakomitą i niepowtarzalną metodę obowiązującą w całym obozie socjalizmu.

W końcu korytarza jakiś nieogolony troglodyta wygrażał włochatą łapą parszywym imperialistom, zaś zaraz po nim białe literki na czerwonym tle nakazywały *równać wzwyż do Komsomołu* oraz *ujawniać zdrajców i wrogów ludu*.

Przyspieszyłem kroku: pomyślałem, że jeśli się spóźnię, doktor Bolek, starszy asystent, będzie wściekły. Do moich obowiązków należało zebrać wywiady od chorych, zlecić badania dodatkowe, podać wstępną diagnozę i skonsultować ją z Botkiem. Ten omawiał ją z adiunktem, który szedł następnie do ordynatora, czyli szefa, zwanego także Fredem lub tancerzem, a to z uwagi na swoje niezwykle podobieństwo do Freda Astaire'a. Oba przezwiska nadano mu jeszcze przed wojną, ale ordynator z nimi nie walczył. Przeciwnie, zachowywał się tak, jak gdyby sprawiały mu przyjemność. Niektórzy twierdzili, że działo się tak dlatego, iż Fred był w latach trzydziestych w Stanach i wspominał z rozrzewnieniem filmy z gwiazdami tańca, muzyki i śpiewu amerykańskiego. Mówił o tamtym okresie bardzo często i wszyscy wyczuwali, że przeżył tam najmiłsze lata swego życia i że obecną atmosferę podejrzliwości, donosicielstwa i zakłamania znosi z ogromnym trudem.

Ostatnio zaczął napomykać o odejściu, co podporządkowani mu pracownicy przyjmowali jako wyraz swoistej kokieterii tudzież dopominania się o komplementy. W trakcie ostatniego obchodu dwukrotnie wspomniał, iż „idą wydarzenia, na które nie posiadamy wpływu” oraz, że „nastąpią zmiany niezależne od niego”, a na końcu rzekł, iż chciałby wrócić do „tamtych” lat, a że jest to niemożliwe, więc będzie „łowić ryby albo pisał grypsy”. Nikt z nas nie rozumiał wymowy tych słów. Sądziliśmy, że szefa ogarnęła depresja, jako że jego ulubiona asystentka wyjechała na staż do Czechosłowacji. Już wkrótce mieliśmy się przekonać, że sprawa była znacznie poważniejsza.

Dziś prowadził obchód szybko, niecierpliwie, z jego twarzy nie zniknął wyraz smutku i zamyślenia. Był duchem nieobecny. Potem pożegnał się

spiesznie i gdzieś odjechał służbowym samochodem.

Wyszedłem na korytarz i tu znów opadły mnie tumany pyłków. Ktoś otworzył okna i wiatr sprawił, iż znalazłem się jak w puchu. Walcząc z przeklętym nalotem ruszyłem ku wyjściu i wtedy to właśnie ujrzałem na schodach ubraną w biały fartuch jasnooką blondynkę przypominającą swym wyglądem jedną z amantek przedwojennego filmu polskiego zatytułowanego „Zapomniana melodia”. Oglądałem ten film w roku czterdziestym dziewiątym, ale wkrótce go zdjęto i więcej nie pokazywano. Zapamiętałem jedynie, że aktorka, która wywarła na mnie takie wrażenie była jasnooka, zgrabna, sexy i świetnie tańczyła. Mówiono na nią „pastelowa”.

Nieznajoma, którą dostrzegłem przez ułamek sekundy na schodach, przypominała „żywcem” tamtą. Była równie zgrabna, zwiewna, pastelowa i także sexy. Zbiegłem po schodach na drugie piętro, potem na pierwsze, wreszcie na parter, ale nigdzie jej nie było. Postanowiłem udać się do pani Uli. Tylko ona mogła mi pomóc.

Pani Ula zajmowała w szpitalu oraz w przychodni przyszpitalnej miejsce szczególne. Była kierowniczką rejestratorek, ale zachowywała się tak, jak gdyby była właścicielką całej firmy. Była przeraźliwie otyła, miała potężny biust oraz niesłychanie silny głos, który niósł się po wszystkich korytarzach. Stąd też brały się przezwiska, którymi ją obdarzano: „Voice of przychodnia”, lub „voce di przychodnia”, czy wreszcie „Głosowata”.

Pani Ula była jednym wielkim, niepowtarzalnym uchem, ośrodkiem opiniotwórczym, skarbnicą wiedzy zarówno o wszystkich pracownikach przychodni, jak i o korzystających z ich usług pacjentkach i pacjentach. Wiedziała zatem, która z pacjentek sypia z chirurgiem, który miał volvo,

zwane ruchomym burdelikiem, który z ginekologów włąził przed skrobanką na pacjentkę, mówiąc – i tak za chwilę wszystko wyleci, który z internistów lubił od tyłu, a który po francusku, która z rejestratorek latała za okulistą, która z położnych wołała palcówki od prawdziwego „patafiana”, kto był wreszcie prawdziwym chłopem, a kto nędznym zwisem, która matką-dziewicą, a która znanym kurwiszonem i tak dalej, i tak dalej.

Wiadomo było, że każdy stażysta i początkujący doktorek musiał ją załatwić, w przeciwnym bowiem razie jego staż i przyszła praca będzie mocno zagrożona. Dopadała z reguły owych „chłopców” w kabinie pod prysznicem, gdzie wchodziła rozebrana, mówiąc:

– No, to synku, do roboty!

Fama głosiła, że jeden się tylko oparł i po raz pierwszy pani Ula poniosła sromotną klęskę. A było ponoć tak: kiedy weszła rozebrana do kabiny, goły, lekko jękający się adept przyjrzał jej się krytycznie i rzekł, że on uznaje tylko po szwedzku.

– No, to róbmy po szwedzku – zareplikowała pani Ula.

– Nie możemy – odrzekł stażysta.

– Dlaczego?

– Bo nie mamy koniecznych utensyliów i niezbędnych imponderabiliów.

– Czego? – zapytała ze zdumieniem pani Ula. – Utensyliów i impoderabiliów? Co to jest i o co chodzi?

– Och – rzekł tonem obrażonej godności stażysta. – To ja mam panią uczyć? Wynocha!

Pani Ula biegała potem po wszystkich piętrach przychodni, aby

dowiedzieć się od najwytrawniejszych ekspertów w tej materii, jak to jest „po szwedzku” i co to są potrzebne w tej materii „utensylia” i „imponderabilia”. Była niepokieszona, albowiem nikt nie potrafił udzielić jej właściwej odpowiedzi.

Udałem się zatem do pani Uli, która zobaczywszy mnie, podniosła się szybko i z otwartymi ramionami ruszyła ku mnie, niczym uradowana słońca. Po chwili znalazłem się pomiędzy jej ogromnymi piersiami, wciskany w ową czeluść dwiema potężnymi łapami.

– Witaj, synku – mówiła, oddychając z trudem. – Witaj, kochany.

Po jej nalanej i spoconej twarzy spływały kropelki potu. Chwytała powietrze, jak ryba wyrzucona na brzeg rzeki.

– Kogo szukasz? – zapytała. – Za kim się oglądasz?

– Szukam blondynki – powiedziałem, z trudem oswobadzając się z jej objęć. – Pastelowej blondynki. Mignęła mi na schodach – dodałem. – I gdzieś znikła.

– Szuka pan blondynki? – powtórzyła pani Ula. – Pastelowej blondynki? – Pani Ula wyduła górną wargę, na której znajdowało się kilka grubych, czarnych włosów. – Ach – jej twarz zmarszczył nagły skurcz niechęci. – Że też każdemu pacanowi do tego kurwiszona odbija! – wrzasnęła nagle. – To Inka! – wykrzyknęła nieco ciszej. – Ładna, bo ładna, ale niech pan z nią nie zaczyna, bo zrobi z pana takiego dudka, że się pan nigdy nie pozbiera.

Znów zaczęła sapać i łapać powietrze ustami, jak zdychający karp, ja zaś zacząłem się zastanawiać, co jest powodem jej krótkiego oddechu: czy pyłki topoli, czy zwykłe rudymentarne seksualne podniecenie.

– Ona wyjechała – rzekła wreszcie – na dwa tygodnie, za granicę –

dodała chrapliwie, po czym spojrzała na zegarek i ryknęła – o rany!

Muszę wyjść! Jutro – zawołała w drzwiach. – Przyjdź do mnie jutro, to wszystko ci opowiem! Cześć!

– Cześć – odkrzyknąłem i wróciłem do swego gabinetu. Nazajutrz udałem się do pani Uli z potężną paczką ciastek, które moja rozmówczyni przyjęła bardzo serdecznie.

– Uwielbiam pączki – rzekła, kończąc piąty z rzędu. – I to takie, jak te, z potężnym lukrem na powierzchni ciasta. Więc co chcesz wiedzieć? – zapytała, sięgając po szósty. – Jak się pastelowa madonna ciupcia?

– Hm – odparłem – to też. Ale byłoby mi miło, gdybym dowiedział się czegoś o jej osobowości, cechach charakteru. Jaka jest – plątałem się. – I w ogóle.

Pani Ula wybuchnęła śmiechem.

– Tak w ogóle i w szczególności – przerwała mi, rechocąc. – Zawsze synku nawijasz, prawdziwa twoja inteligencka mac, a tu prawda jest prosta i wcale nieskomplikowana. Dość ciastek – zdecydowała władczo. – Teraz mówię o Ince.

I jęła „malować” obraz mojej nieznanym blondynki. Pani Ula nie byłaby panią Ulą, gdyby w tym „malunku” nie dominowały sprawy męsko-damskie.

I tak, będąc studentką żyła na kocią łapę z jakimś facetem, który wyjechał za granicę. Słał jej pieniądze i wszelkie zachodnie dobra, ale ona nie chciała do niego wyjechać. Za to sypiała z nim, kiedy tu przyjeżdżał, mimo że miała już w tym czasie „na stałe” pewnego adiunkta, który jej ułatwiał zdawanie egzaminów, była bowiem tępą, jak kolek u nogi stołowej.

Kolejnym panem, poza oczywiście „kolegami”, docentami i wykładowcami był niemiecki profesor, który po pierwszym spotkaniu zaprosił ją na Majorkę. Inka z zaproszenia skorzystała i przy okazji, za jego pieniądze rzecz jasna, zwiedziła Francję i Szwajcarię. Po powrocie z podróży profesora odwieziono do sanatorium na kurację męskości, jako że Inka była wymagalna, jemu zaś kuśka nie stawała, jak należy.

Wkrótce potem Inka wyruszyła statkiem na wycieczkę wokół Afryki. Miała powodzenie, dobijali się do jej kajuty marynarze, współtowarzysze podróży, każdy chłop, który ją zobaczył biegł na przełaj, aby dotrzeć do jej łóżka.

– A dotarł wie pan, kto? Nigdy pan nie zgadnie. – Pani Ula wydeła swą górną wargę, potem parokrotnie powtórzyła z głębokim przeświadczeniem, iż nie zgadnę, kto ją zerznął.

– A zerznął ją facet, który dzień i noc nosił przy sobie parasol. Co prawda nie był to taki sobie, zwyczajny parasol. Był to parasol ze srebrnymi okuciami, ornamentami po bokach i stanowił jego rodową pamiątkę po dziadkach.

Pewnego dnia, kiedy w jednym z portów afrykańskich wychodzili po schodkach na wybrzeże, facet zawołał:

– Ach, Inko, Inko, kiedy będziesz moja, na co ona odparła:

– Jak wyrzucisz parasol do morza.

Zanim Inka dokończyła wypowiedzi, jej polecenie zostało spełnione. Wieloletnia, skrzętnie i troskliwie przechowywana przez rodzinę faceta pamiątka znalazła się w nurtach wody.

Pani Ula westchnęła.

– Tego samego wieczora Inka wpuściła go do swej kajuty. – Pani Ula

westchnęła donośniej. – Co się tam działo, może pan sobie tylko wyobrazić. W efekcie zaszła w ciążę i zgłosiła się do ginekologa, męża koleżanki, który rzekł:

– Mała, zrobię ci skrobankę, ale wpierw do łóżka. Inka przystała, ginekolog ją zerznął, potem wyskrobał, a na koniec zaproponował wspólny wyjazd do Paryża, dokąd jechał na kongres. Ponieważ biegał za nią jak oszalały, więc mu skrócono pobyt, ona zaś została. Sama była pół wieczoru. Potem poderwał ją jakiś Francuz, który zmył się po wydaniu ogromnej sumy pieniędzy na przyjęcia, bale i dyskoteki. Na koniec dał jej na samolot i Inka znalazła się z powrotem w Warszawie.

Słuchając pani Uli zastanawiałem się wielokrotnie, skąd ona o tym wie? Czy Inka zwierzyła jej się ze swych najintymniejszych doznań sama, czy też zebrała informacje od wszystkich, którzy ją znali? Tak, czy owak, lubiłem rozmawiać z panią Ulą o Ince, wysłuchiwałem z chęcią jej długich opowieści na temat Inki i jej wyczynów erotycznych, w czym pani Ula lubowała się szczególnie.

– Czy pan wie – zapytała kiedyś podekscytowanym tonem – jak ona go załatwiła?

– Kogo? – zapytałem.

– Lucjana, swego męża!

– To ona jest mężatką? – teraz mój głos był pełen ekscytacji.

– A widzi pan, nie mówiłam? – pani Ula zarechotała z satysfakcją. – Jest pan nią zainteresowany! – Tak – wykrzyknęła – zainteresowany! Niech pan słucha – złądziła nagle ton swego głosu.

– To było tak: – Odwiedziła gb wieczorem pod pretekstem zbierania materiałów do jakiejś socjologicznej ankiety. Lucuś podjął ją kawą i

koniakiem, potem oglądali telewizję, wreszcie przenieśli się na kanapę i tam pozostali do rana. Nazajutrz przyszła doń ponownie i znów u niego została. Luckowi odpowiadały jej karesy, niby to przypadkiem przez nią wspólnie odkrywane i chciał je praktykować codziennie. Bał trwał dwa miesiące, potem Lucusiowi zbrzydło, wielbił bowiem swój głęboki fotel, kieliszek koniaku, ciepłe bambosze oraz święty spokój. Nie zamierzał wiązać się z nikim, dziewczyny traktował instrumentalnie, myśl o ożenku przyprawiała go o mdłości.

A tymczasem Inka ani myślała o opuszczeniu willi. Miała klucze, przychodziła, Lucuś zamykał się na piętrze, Ince pozostawiał tak zwaną stróżówkę. Pewnego dnia Lucuś zmienił klucze do drzwi wejściowych. Inka spędziła noc na schodach, krzycząc, płacząc i złorzecząc, aż wreszcie nad ranem sprowadziła sąsiadów, prosząc ich o pomoc. Sąsiedzi nie mieli chęci na jakiegokolwiek awantury i zaczęli się wycofywać. Na polu bitwy zostały dwie osiemdziesięcioletnie tercjanki, które ostro ruszyły na „bezecnika”, który najpierw dziewczynę wykorzystał, a potem miast się żenić, wyrzucił na bruk. Lucjan chciał je przepędzić, ale mu zagroziły skargą w miejscu pracy i w sądzie, albowiem były świadkami ich współżycia, tak się bowiem dziwnie złożyło, że ich okna wychodziły na okno sypialni pana Lucjana i przypadkowo, ale to zupełnie przypadkowo, widziały, jak intensywnie i za pomocą jakich metod żyli ze sobą.

Na takie dictum Lucjan wpadł w panikę i wpuścił wszystkie trzy do mieszkania. Teraz tercjanki zażądały, aby udowodnił im teraz, zaraz, że ją kocha.

– Przy was? – zapytał coraz bardziej przerażony Lucjan.

– Tak – wrzasnęły tercjanki. – Teraz, zaraz, przy nas!

– I wie pan, co się stało? Lucjan uległ, rozebrał Inkę, sam zrobił to samo i przystąpił do akcji. Sądził, że raz, normalnie wystarczy, ale więdmy zaczęły dyrygować: teraz od tyłu, najeźdźca, po francusku i od nowa to samo. Kiedy nie miał już siły, tercjanki powiedziały:

– A teraz do ołtarza! I opuściły zachwycone sytuacją willę Lucusia.

Tego samego dnia wieczorem odbyła się narada, w której uczestniczyli: Inka, siostra Inki oraz ciocia Lucusia. Po długiej i burzliwej dyskusji zawarto układ zasadzający się na następujących przesłankach: osobą poszkodowaną jest Inka, albowiem będąc uczciwą, porządną dziewczyną zaufała niecnemu podrywaczowi, który, deklarując swe uczucia, zwabił ją do swego domu, tu wykorzystał, a wykorzystawszy, chciał wyrzucić nie licząc się z faktem, iż Inka, tak uczciwa i tak dobrze wychowana, nigdy nie zdobędzie męża z uwagi na stworzoną przez Lucusia „przeszłość”. Co można zatem uczynić? Jak Ince pomóc? Odpowiedź jest jedna: zawrzeć ślub cywilny, który wobec Kościoła nie ma znaczenia, ale pozwoli na zachowanie czci Inki.

– Co potem? – zapytał Lucuś.

– Potem – odrzekła słodkim i spokojnym tonem siostrzyczka Inki. – Potem to albo rozwód, albo ślub kościelny i dzieci. Wszystko może ulec zmianie, może pan Bóg natchnie obydwój, aby ziściła się ta ostatnia wersja!

Lucuś wysłuchał wszystkich argumentów z dużą atencją, potem zadecydował: ślub cywilny, a potem rozwód. Z tym, że Inka wyprowadzi się natychmiast po ślubie!

– Zgoda – powiedziała Inka. – Bierzmy ślub cywilny i zaraz potem rozwód. A po rozwodzie wynoszę się zaraz z twojej parszywej willi.

I na tym stanęło.

– Więc Inka jest rozwódką? – zapytałem.

– Skądże! – wrzasnęła pani Ula. – Mieszkają razem.

– Czyli to nieprawda, co pani mówiono – zakonkludowałem.

– Nie, to nie tak – rzekła w zamyśleniu pani Ula. – W tym coś jest. Lecz co? – Intensywność jej myślenia powodowała, iż na jej tłustych policzkach pojawiły się krople potu. Nagle pojaśniała i wrzasnęła ile sił w płucach:

– Wiem, wiem już wszystko! Odkryłam o co chodzi! I to dziś, teraz, tu, przy panu!

A po chwili, kiedy rozlatanie jej oczu nieco ustąpiło, stwierdziła mocnym, pełnym pewności tonem:

– Jej chodzi o dziecko!

– Jakie dziecko? – teraz ja podniosłem głos. – Ona nie ma dzieci!

– Ale chce mieć! – odkrzyknęła pani Ula. – I zobaczy pan, że je będzie miała.

– Z kim? Z Luciem? – pytałem, coraz bardziej zaskoczony.

– Z Luciem, doktorku, z Luciem. Tylko z nim.

– To rozvodu nie będzie?

– A nie będzie – rzekła niemal filuternie. – Będzie za to tak: zajdzie w ciążę i pewnikiem powie mu tak: stało się. Będę miała dziecko. Ale nic od ciebie nie chcę. Dam mu swoje nazwisko, wyprowadzę się i nie będę żądała alimentów. I znów zrobi go w konia, tak, jak robiła go dotąd...

To wszystko wiedziałem przed powrotem Inki do przychodni. Pewnego popołudnia pani Ula otworzyła na oścież drzwi do mego gabinetu, wprowadziła Inkę i pokazując mi ją nieco zbyt demonstracyjnie, rzekła:

– A to jest właśnie pani Inka.

– Dzień dobry panu, panie doktorze – rzekła Inka. – Cieszę się, że pana poznałam, tak wiele o panu słyszałam.

Miała jasne oczy i niski, gardłowy głos.

– Ja również wiele o pani słyszałem – odparłem.

Stałem wpatrując się w nią, jak urzeczony. Cały obraz namalowany przez panią Ulę, cała sylwetka złej, wyuzdanej i niemoralnej dziewczyny gdzieś znikła, rozplynęła się, jej miejsce zajął portret cudownej, bajecznej dziewczyny emanującej wdziękiem i seksem. Tak, seksem! To wyczuwałem w sposób bardzo intensywny i dogłębny. Była pastelowa. Właśnie pastelowa. To określenie pasowało najskładniej i najwierniej. Inne definicje nie odtwarzały rzeczywistości nawet w drobnym procencie. Patrzyłem na Inkę, pożerałem ją wzrokiem, aż wreszcie rzekłem:

– Musimy iść na kawę. Inka roześmiała się i zapytała:

– Czy my się znamy?

– Tak – odparłem z emfazą. – Znam cię od dawna.

Inka znów się roześmiała. Jej śmiech był lekko zduszony, jak gdyby ochrypły.

– Jeśli z opowiadań pani Uli – dodała. – To winszuję!

– Gdzieżby! – zaprzeczyłem – znaliśmy się już przedtem, dawno, w latach dzieciństwa. Spędzaliśmy wakacje nad jeziorem Narocz.

Nagle zamilkłem, zorientowawszy się, iż plotę bzdury. Inka była wyraźnie rozbawiona.

– Kapitalnie! – zawołała, – Podrywało mnie mnóstwo mężczyzn, ale żaden mi nie wmawiał, że się znamy od lat. – Jej oczy zwięzły się, jak szpareczki: – Ciekawe – powiedziała – Co mi pan teraz, jako swej starej

znajomej, zaproponuje?

– Proponuję kawę – odparłem. – Dziś. Zaraz.

– Już. Teraz – rzekła, naśladowując mój głos, Inka. – Cóż to – powiedziała z udanym gniewem – pali się? Wojna? Aresztowanie? Powiem ci sama, drogi doktorze, kiedy się spotkamy. A na razie pa, spieszę się, w pracowni na mnie czekają. Cześć!

– Cześć – odparłem i ruszyłem w milczeniu za Inką. Odprowadziłem ją pod drzwi pracowni, po czym powróciłem do siebie.

– Wpadłeś – powiedziała pani Ula.

– Wpadłem – odparłem.

– Przegrasz – dodała po chwili pani Ula.

– Trudno – odrzekłem. – Nie potrafię inaczej.

Odtąd, pod pretekstem przeprowadzania wspólnych badań socjologicznych, spotykaliśmy się coraz częściej. Rozmawialiśmy na korytarzu, w bibliotece, w gabinecie, w świetlicy szpitala, nigdy poza obrębem naszej placówki. Inka nie chciała umówić się ani na kawę, ani na wino, odrzucała również propozycje wyjazdu na spacer lub na plażę. Wyraźnie dbała o pozory. Pewnego dnia rzekłem:

– Inko, spotkaj się ze mną jak należy albo kończmy sprawę. Ja tak nie umiem. Nie potrafię.

Inka przyjrzała mi się z uwagą, po czym rzekła:

– W porządku. Ale pamiętaj: kiedy powiem dość, żeby nie było żadnych żalów ani lamentów. To jedyny warunek. Zgoda?

– Zgoda – odparłem. – Przyjmuję twój warunek. Kiedy powiesz dość, nie będzie ani żalów, ani lamentów.

– Oby! – Wykrzyknęła wesoło Inka, a potem podyktowała mi plan

scenariusza: – Jadę w sprawach kwestionariuszy socjologicznych do Krakowa. Ty masz w czwartek o dwunastej posiedzenie naukowe w szpitalu. Zamiast na posiedzenie, udasz się na lotnisko i przylecisz do Krakowa. Następnego dnia masz samolot o szóstej rano. Będziesz w przychodni przed ósmą. Nikt nie zauważy.

Jej precyzja i zdecydowanie mocno mnie zdumiały, ale zrobiłem, jak poleciła. Cóż... miała doświadczenie, o wszystkim pamiętała.

Przyjechałem do Krakowa około czwartej. Po przybyciu do hotelu zatelefonowałem z portierni do Inki, zaprosiłem ją na obiad. Zeszła po chwili, jasna, pastelowa, jak gdyby w seledynowej poświacie. Usiedliśmy w restauracji, zamówiłem jakąś pieczeń, wino, deser. Odzywałem się skąpo, myśląc o jednym, jak będzie w łóżku...

A w łóżku było cudownie. Inka wprowadziła mnie w świat pieśzcot i doznań, jakich przedtem nie znałem. Biorąc ją, krzychałem, że ją kocham, że chcę ją mieć na zawsze, że odbiorę ją Luciowi, że jest moja, tylko moja i że moją na zawsze pozostanie. Inka przyjmowała moje wyznania w milczeniu, wpatrując się we mnie swymi zielonkawo-szarymi oczami tak, jak gdyby moje słowa znała na pamięć i wiedziała, że padną, bo paść muszą.

Następnego dnia, zgodnie z umową, obudziła mnie o piątej, poleciła mi się ubrać i wyprowadziła z hotelu, grzecznie, ale stanowczo, mimo iż błagałem, aby pozwoliła mi zostać.

– Nie – odparła. – Na dziś koniec. Żegnaj.

Przyjechałem do przychodni w dziwnym nastroju. Byłem szczęśliwy, że ją zdobyłem, byłem nieszczęśliwy, że ją zostawiłem. Najchętniej powróciłbym do Krakowa, bez względu na następstwa. Kochałem Inkę,

chciałem z nią być, i to tylko się liczyło. O dziewiątej chwyciłem za słuchawkę, wykręciłem numer hotelu i poprosiłem o połączenie z pokojem Inki.

– Ach, to ty – usłyszałem po chwili głos mojej pastelowej madonny. – Wybacz, nie mogłam się wczoraj z tobą połączyć, miałam tyle zajęć. Acha – szczebiotała – twoja mama miała rację: pojedziemy na wakacje do Zakopanego, będzie fajnie. Dlaczego milczysz, Luc? Czy ty mnie słyszysz, Luc?

Stałem, jak walnięty obuchem. Inka wzięła mnie za Lucka. Najprawdopodobniej wpadłem w linię: zamówiła Warszawę, czekała na połączenie i kiedy jej powiedziano, że jest telefon, sądziła, że to jej mąż.

– Miłego urlopu w Zakopanem – powiedziałem wreszcie. – Czy mam pozdrowić Luca? – Następnie położyłem słuchawkę.

W dwa dni później do mego gabinetu weszła Inka.

– Przepraszam – powiedziała bez wstępu – pomyliłam się. Pomyślałam, że to Lucjan, a to byłeś ty. Proponuję, żebyśmy nigdy do tej sprawy nie wracali, zgoda?

– Zgoda – odrzekłem.

– Cieszę się – stwierdziła Inka i powróciła do swego gabinetu. Nazajutrz zaproponowałem, aby przyszła do mnie, to znaczy do mego małego mieszkania na Muranowie. O dziwo, przystała i w godzinę później rozbierała się w moim pokoju. Wydawało mi się przez moment, że lustruje moje M2 z niechęcią i pogardą, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia, albowiem miałem ją przed sobą nagą, zadowoloną, nie kryjącą radości z pieszczot i zachęcającą do nowych.

* * *

Urodziłem się na rozdrożu. Tak przynajmniej określałem okres mego dzieciństwa i wczesnej młodości. Byłem za młody, aby należeć do pokolenia Kolumbów, a w związku z tym należeć do AK i brać udział w Powstaniu Warszawskim, byłem za „stary”, aby w pełni zaakceptować ideologię ZMP oraz wierzyć w jakichś Korczaginów, skoro się wiedziało o Zośce i o Anodzie. Moja sytuacja była o tyle trudniejsza, że ojciec był oficerem AK, walczył w Śródmieściu, a następnie został internowany w oflagu w Murnau, w Górnej Bawarii.

Do roku 1945 nie mieliśmy o ojcu żadnej wiadomości. Aż oto w lipcu tegoż roku odwiedził nas pewien pan w cywilnym ubraniu, przyniósł trochę pieniędzy, dolarów oraz szynkę, czekolady, i rzekł: „ – To od kapitana Skiby” i poinformował moją mamę, iż „kapitan, tak, jak pozostali oficerowie oraz żołnierze AK czekają na hasło i wtedy wrócą”. Chodziło o trzecią wojnę światową, na którą czekało wówczas tysiące ludzi, a wraz z nimi kapitan „Skiba”...

Cóż, mój tata był zawsze niepoprawnym optymistą, a co najgorsze – człowiekiem łatwowiernym. Wierząc w rozwiązania pomyślne – starał się nie dostrzegać jakichkolwiek złych następstw, błędów. One nie istniały. Pamiętam ostatni dzień lipca 1944 roku. Ojciec pożegnał się z mamą, ze mną, bratem i małą siostrzyczką, po czym rzekł:

– Zbliżają się wypadki, które zmienią nasze życie. Bądźcie dobrej myśli. Wkrótce będziemy wolni.

Nad ranem wrócił. Zjadł śniadanie nie zdejmując płaszcza. Wiedziałem, że ma broń i że owe „wypadki” to walka z Niemcami, powstanie przeciwko okupantowi. Około jedenastej wpadła młoda dziewczyna,

zabrała na chwilę ojca do kuchni, chwilę poszeptali, potem wybiegła, jakby się paliło. Ojciec wyszedł z kuchni i rzekł:

– Najdalej za dwa tygodnie przyjadę po was samochodem. Pojedziemy na defiladę. Zwycięską defiladę – dodał z miną człowieka głęboko przeświadczonego, iż stanie się tak właśnie, jak on twierdzi oraz, że innej możliwości nie ma i być nie może.

Tata wierzył święcie w zwycięstwo. Nie mogło być inaczej: przygotowywali się do Powstania od chwili zorganizowania AK, ćwiczyli w konspiracji, przeprowadzali szkolenia teoretyczne i praktyczne. Czy to wszystko mogło pójść na marne? Nie! Musimy zwyciężyć i zwyciężymy! Temu hasłu podporządkowane było całe ich życie.

Z obozu w Murnau mój tata wrócił załamany i zgaszony. Jego humor, wiara w przyszłość gdzieś zniknęły. Stał się zgorzkniały, zamknięty w sobie, milczący. Robił wrażenie obolałego. Ożywił się znacząco przed moją maturą. Już na długi czas przed tą uroczystością przeprowadzał za mną rozmowy na temat mojej przyszłości. Ale myliłby się ktoś, kto by przypuszczał, że rozmawialiśmy o moim przyszłym zawodzie, czyli medycynie, w sposób realistyczny. Nie! Nic podobnego! Zamiast o wyborze kierunku specjalizacji, w oparciu o wybraną klinikę czy słynnego profesora, mój tata wołał z emfazą i uniesieniem:

– Musisz być sławny! Musisz być wielki! Twoje osiągnięcia nie mogą być słabe i przeciętne!

Musisz innych prześcignąć! Wznieść się ponad chmury! Do lotu! Do skoku! Do wielkości!

Mój tata zmarł nagle na zawał po uzyskaniu wiadomości o aresztowaniu jego przyjaciół z AK. Ubowcy przyszli po mojego tatę za

późno.

Kiedy, idąc w kondukcje, zastanawiałem się nad istotą jego powyżej cytowanych wskazań, doszedłem do wniosku, iż wywodziły się one z niektórych, nie zrealizowanych przez ojca marzeń. Świat, w którym żył dotychczas, rozpadł się, jak bańka mydlana. Na Zachodzie, zamiast karabinów, otrzymali granatowe mundury. Tu wsadzano ich do więzień i nazywano bandytami. Wszystkie ich idee zostały oplute, zaś plany wzięły w łeb. Zostali, jak przez jakieś piekielne moce, odrzuceni na margines, sponiewierani, oszkalowani i ośmieszeni. Do głosu doszedł parobas, szumowina, karierowicz i zwykły łajdus.

Szybko pojąłem, że na idee mojego ojca nie ma miejsca. Że ktoś, kto chce realizować swoje marzenia i plany zawodowe, naukowe i społeczne, musi zaakceptować – przynajmniej oficjalnie – ideologię rządzących. Ten, kto tego nie uczynił, ginął. Cóż, mimo tak mądrego i nowoczesnego uświadomienia nie uczyniłem zbyt wiele w kierunku „ustawienia się” i zdobycia przyszłej kariery. Byłem nieodrodnym synem kapitana „Skiby”.

* * *

Dziś ordynator oznajmił po obchodzie:

– Panie, panowie, żegnam was serdecznie – zrobił krótką pauzę, przełknął ślinę i rzekł: – W ciągu najbliższych kilku godzin zostanę aresztowany. Sądzę, że się już nie zobaczymy...

Nikt z nas nie powiedział ani słowa. Wypowiedź doktora Dowbora można było potraktować jako ponury żart, można było równie dobrze uznać za wiadomość prawdziwą. Ani w szpitalu, ani w przychodni nikt nie poruszał spraw politycznych. Nasze rozmowy dotyczyły pogody, urlopów,

dzieci, szkoły i zakupów. Najbezpieczniejsze były dysputy od... Maryni. Stąd też mówiliśmy o tym najbezpieczniejszym temacie głośno, wyraźnie, tak, aby było nas słycać w każdym kącie gabinetu, oddziału, przychodni.

Szeptu unikano, bo budził on szczególne podejrzenie. Na masówkach wznosiliśmy okrzyki na cześć niewzruszalnych kierunków naszej epoki prowadzonej przez wodza ludzkości, towarzysza Stalina, potępialiśmy amerykańskich imperialistów, twardo ujawnialiśmy obłudę kapitalistów, pryncypialnie piętnowaliśmy zwyrodnienie gnijącego Zachodu, chlubiśmy się, iż w naszym kraju sprawiedliwości społecznej nie ma ani obszarników i wyzyskiwaczy, ani kurew i zбочeńców, ani umysłowo chorych, ani weneryków, ani narkomanów, ani innych zgniłków i dekadentów. Na tym właśnie polegała wyższość naszego przodującego ustroju w stosunku do skazanych na zagładę niecnych awanturników z krajów burżuazyjno-kapitalistycznych. Ich lata były zresztą policzone, my zaś swym bezkompromisowym ujawnianiem ich degeneracji przyspieszaliśmy jeno proces ich obumierania.

Doktor Dowbor nie żartował. Wzięli go w nocy, jak zbira, z przekleństwami, biciem i wrzaskiem, wyśledzono bowiem, iż był przed wojną lekarzem pułku ułanów. Zabrała go osławiona „Informacja”, co oznaczało, iż groziła mu śmierć lub wieloletnie więzienie. A tymczasem do szpitala przysłano doktora Arnolda Kompostowskiego, który miał przeszłość świetlaną i nieskazitelną, był bowiem wojennym „wraczem” w jakimś pociągu pancernym oraz pełnił w poprzednim miejscu pracy funkcję „partorga”. Uchodził za możnego, nie lubił dyskutować o medycynie, był opryskliwy i grubiański.

Po raz pierwszy zobaczyłem go przed drzwiami do świetlicy. Był

wysoki, miał wąskie usta i uśmiechał się nieszczercze. Na mój ukłon nie zareagował, natomiast przyjrzał się napisowi na drzwiach świetlicy: „Towarzystwo Naukowe naszego Szpitala zbiera się co piątek”, przepisał go do swego notatnika i wrócił do gabinetu. Następnego dnia zwołał zebranie wszystkich, zatrudnionych w szpitalu i przychodni przyszpitalnej lekarzy.

– Towarzysze – rzekł, spoglądając gdzieś ponad głowy zebranych – witam was serdecznie na pierwszym zebraniu naukowym naszego szpitala i w związku z tym zadaję zasadnicze pytanie: gdzie jest jego dotychczasowy przewodniczący?

– W Wencington – odparł doktor Janiak, aktualny drugi wicedyrektor, który starał się być prawą ręką dyrektora. Pierwszym wicedyrektorem był towarzysz Leon Lubka, były palacz, zatrudniony na tym stanowisku w ramach ogólnopolskiej akcji przywracania szpitalom ich ludowego charakteru.

– A wiceprzewodniczący? – padło następne, wypowiedziane już nieco ostrzejszym tonem, pytanie.

– Również w Wencington.

– A sekretarz? – zapytał drwiącym tonem doktor Kompostowski. – Także w Wencington?

– Także w Wencington – powtórzył usłużnie wicedyrektor. Zapadła nagła, przedłużająca się cisza. Zdawało się, że zebrani przestali oddychać. Z końca sali dolatywało jedynie sapanie doktora Wielura, który był chory na astmę i nie mógł swego oddechu powstrzymać.

– Towarzysze – odezwał się wreszcie Kompost. Jego twarz była skupiona, zaś wzrok błędził po sali. – Czy wy rozumiecie, do czego

doszło? Czy wy zdajecie sobie sprawę do czego dopuściliście?

– Tak – rzekł wicedyrektor. – Dopuszciliśmy do błędu. Wielkiego błędu.

– Nie tylko – ryknął Kompost. – To, co tu się stało, to jest wielki błąd polityczny. A czym jest wielki błąd polityczny, jeśli nie zwycięstwem reakcji, wrogów ludu, podłych łajdusów pragnących przywrócić przeszłość i obalić nasz ustrój sprawiedliwości społecznej, a?

To „a” powtarzało się w jego wypowiedziach coraz częściej, podobnie jak „nu” lub „nu, da”...

Dziś spoglądał oszalałym wzrokiem na zebranych, co powodowało, iż większości ciarki wędrowały po skórze, albowiem los doktora Dowbora był wszystkim świetnie znany. A tymczasem Kompost zaczął bić pięścią w stół i zapluwać się tak intensywnie, że siedzący obok niego wicedyrektor opuścił głowę, aby ślina nie ciekła mu po twarzy. Wrzask Komposta przerwał towarzysz Lubka.

– Towarzyszu – rzekł Lubka. – Ja wam chcę powiedzieć z tego miejsca, że mnie jako palacza Polska Ludowa przysłała na ten posterunek, bym pilnował ludowego oblicza szpitala. I ja tak właśnie myślę, że wy towarzyszu, mając absolutnie i w każdym calu rację, powinniście wyprowadzić nas z tej błędnej drogi i poprowadzić do przodu. Tego oczekuje od was nasz kolektyw, nasza partia, nasz lud, nasi pracownicy. I to by było, na razie, tyle.

Odetchnęliśmy. Gdyby zabrał głos któryś z lekarzy, jego kariera nie potrwałaby długo. Niezależnie od tego, jaki byłby wydźwięk jego wypowiedzi, Kompost nigdy by mu nie podarował. Odezwał się na szczęście „swój” człowiek z ludu, odpowiedzialny za szpital i jego charakter i tu Kompost nie mógł pozwolić sobie na nietakty.

– Tak – rzekł Kompost. – Macie, towarzyszu Lubka, rację. Szpitalowi należy wyjść naprzeciw i poprowadzić go właściwą drogą. – Kompost popadł w krótkie zamyślenie, błędząc wzrokiem po ścianach pokoju. Wreszcie nieoczekiwanie zmienił wyraz twarzy z chmurnego na pogodny i powiedział:

– Wiecie, towarzysze, co ja myślę? Ja myślę, że kierownictwo wyjdzie nam naprzeciw i pochwali naszą jedynie słuszną decyzję, iż należy w miejsce dawnego, zmurszałego od podstaw konwentyklu, powołać do życia nowe, bojowe, w całym tego słowa znaczeniu nasze towarzystwo!

Na słowo „nasze” Kompost położył szczególny nacisk, po czym wstał o obrzucił zebranych jasnym, przyjacielskim spojrzeniem.

Zebrani zerwali się z miejsc i zaczęli bić brawo, skandując „nasze towarzystwo”, „nasze towarzystwo”, „nasze towarzystwo”!

Kompost kiwnął ręką i wszyscy zamilkli.

– A zatem niech tak będzie! – zawyrokował. – Niechaj w naszym szpitalu powstanie Towarzystwo Rozwoju Nerwizmu.

I tak powstało w naszym szpitalu Towarzystwo Rozwoju Nerwizmu, z doktorem Kompostowskim na czele. Teraz już nikt nie wątpił, że Arnold Kompostowski mierzy wysoko i że pobyt jego u nas jest tylko etapem przejściowym w czekającej go karierze.

* * *

Zebrania towarzystwa odbywały się co dwa tygodnie. Wysłuchiwaliśmy referatów Komposta i Bielinka w rodzaju: – „Co nam daje nerwizm?”, „Przyszłość nerwizmu i my”, – „Nerwizm jakim jest i jakim go widzę”, „My i świetlana przyszłość nerwizmu w epoce

komunizmu” i tak dookoła Wojtek. Podczas kolejnych zebrań prześcigaliśmy się w zachwytach nad zaletami nerwizmu.

– Towarzysze! – pisał Kompostowski. – Nerwizm to teoria zwycięska! To teoria nad teoriami!

– Towarzysze! – wołał Bielinek. – To jest cudowna, wspaniała, niepowtarzalna gwiazda przewodnia! Nie było takiej i nigdy nie będzie!

Uczestnicy zebrań klaskali w dłonie ile sił.

Na którymś z zebrań pojawił się kierownik kulturalnooświatowy szpitala, towarzysz Seweryn Szczurllak.

– Towarzysze! – zawołał emfaticznie, spoglądając na Kompostowskiego swymi bladymi, obłudnymi oczkami spoza grubych szkieł.

– Oto ja, nie lekarz, nie praktyk, nie teoretyk, ale kibic medycyny, miłośnik waszego pięknego zawodu pragnę tu dziś, z tego miejsca wyrazić swój zachwyt. Nigdy jeszcze medycyna nie stała tak wysoko, jak teraz. Nigdy! A czemu to zawdzięczamy? Pytam czemu i zaraz odpowiadam: socjalizmowi i nerwizmowi! Tak! Tylko tym dwóm nowym, wspaniałym jakościami: socjalizmowi i nerwizmowi!

Przemówienie towarzysza Szczurllaka przyjęte zostało burzą oklasków. Podniosłem rękę na znak, iż pragnę zabrać głos. Kompost zapytał:

– O co chodzi?

– Mam pytanie...

– Na co pan czeka?

– Dziękuję za przyzwolenie. Idzie mi o to, czy nerwizmem można wszystko uleczyć?

Zapadła nagła cisza, przerywana jedynie buczeniem zabłąkanego bąka,

który nie mógł znaleźć otwartego lufcika. Ponieważ towarzysze przy stole przydialnym milczeli, wzrok wszystkich przeniósł się na niespokojnego owada, który obijał się o szyby i buczał coraz głośniej.

Spojrzałem na Kompostowskiego i Bielinka. Robili wrażenie bezradnych. Pierwszy zebrał myśli Kompost i rzekł:

– Pytanie, które usłyszeliśmy przed chwilą – zaczął, przerywając frazę swej wypowiedzi charakterystycznym chrząkaniem – to pytanie – powtórzył – jest podchwytliwe i z dużymi podtekstami. Podobnie, ehm, można by zapytać czy wszystko można uleczyć nożem?

– Weźmy na przykład bezpłodność – powiedziałem poważnie.

– Czy bezpłodność można uleczyć za pomocą nerwizmu? Na sali rozległy się śmiechy.

– Szanowny kolego – zwrócił się do mnie Kompostowski. – Czy wy naprawdę pragniecie podważyć świetlane zasady i dokonania nerwizmu?

– Gdzieżbym śmiał – odparłem rzeczowo. – Chodzi mi jedynie o poszerzenie mojego zasobu wiedzy.

– Bardzo słuszne podejście – rzekł pojednawczo Bielinek. – Pęd do wiedzy jest u młodych ludzi bardzo cenną cechą.

– Hm – zastanowił się Kompostowski – wasze założenie towarzyszu Bielinek jest na pewno bardzo piękne, tylko za ja nie jestem pewien, czy naszemu stażyście akurat o to właśnie chodzi.

Bąk trafił wreszcie w lufcik i zapadła cisza, którą mąciło jedynie pokasztywanie i chrząkanie zebranych. Pomyślałem, że przeholowałem i sprawa przybiera niebezpieczny obrót. Kompost wyraźnie zmierzał do uznania mnie za wroga ludu lub rozrabiacza, a to groziłoby nieobliczalnymi dla mnie konsekwencjami. Poczuję się niewyraźnie.

Teraz wszystko zależało od Bielinka.

– Jestem przekonany, że o to – zawołał Bielinek – tylko o to; musimy pamiętać, towarzyszu dyrektorze, o podstawowej zasadzie marksizmu-leninizmu, która nakazuje wiązać teorię z praktyką i praktykę z teorią. Doktor Sierpski nie może tych dwóch jakości powiązać. Nie może. Nie potrafi. Nie dlatego, że nie chce i nie dlatego, że jest mu to obce klasowo. Nie, nic z tych rzeczy! – Bielinek zapalał się i przemawiał tak, jak gdyby to było zebranie partyjne, nie naukowe. – On, towarzyszu ordynatorze, nie może jeszcze zrozumieć zależności między teorią i praktyką, bo nie zna ani jednego, ani drugiego. Na studiach, wciąż prowadzonych przez nie naszą, lecz reakcyjną, wychowaną na burżuazyjnych wzorcach, profesurę, nikt mu o tych sprawach nie mówił. Jeśli zaś chodzi o praktykę, to ta u Sierpskiego nie istnieje, boć to przecież stażysta.

– Co proponujecie? – przerwał potok słów Bielinka, Kompost. Miał nieodgadniony wyraz twarzy, jego wzrok znów wędrował po suficie sali, zatrzymując się niekiedy na żyrandolach.

– Proponuję – rzekł Bielinek, nabierając mocno powietrza – abyście wy, towarzyszu Kompostowski, zechcieli go sami wziąć pod opiekę. Tylko przy was najwięcej skorzysta i tylko przy was wypełni wskazania naszej partii, aby wiązać teorię z praktyką.

Sala zareagowała spontanicznymi, długimi oklaskami. Kompost wstał, uklonił się i rzekł:

– No cóż, skoro jest taka wasza wola, nie mogę oponować. – Po chwili dodał: – i żeby było jaśniej, traktuję tę waszą wolę jako precyzyjnie wyrażone polecenie partyjne.

Wypowiedź Komposta wywołała kolejny grzmot oklasków. Zebrani

wstali, ruszyli gremialnie do stołu prezydyjnego, zaczęli ścisnąć ręce Komposta, gratulować mu i dziękować. Brakowało jedynie tradycyjnego „sto lat”!

Odtąd zostałem skazany na towarzyszenie Kompostowi, spełnianie jego poleceń, podporządkowanie i absolutny posłuch. Dziś rzekł:

– Wy, Sierpski, macie tu papiery. To historia choroby obywatela Ramowskiego. Taki pacjent z nadciśnieniem. Będą z nim problemy, ale jakoś damy sobie radę.

Mina Komposta jest zafrasowana, ale jest to zafrasowanie pozorne. Kryje się za nim poczucie władzy, pewności siebie, nietykalności i triumfalizmu własnego „ja”. To właśnie rozdęte jak powłoki balonu własne „ja” jest motorem jego wszystkich działań i posunięć. On wszystko wie najlepiej, on jest ponad, on jest nienaruszalny.

– No tak – powtarzał – no tak, o czym to ja mówiłem? Ach, już wiem, więc wy go weźmiecie, Sierpski, zastosujecie sen przedłużony i potrzyumacie go ile się da. I o wszystkim meldujecie, o wszystkim zawiadamiacie. Jasne?

Teraz ja milczę, przedłużam czas odpowiedzi aż do granic wytrzymałości Komposta. Ten spogląda na mnie ze zdumieniem. Nie rozumie powodów mojego milczenia. Powinienem poderwać się z oznakami gorliwości na twarzy i z wyrazem wdzięczności zameldować o gotowości do działania.

– Jasne, towarzyszu ordynatorze, o wszystkim będę panu meldował, o wszystko pytał. Kiedy mam zacząć panie ordynatorze? Albo:

– Już pędzę, już lecę, już spełniam pańskie polecenia. Zamiast powyższego zestawu wybrałem inny:

– Mam wątpliwości, panie ordynatorze – powiedziałem.

– Jakże? – twarz Komposta ściągnęła się w nagłym skurczu złości. – Co pan znowu kombinuje?

– Przepraszam najmocniej, panie doktorze – powiedziałem z akcentem wyrzutu. – Ale ja zupełnie tej metody nie znam. Nawet nie widziałem separatek.

Twarz Komposta pojaśniała.

– I pan mi o tym mówi teraz? Za pięć dwunasta? Przed przystąpieniem do aktu leczenia?

Po czym ujął mnie pod ramię i poprowadził na oddział „B”, specjalnie przystosowany do leczenia snem. Na czym polegało owo szeroko rozreklamowane „przystosowanie” oddziału do potrzeb leczenia snem? Głównie na izolacji separatek i napisach „cisza leczy”, „szanujmy ciszę”, „tylko cisza!” lub „cisza” z trzema wykrzyknikami.

Pacjenci leżeli na łóżkach w absolutnej ciemności, z oknami szczelnie zasłoniętymi, za drzwiami obitymi grubą warstwą gąbki i pokrytymi grubą skórą. Ażeby cisza była pewniejsza, przed wejściem wisiała gruba kotara. Acha, jeszcze jedno. Pielęgniarki i lekarze chodzili w bamboszach, mówili szeptem i nosili na piersiach niebieskie trójkąciki z napisem „Cisza!”.

– Oto przykłady naszych zwycięstw – mówił, pokazując mi uspionych mieszankami pacjentów. – Wrzód żołądka, nadciśnienie, choroba wieńcowa. Oto przykłady chorób uzależnionych od układu nerwowego i kory mózgowej. Wyłączając nieprawidłowość bodźców oddziaływujących na tych biedaków, przywracamy prawdziwe relacje pomiędzy układem nerwowym, a podległymi mu narządami i w ten sposób doprowadzamy do wyleczenia.

– Kto ich budzi? – zapytałem. – Czy długość snu jest ściśle określona?

– Budzimy chorych kardiozolem – odparł Kompost. – Dwa razy dziennie: o dziewiątej i szesnastej. Musi pan być czujny: gdybyśmy im nie podali kardiozolu, mogliby umrzeć.

Tego samego dnia poznałem wszystkich chorych uszczęśliwionych snem. Leżeli w ciemności i ciszy, w dusznej, wysyczonej kwaśnym zapachem potu, atmosferze, nafaszerowani lekami nasennymi, niemal teatralnie, z asystą, w której, jak uważałem, brakowało jedynie werblisty z tamtamem.

– Dlaczego pan tak pilnie sprawdza podawanie kardiozolu? – zapytałem. – Czyżby miały już miejsce przypadki zatrucia?

Kompost uśmiechnął się wyrozumiale.

– Pyta pan o przypadki zatrucia? – rzekł, zatrzymując się przede mną. Na jego twarzy malowała się powaga i poczucie odpowiedzialności. – A czy zdaje pan sobie sprawę, co by się stało, gdyby jakiś wróg ludu, wróg socjalizmu, nędzny sługus imperializmu nie podał mu kardiozolu i nie obudziwszy go, zamordował?

– Paranoik – pomyślałem. – Prawdziwy szaleniec. – Po co miałby to robić? – zapytałem. – Komu zależałoby na zamordowaniu pacjenta?

– O! – Kompost zmarszczył mocno brwi. – Widzę, że musimy jeszcze długo popracować. Widzicie, Sierpski – jął mi tłumaczyć. – Ta metoda, to metoda nowatorska, wykładnik przodującej nauki, wielka szansa dla nauki polskiej, której nie mogą zakłócić nieczne knowania tej niebezpiecznej, obcej nam klasowo, części, co prawda, ale zawsze, inteligencji. Dlatego musimy być czujni, musimy uważać, ażeby jakaś reakcyjna świnią nie pokrzyżowała nam naszych planów poprzez – zbierał przez moment myśli

– poprzez, na przykład, nie podanie kardiozolu lub przez zwiększenie ilości środków nasennych. Kolego Sierpski! – zakończył pompatycznie. – Musimy być czujni! Musimy być zwarci! Musimy zawsze pamiętać o zaostrzającej się wciąż walce klasowej! Czy pan mnie pojmuje?

– Panie! – wrzasnąłem w odpowiedzi. – Czy pan słyszał o takim lekarzu Polaku, który morduje w szpitalu wroga ludu?

Kompost zgasł.

– No nie, co pan – zaczął, zbity z pantałyku, bąkać. – Nie słyszałem, ale wiem – osłabiony przez moment animusz szybko Kompostowi wracał. – Ale wiem – powtórzył – że sytuacja taka jest możliwa. Zupełnie możliwa – dodał z mocą. – Kiedy, jak kiedy, ale w dobie zaostrzonej walki klasowej wróg czai się za węglem. Kto nim jest? Oto pytanie, na które sami musimy sobie odpowiedzieć. Czy teraz rozumiecie, Sierpski, dlaczego jestem czujny?

– To nie paranoik – pomyślałem. – To szubrawiec. Kanalia. Podły łajdak. Budził we mnie wstręt, a zarazem agresję. Jego zakłamanie, tupet, bezczelność, pomiatanie innymi budziło we mnie niebywałą chęć oporu i działania na przekór. Przez moment walczyłem z chęcią przyłożenia mu jakąś złośliwością lub kpina. Rozsądek zwyciężył i odparłem:

– Rozumiem – odparłem. – Rozumiem, dlaczego jest pan czujny. – A potem zapytałem: – Czy moglibyśmy udać się do mojego pacjenta?

Kompost przystał bez dalszej dyskusji. Zaprowadził mnie do separatki, przedstawił pacjenta, po czym wrócił do swego gabinetu. Zostałem z pacjentem sam.

– Jak się pan czuje? – zapytałem. – Co panu dolega?

– Boli mnie głowa – odrzekł pacjent. – Boli bez przerwy. Chory był

pyknikiem około czterdziestki, z wydatnym brzuszkiem, dwoma podbródkami i pucułowatą twarzą.

– Mam bóle i zawroty głowy – kontynuował – męczliwość, bicie serca, trudności z zasypianiem. Lekarz rejonowy zmierzył mi ciśnienie, było dwieście dwadzieścia na sto osiemdziesiąt.

– Co panu zalecił?

– Nic. Dał skierowanie do szpitala.

– Chce się pan leczyć snem?

– A mam inne wyjście?

– Proszę się rozebrać – powiedziałem. – Zbadam pana i zmierzę panu ciśnienie.

Pacjent miał dwieście sześćdziesiąt na sto czterdzieści. Napisałem: nadciśnienie, zleciłem badania dodatkowe i zaordynowałem: leczenie snem. Mieszanka nasenna.

I tak się zaczęło. Pacjent leżał w separacie, łykał mieszanki nasenne w potężnych ilościach i natychmiast zasypiał. Czasami podnosił się w nocy i błądził po pustych korytarzach szpitala, potem wracał, wypijał mieszankę i znów zasypiał. Separatka była wybita skórą, okna zlikwidowano, drzwi spowito w potrójne kotary. Cisza. Cisza w szczelnej klatce, w której każdy szmer stawał się grzmotem wodospadów. Uważałem, że nie było większej kary, niż osadzenie w takiej właśnie zbawiennej puszczy.

Pewnej nocy pełniłem w szpitalu tępy dyżur. Tępy tym się różni od ostrego, że lekarz nie przyjmuje chorych od pogotowia oraz nie załatwia pacjentów w ambulatorium. Siedziałem przy biurku ćmiąc papierosa i słuchając Staną Gaetza z Monachium. To, co robiłem było niebezpieczne. Nie wolno było słuchać muzyki jazzowej, albowiem był to przejaw

infiltracji propagandy zgniłego Zachodu.

Kiedyś, pamiętam, jeszcze w czasie studiów wyszukiwałem stacje nadające muzykę swingową, muzykę wielkich orkiestr Benny Goodmana, Jimmy Dorsey, Woody Hermana i wielu innych. Dla ułatwienia sporządziłem w kalendarzyku wykres dni i godzin nadawania tej zakazanej muzyki. Najważniejsze były tu Monachium, Luksemburg oraz kilka innych, pomniejszych. Pewnego dnia siedziałem na wykładzie z zakresu „Organizacji ochrony zdrowia”, gdzie nie było amfiteatru tak, jak w Sądówce, czy Anatomicum, były za to stoliki i wokół nich krzesła. Wykłady prowadził jakiś prymitywny karierowicz, który dzięki tej socjalistycznej dyscyplinie zdobył tytuł doktora medycyny, a potem docenta, zaś w czasie zajęć unosił prawą nogę, jak gdyby osłaniając się przed kopniakami oraz ślinił się, pluł i bełkotał. Ponieważ nie mogłem nic z jego paplaniny zrozumieć, zająłem się przepisywaniem ostatniego wykładu anatomii z zeszytu siedzącej obok koleżanki. Zajęty odczytywaniem jej bazgrołów, nie zauważyłem, iż przysiadł cichcem obok mnie niejaki Gabriel Somoza, szef brygady lekkiej kawalerii naszego kursu, a więc trójek strzegących dyscypliny, moralności i etyki socjalistycznej. Gabriel miał zwyczaj zaglądania do cudzych notatek, zeszytu i kalendarzyków. Wszyscy je przed nim chowali i mniej lub więcej dyskretnie odsuwali się, kiedy żywo gestykulując i szczerząc zęby przysiadł się do cudzego stolika. Każdy z nas, zresztą, zwracał uwagę na fakt kto i kiedy przysiadł się do nas, każdy każdemu patrzył na ręce. Otóż, jako się rzekło, nie zauważyłem, kto się do mnie przysiadł i co robi. Gdybym zauważył, że to Gabriel, zwinąłbym natychmiast wszystkie swoje rzeczy do teczki i facet niczego by nie zauważył. Niestety, Gabriel chwycił

kalendarzyk, przekartkował go, po czym syknął:

– Ach ty! To ty się takimi rzeczami zajmujesz? Zachodnie stacje? Dni? Fale? Wolna Europa, Głos Ameryki, najgorsze gadzinówki w kalendarzyku socjalistycznego studenta?

Wyrwałem Gabrielowi kalendarzyk.

– Jak śmiesz, bydlaku, zaglądać do moich notatek?

Na twarzy Gabriela pojawił się smutek. Zawsze przybierał taką minę, kiedy dobierał się komuś do skóry.

– Czyżbyś był tak marnie uświadomiony – rzekł z wyrzutem – że nie rozumiesz na czym polega postawa człowieka czujnego? Uzbrojonego w klasową świadomość, pozwalającą dostrzegać zaprzańców i wrogów ludu?

– Zamknij gębę – powiedziałem. – To nie są audycje polityczne. Nie pojmujesz różnicy?

Z twarzy Gabriela nie mijał wyraz smutku.

– Pozwól – rzekł, wyciągając rękę po kalendarzyk. – Odpiszę stacje i sprawdzę, czy to prawda.

__Czyś ty oszalał? – wrzasnąłem. – Jakie ty masz prawo, ty gnoju pryszczaty, sprawdzać moje notatki prywatne?

__ Jeśli tego nie zrobisz, postawię sprawę na kierownictwie ZMP.

Czy tego pragniesz?

Postawienie sprawy „na kierownictwie” z reguły kończyło się relegowaniem ze studiów. Nie miałem wyboru. Nie kryjąc złości, rzuciłem Gabrielowi kalendarzyk. Ten chwycił go zręcznie, wyjął ołówek i skrupulatnie odpisał nazwy stacji oraz godziny i długości tych fal.

– Zwracam kalendarzyk – rzekł oddając mi go eleganckim gestem. – A do sprawy wrócimy, po sprawdzeniu prawdy.

Po czym odszedł, kołysząc się na swych krzywych nogach, jak wielki indor, któremu ktoś doprawił monstrualnie wielkie uszy.

Minął tydzień i znów spotkaliśmy się w Kole Medyków na wykładzie plującego i machającego prawą nogą, pożał się Boże, specjalisty od organizacji ochrony zdrowia. W przerwie wykładu usiedli obok mnie: Gabriel i Janusz, drugi członek Brygady Lekkiej Kawalerii, aktywista ZMP-owski i członek partii, druga na naszym kursie szumowina i szpicel. Jego głównym marzeniem było „wykazanie się” czymś bardzo spektakularnym przed egzekutywą, w związku z tym szukał jakiejś sprawy związanej z amerykańską, kułactwem oraz wrogami ludu.

– Wiesz – rzekł Gabriel – przesłuchaliśmy obydwaj wszystkie stacje i przyznajemy zgodnie, że dotyczą one audycji jazzowych. Ale nie jest prawdą, że muzyka ta nie ma charakteru politycznego i wydźwięku ideowego. Dlatego zdecydowaliśmy, że po szczegółowej obserwacji twojej osoby wrócimy do tej sprawy na jednym z zebrań naszej organizacji Zetempowskiej.

Nie wrócili, bo Gabriel przeniósł się do Łodzi, zaś Janusza milicja schwytowała w parku pijanego, kopulującego z jakąś prostytutką. Jego kariera skończyła się tak szybko, jak się zaczęła.

Teraz siedziałem w fotelu słuchając śpiewu Sinatry, który przypominał mi wakacje spędzone w Dziwnowie, gdzie na kolonii dziecięcej Pełniłem obowiązki higienisty. Mieszkaliśmy w pustych domkach, znajdując na każdym kroku ślady niedawno zakończonej wojny. Tam przeżyłem burzliwą miłość z Hanią, wychowawczynią, której później nie mogłem odnaleźć i zawsze, kiedy ten świetny piosenkarz stwarzał wizję radości i szczęścia, narastało we mnie uczucie żalu, że czas ten minął, że tamte lata

minęły i że tych uroczych, dziwnowskich lat żadna siła nie odtworzy. Moje rozmyślanie, a raczej nastrój, w który lubiłem się wprawiać, czy „zatapiać”, przerwało pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołałem. – Wchodzimy!

– Czy można? – usłyszałem głos pacjenta z separatki.

– Proszę, niech pan wejdzie – powtórzyłem.

Pacjent otworzył drzwi i stanął w drzwiach. Miał zgarbioną figurę, obrzękniętą twarz, zaś w oczach obłąd.

– Panie doktorze! – zawołał. – Czy może mnie pan wypuścić? Ja tu dalej nie wytrzymam!

– Proszę! – wskazałem mu krzesło. – Zechce pan usiąść. Pacjent siadł. Wyraz rozdrażnienia nie zniknął z jego twarzy. Podałem mu herbatę i poczęstowałem papierosem. Po kilku minutach doszedł do siebie. zaproponowałem, aby mi opowiedział o swych dolegliwościach.

– Czuję się jak w kuble na śmieci lub beczce po łajnie i do tego wszystkiego szczelnie zalutowanej. Brak mi oddechu, brak życia, wydaje mi się, że umieram. Czy nie mógłby mnie pan wypuścić ze szpitala?

Zmierzyłem pacjentowi ciśnienie. Utrzymywało się na tym samym poziomie.

– Gdzie jest moje ubranie? – dopytywał się gorączkowo pacjent. – W jaki sposób mógłbym je zdobyć?

– Chce pan uciec? – zapytałem. – Niech pan tego nie robi. To wywoła złe wrażenie. Niech pan lepiej poprosi ordynatora. On pana zwolni.

– On tego nie zrobi – rzekł pacjent. – To kawał łobuza. Mój ojciec go zna. To wojenny wracz, czyli felczer. Wszyscy się go boją, a on robi, co chce. Nie wstyd panu?

– Zrobimy co innego – odrzekłem. – Dam panu przepustkę na trzy dni. A potem zrobi pan, co będzie chciał, byle tylko nie zlekceważył pan swego stanu zdrowia. Zgoda?

– Zgoda – odrzekł pacjent. – Jutro rano pójde do internisty z prawdziwego zdarzenia.

I uściśnął mi mocno rękę.

Po trzech dniach mój urlopowicz zgłosił się do przychodni z gorącym podziękowaniem za uwolnienie z miejsca kaźni oraz życzeniami dalszych, owocnych sukcesów pod wodzą doktora wszech nauk lekarskich towarzysza Kompostowskiego.

– Panie! – wykrzyknąłem. – Czy to oznacza, że pan nie chce do nas wrócić?

– Oczywiście – odparł pacjent. – Przecież to wszystko bzdura. I on i wy znakomicie wiecie, że tak jest. Czy nie mam racji?

– Czy pan nie wie, co mnie za to spotka? – odpowiedziałem pytaniem.

– Nic pana nie spotka – odparł z pewną siebie miną pacjent.

– Mój tata wszystko załatwi, on ma na Komposta dobrego haka. Ach, mam coś dla pana – wyskoczył na korytarz, następnie wrócił z pękiem róż.

– To dla pana – rzekł. – Aha – dodał. – Jeszcze jedno: wyjeżdżam na jakiś czas za granicę, w związku z czym zostawiam panu mój wóz. To stara Ifa, ale jeszcze nieźle chodzi. – I ku memu ogromnemu zdumieniu położył na moim biurku kluczyki oraz kartę wozu. Zanim zdążyłem mu podziękować, zniknął za drzwiami.

Posiadanie samochodu, niezależnie od jego stanu technicznego, wieku i wyglądu było czymś niezwykłym, czymś, z czego należało się wytłumaczyć oraz ujawnić źródło pieniędzy za które się ów wehikuł

kupiło. Powędrowałem tedy do wicedyrektora szpitala, towarzysza Łubki i poinformowałem go, iż pacjent leżący dotąd „na śnie” pożyczył mi go na jakiś czas oraz, że była to tylko i wyłącznie jego inicjatywa.

– Kim jest ojciec pacjenta? – zapytał wicedyrektor Lubka. Jego twarz wyrażała w tym momencie kulminację zastanowienia intelektualnego.

– Towarzysz Belerski? – Teraz ja zastanowiłem się głęboko.

– Ach! On rządzi gospodarką, przydziela mieszkania i samochody. Wiecie, jak to jest – powiedziałem konfidencjonalnie. – Czasem można dostać się na taką listę nie wiadomo jak i kiedy.

Ton mojego głosu – chociaż nic nie obiecywałem – był tak znaczący, iż towarzysz wicedyrektor nie tylko zmiękł, ale i łaskawie zezwolił, abym jeździł „wozem” do woli i gdzie chcę, a nawet, co najistotniejsze, z domu do pracy i z powrotem, a nie tylko od święta.

– Przyjdźcie do mnie – rzekł, ściskając moją dłoń – szczególnie wtedy, kiedy ktoś zrobi wam niejakie wstręty. Ja wtedy sprawę załatwię. Czy jasno się wyrażam?

– Jasno, panie dyrektorze – odparłem. – Absolutnie jasno.

W ten sposób „mój” samochód znalazł się pod opieką towarzysza Łubki. Mogłem jeździć do woli.

* * *

Tego samego dnia zaproponowałem Ince przejażdżkę. Przystąpiła z ochotą. Wyruszyliśmy o pierwszej po południu, natychmiast po zakończeniu zajęć w szpitalu. Było duszno, parno, koszula lepiała się do ciała. Inka miała na sobie lekką, jedwabną sukienkę, a pod spodem figi, których jasne pasmo wyraźnie uwidaczniało się poprzez przejrzystą

materię. Początkowo nasza rozmowa nie kleiła się. Muszę tu zaznaczyć, że od jakiegoś czasu nasze rozmowy nie kleiły się w ogóle. Myślę, że ktoś, kto by nas bystrzej poobserwował, mógłby śmiało rzec, że intelektualnie nic nas nie łączy, fizycznie – wszystko. I tak chyba było. Seks zwierzał nas ze sobą na kształt dwóch potężnych magnesów. Dążyliśmy do siebie, wypełnialiśmy się sobą i dopełniali w sposób idealny. Nie oznaczało to bynajmniej, iż jej nie chciałem bliżej poznać.

Począwszy od pierwszego spotkania w Krakowie, w trakcie każdego z nią wyjazdu zadawałem Ince podchwytliwe pytania dotyczące jej stosunku do miłości, małżeństwa, kontaktów z mężczyznami, jej planów i przyszłości. Inka z reguły robiła uniki, ale niekiedy, pod wpływem złego humoru, który nazywała chandrą, wypowiadała gorzkie słowa pod adresem swego rodzinnego domu, mężczyzn, szarości życia, braku wszelkich perspektyw.

– Wiesz – powiedziała mi kiedyś – tam, gdzieś daleko od nas, za granicą, w Stanach, we Francji czy we Włoszech jest inne życie. Tam kobieta ma wszystko: piękny dom, willę, auto, klejnoty, futra, służbę, pieniądze. Podróżuje, gdzie chce, żyje. A co my mamy? Nędzę, kłopoty, życie w zakłamaniu i żadnej przyszłości. Rodzice nie zapewnili mi bogactwa, żaden z was, zachwycający się moją urodą nie potrafi mi stworzyć godnego życia.

– Nie potrafisz się zakochać? – zapytałem.

– A wiesz, że nie! – zawołała szczerze Inka. – Nigdy nie byłem zakochana i nigdy nią nie będę.

– Może nie chcesz? – pytałem dalej.

– Oczywiście! – odparła Inka. – Nie chcę. Widzisz – dodała – jak

gdyby pragnąc zatrzeć niemiłe wrażenie wywołane ostrością poprzednich sformułowań – ja swe największe nadzieje pokładałam w seksie.

– Od partnera do partnera? – Mruknąłem zgryźliwie.

– Fakt – rzekła Inka – masz rację: od partnera do partnera. Zrozum, człowieku – wykrzyknęła dostrzegłszy moją minę. – Niczego ci nie obiecywałam, skoro zaś chciałeś szczerości, to ją masz. Co chcesz wiedzieć więcej?

– Po co ci tylu chłopów? – zagadnąłem po chwili. – Co ci dają ustawiczne przygody?

Inka wzruszyła ramionami.

– To jest tak, jak w klinice – powiedziała. – Coś się ustawicznie zmienia, powstają nowe sytuacje, nieraz niespodzianki, życie jest przez to barwniejsze, bardziej intensywne, pełne nowych przeżyć, może złudzeń, ale za to nowych i piękniejszych.

– I zawsze z innym chłopem w łóżku – powtórzyłem z sarkazmem.

– Do tego faktu wszystko się sprowadza. Inka w odpowiedzi prychnęła, jak kotka. Po czym śmiejąc się, zapytała:

– A czy ktoś wymyślił co innego? Czy ty mnie do czegoś innego namawiasz?

Dziś, po dłuższej chwili milczenia, położyłem rękę na jej nodze, następnie zacząłem podciągać jej sukienkę tak, aby móc sięgnąć niżej. Inka nie oponowała. Powiedziała jedynie: „uważaj na mijające nas samochody. Mogą nas zobaczyć”. Potem przykryła moją rękę słomianym kapeluszem i rozchyliła nieco uda. Po chwili byłem już przy jej figach, odchyliłem je i oparłem brzusiec palca o najczulsze wzniesienie.

– Och – jęknęła Inka. – Nie tak mocno. Zwolniłem ucisk, a potem

zacząłem gładzić ów punkt, obrzmiewający i wilgotniejący, poddając się pieszczotom z wyuzdaną ufnością i zapalem. Inka oddychała głośno, zaś po paru chwilach odrzuciła kapelusz i uniosła się ku górze. Szybko pojąłem w czym rzecz: pomimo ostrzeżeń, iż ktoś z mijających nas samochodów mógłby dostrzec, co robimy, Inka cieszyła się z niezwykłości, z faktu, iż ktoś mógłby nas dostrzec, poobserwować, potępić lub zachwycić. Fakt ten miał dla niej podobne znaczenie, jak i dla mnie. I ona i ja nie mielibyśmy nic przeciwko temu, aby wystąpić w obecności jednego lub większej ilości widzów, kochać się, widząc ich rozedrgane oczy, zaczerwienione policzki i spocone czoła. Nasz orgazm współgrałby z ich okrzykami i wyciem. Nagle Inka usunęła moją rękę.

– Jedź szybciej – powiedziała. – Później dokończymy... Następnie położyła rękę na moim napiętym członku i tak dojechaliśmy do Zakroczymia.

Miasteczko było w ruinie, uliczki zaniedbane, walące się rudery zamiast domów, zaskorupiałe budy zamiast sklepów. Jeden z zagadniętych o najbliższe miejsce posiłku odparł, iż restauracji tu nie znajdziemy, najbliższa jest w Płocku, zaś po drugiej stronie Wisły, w okolicach Brochowa jest stołówka pracownicza, gdzie mogą nam coś podać „na zagrychę”

– Jedziemy do Płocka – zdecydowała Inka. – Nie będę się kochać na głodniaka.

Zakląłem szpetnie, ale nic poradzić nie mogłem. Ruszyliśmy. Po paru minutach Inka rzekła:

– Stań. Muszę na chwilę wysiąść.

Szybko opuściła samochód i zniknęła w pobliskich zaroślach. Po chwili

wróciła i spoglądając na moją naburmuszoną minę, powiedziała:

– Rozchmurz się. Coś na ciebie czeka! – Uniosła sukienkę i ujrzałem czarny, znajomy trójkąt ponad wzgórkim łonowym bez żadnej osłony. Będąc w krzakach, zdjęła figi i wróciła bez nich do wozu. Siadła, podciągnęła sukienkę i w ten sposób, pieszcząc ją usilnie, słuchając okrzyków przy wywołanym w ten sposób orgazmie dotarliśmy do Płocka.

Obiad zjedliśmy w jakiejś małej restauracyjce na terenie starego miasta, ale zabytków nie oglądaliśmy, spiesząc się z powrotem do Zakroczymia. Minęliśmy most, wjechaliśmy w drogę wiodącą przez sosnowy las. Skręciłem w pierwszy z brzegu zagajnik i już biegliśmy przed siebie szukając jakiegoś wykrotu lub jamy.

Pierwsza znalazła odpowiednie miejsce Inka.

– Chodź, mam schowek! – zawołała.

Błyskawicznie znalazłem się obok niej i w wyrwie utworzonej przez splot korzeni przewróconej sosny rzuciliśmy się na siebie krzycząc, ściskając się, przewracając, odpoczywając po najwyższym zespoleniu, to znów biorąc się od nowa z największym oddaniem.

W pewnym momencie obydwójce poczuliśmy zmęczenie. Inka powiedziała:

– Połóż mi rękę na seks, – po czym przykryła nas sukienką i natychmiast zasnęliśmy.

Obudziłem się czując głaskanie po podbrzuszu. To Inka, śmiejąc się, pieściła mnie, przyglądając się z uwagą, jak reaguję na jej zabiegi. Tym razem nie dała mi wejść w siebie. Obserwowała z uwagą i napięciem, jak się zwijam i krzyczę i ten widok sprawiał jej ogromną radość.

Odtąd wyjeżdżaliśmy „w kraj” codziennie i codziennie znajdowaliśmy

taki zakątek, jak pamiętny wykrot w pobliżu Zakroczymia. Pod Otrębusami znaleźliśmy okoloną sosnami polankę i tam Inka siadała na mnie, ja zaś kochałem ją, spoglądając na kołyszące się nad nami strzępiaste liście paproci. Pod Serockiem trafiliśmy na opuszczony szałas. Tam kochaliśmy się na twardych, szorstkich balach drzewa. Pod Czerskiem ginąc w łąkach zbóż, bawiliśmy się na nagusa w chowanego, narażając się na schwywanie, ujawnienie i nieobliczalne konsekwencje. Mimo obaw byliśmy tam dwa razy. Nasze gry miały w sobie coś z pogańskich obrzędów na cześć szczęścia i miłości. Było coś cudownego w zespoleniu naszych ciał z przyrodą. Cofaliśmy się do czasów starożytnych Greków, do tajemniczych obrządków, jakie miały miejsce przed wiekami w Eleusis, jednocząc się duchem, ciałem, oddaniem, radością i uczuciem. Kochałem Inkę i ona kochała mnie. Byłem szczęśliwy.

* * *

Jazz wywołuje u mnie przedziwny stan oszołomienia, który nazywam „zatopieniem”. Jest w nim nastrój smutku, żalu i bólu, myśli o przemijaniu i o bliskim końcu wszystkiego i wszystkich, zniechęcenia i powrotu w czasie do dawnych lat i chwil, ot, choćby do minionego tygodnia spędzonego z Inką, tak jak gdyby podobny tydzień miał się nie powtórzyć. Nostalgia, rozdrażnienie, wyobcowanie. Och, jakże lubiłem te nastroje! Jakże pragnąłem tych zanurzeń w ów przedziwny „mood”, z którego wynurzałem się z niechęcią i prawdziwym trudem.

Dziś nastawiłem radio na Monachium, skąd stacja zwana AFN nadawała audycje muzyczne dla stacjonujących w Bawarii wojsk amerykańskich i usłyszawszy głos spikera, siadłem w fotelu. Za chwilę

otoczy mnie fala dźwięków, ja zaś poddam się ich naporowi i zapomnę o całym świecie. Będę znów z Inką na mchu i w liściach i wśród pióropuszystych paproci, w igliwiu i na pachnących żywicą balach. Wszędzie.

Przymknąłem oczy. Seans stanów marzeniowych zaczynał mnie ogarniać. Wiedziałem, że pochłonie mnie w momencie usłyszenia pierwszych taktów muzyki. I właśnie w tym najmilszym dla mnie momencie, kiedy rozległy się pierwsze takty orkiestry Jimmy Dorsey'a, nagle dobiegł do mych uszu hałas przy drzwiach i po chwili do mego pokoju wpadł mój kolega ze studiów, a obecnie stażysta tak, jak ja, Staszek Socer. Miał rozchełstaną koszulę, na twarzy wyraz przerażenia, dyszał.

– Co się stało? – zawołałem – Dlaczego biegleś? – Staszek z trudem łapał powietrze.

– Chwileczkę – zawołał, po czym zaczął machać rękami. – Moment – wykrztusił, wreszcie siadł ciężko na krześle. Po paru minutach zawołał:

– Zabrali mi ojca!

– UB? – zapytałem.

– Informacja! – odrzekł Staszek. W jego oczach pojawiły się łzy. – Ojciec Staszka był wyższym oficerem intendencji, zawodowym wojskowym, jeszcze sprzed wojny. W Ludowym Wojsku Polskim zatrudniono go tylko dlatego, że w roku 1926 wypowiedział się przeciwko Piłsudskiemu.

– Przyszli w nocy – wyjaśnił po chwili Staszek. Podałem mu mocną herbatę i kilka kanapek.

– Przewrócili nasz dom do góry nogami – mówił spiesznie i chaotycznie – szukali dowodów zdrady czy sprzeniewierzenia, co w

wypadku mojego ojca jest absurdem nie do uwierzenia. Ojciec im wierzył i pracował dla nich ile sił.

Powiedział „im”, „dla nich” – były to sformułowania w ustach Staszka zupełnie nowe i zaskakujące. Nigdy takich nie używał. Nie mógł ich zresztą używać, albowiem był członkiem ZMP, jednym z najzagorzalszych aktywistów tego związku, oddanym na śmierć i życie obłąkańczej idei stalinizmu, tropiącym wszędzie „wrogów ludu”, „podżegaczy wojennych” i „sługusów imperializmu”. Fanatycznie nastawiony do wszystkiego, co przyniósł okupant ze Wschodu, ryczał: – „Równaj wzwyż do Komsomołu”, „My ZWM reakcji nie boimy się”, „Precz z obszarnikami, kułakami i innymi krwiopijcami!”, był niezwykle aktywny na defiladach.

Pamiętam, iż w trakcie jednego z pierwszomajowych pochodów zaintonował piosenkę, której refren głosi: „pierwym diełom, pierwym diełom samolioty, nu a dziewczki?”. W tym momencie nasze kursowe dziewczyny odwracały się, dygały i odpowiadały chórem: „Nu, a dziewczki patom!”. Ta piosenka w przedziwny sposób Staszka urzekła. Śpiewając ją miał rozszerzone źrenice, przekrwione powieki, rozedrgane nozdrza, niczym chrapy ogiera, podskakiwał, wymachiwał rękami i wołał:

– Nu a dziewczki patom! Patom! Toż to symbol, przenośnia, wskazówka, drogowskaz! Poza piosenką o „samoliotach” śpiewaliśmy obowiązkowo piosenkę o pracy, w której refren pouczał: „ – Jedno hasło na zawsze pamiętaj: do roboty! do roboty!”

Ponieważ miałem wszelkich haseł dość, zmieniłem treść refrenu: – Jedno hasło jak pacierz pamiętaj, do roboty” i tak śpiewałem. Pewnego dnia idziemy na masówkę. Miny gęste, włosy nie ostrzyżone, koszule bez krawatów, spodnie na okrągło, od miesięcy nie prasowane. Im niechlujniej,

tym bardziej roboczo, tym lepiej widziane. Wyjemy: „ – My ZeteMPE reakcji nie boimy się”, potem śpiewamy: – „Jedno hasło”... Ja podejmuję refren: „ – Jak pacierz pamiętaj”. Nagle czuję uderzenie w kark, a potem chrapliwy głos Staszka:

– Ty szubrawcu, sprzedawczyku, degeneracie! I ty śmiesz śpiewać o pacierzu? Chcesz propagować obce nam klasowo i życiowo idee? Ach, wiem, rozumiem – syczał – odkryłeś się przypadkowo i już wiemy, że jesteś parszywym klerykałem, obcym nam klasowo, w pełnym tego słowa znaczeniu wrogiem ludu! – Staszкови trzęsły się ręce, oczy latały, Wyglądał jak czubaryk z filmu, który złapawszy kułaka celuje w niego pepeszą, aby za chwilę w to parszywe, wraże ciało władować cały magazynek.

– Ależ Staszku – argumentowałem – Co ci do głowy przychodzi? Jaki tam ze mnie wróg? Jaki klerykał?

– Zaśpiewałem: – „Jak pacierz”, ponieważ jest to synonim obowiązku i nadrzędnej zasady, której jesteśmy podporządkowani. W ten sposób – plotłem trzy po trzy – pacierz miał inne znaczenie, niż modlitwa czy przejaw wiary. No – plątałem się, czując utkwiony w siebie nienawistny wzrok inkwizytora. – Może nie tak. Tu też chodzi o wiarę, tylko że wiarę w nasze wartości. Głównie w podstawową wiarę, jaką jest wiara w socjalizm i pracę.

Twarz Staszka spochmurniała, zbierał przez chwilę myśli. Moja argumentacja wyraźnie go poruszyła.

– Hm – rzekł po namyśle – przedstawię sprawę w Komitecie. Oni będą wiedzieli co z takim, jak ty zrobić...

Staszek zadziałał błyskawicznie. Na dywanik wezwano mnie do

Komitetu już nazajutrz. Tam ujrzałem przed sobą pełny zestaw znajomych gęb. Był Janusz, wtedy pierwszy sekretarz, Robek Lubicki, jego pierwszy zastępca oraz dwie członkinie egzekutywy: towarzyszką Rysiatowska, zwana towarzyszką „Rysią” oraz Wacia nosząca przydomek „pulumiotu”. Towarzysze mieli na twarzach wyraz oburzenia i napięcia, towarzyski – żalu i głębokiego zaniepokojenia.

Oto bowiem, jak zagaił pierwszy, zdawałoby się dobry, porządny uczciwy zetempowiec, zamiast śpiewać, jak należy właściwą, zachęcającą do boju pieśń, zaproponował co innego: pacierz!

– Pacierz, zważcie – szczurza twarz Janusza nabierała blasków, był w swoim żywiole, kiedy mógł kogoś „przycisnąć” – co oznacza wyznanie wiary do Boga, czyli czegoś, co nie istnieje, co przecież my, zetempowcy, wiemy świetnie. My bowiem, jako materialści, znawcy przodujących teorii naukowych, a przede wszystkim biologicznych, socjologicznych i medycznych z wiodącą teorią nerwizmu na czele wiemy, jakim „opium dla ludu” jest religia, wiara w bogów i wszelkie mamidła. Wstyd mi za was – mówił, spoglądając na mnie z wyrzutem Janusz. – Wstyd mi dlatego, albowiem włożyliśmy w was tak wiele nadziei, iż – szukał przez chwilę właściwego określenia – iż wierzyć się nie chce, że coś tak nieprawdopodobnego było możliwe. Wstyd mi również za was dlatego, że daliście policzek naszej organizacji. Czy wy, towarzysze – zwrócił się do pozostałych – macie coś do powiedzenia?

Jego wzrok zatrzymał się na Lubickim, który dostał się na studia dzięki zasługom organizacyjnym na terenie „budów” w rejonie podwarszawskim i w związku z tym brak pewności siebie nadrabiał arogancją i sztuczną pewnością siebie. Najdrobniejsze informacje przekazywane kursowi

odczytywał z kartki, nosił białe koszule, ale ich nie prał, więc wyglądały jak psu z gardła, wahał się z każdą wypowiedzią, bojąc się popełnienia błędu, pocił się pod pachami, zaś jego ręce były zimne i oślizłe. Taki typ miał mnie teraz sądzić i od takiego „człowieka z awansu” zależał mój los.

Kiedy więc Janusz spojrział wymownie na Lubickiego, ten zamrugał powiekami, jak gdyby mu ktoś wrzucił do oczu garść paprochów, potem uśmiechnął się nieszczercze i rzekł:

– Wahalem się, towarzyszu sekretarzu, ażeby nie być posądzony o wredność, ale jednak powiem to, co wiem. Zamilkł, zaś Janusz oświadczył:

– No, no. Chwali wam się, towarzyszu, taka postawa, chwali. Macie wahania moralne, a potem przedkładacie ideę ponad kolegowanie. To ważne, bardzo ważne. No więc jak, co od was usłyszymy?

– Ano to – podjął Lubicki – że dowiedziałem się od kolegi Kudedwornego, że kolega Sław powiedział do niego „do budy”, kiedy ten niechcący stanął mu przed mikroskopem. – Pomyślałem – wyznał z nagłą żalnością Lubicki – iż jest to dowód czegoś, co nazwałbym panicznykowatością albo jaśniepaństwem, ale może się mylę, więc niech mi koleżeństwo wybaczy, nie chcę nikomu uczynić krzywdy, a już koledze ze studenckiej ławy, przenigdy!

– O! – zawołał rozpromieniony emfatycznie Janusz. – Przeciwnie, kolego Lubicki. Przeciwnie! Dajecie w ten sposób dowód swego niezłomnego oddania naszej organizacji i naszej marksistowsko-leninowskiej idei! – O! – zawołał ponownie, unosząc ręce ku górze, niemal jak kapłan ku niebiosom. – Gdyby wszyscy tak rozumowali i wszyscy tak pojmowali nasze założenia, o ile szczęście naszej ludowej

ojczyzny byłoby bliższe!

Pomyślałem, że robi się gorąco. Napaść na mnie była groźniejsza, niż się tego spodziewałem. Dwóch sukinsynów chciało mnie wykończyć i miało ku temu pełne możliwości. Mogli mnie ukarać upomnieniem, naganą lub wyrzuceniem z ZMP. To ostatnie było karą najgorszą, albowiem równało się usunięciu z uczelni. Ogarnąłem spojrzeniem egzekutywę. Zebrani spoglądali na mnie i na sekretarza jednocześnie. Kiedy on marszczył czoło, oni czynili to samo, kiedy wydymał wargi, oni wydymali je również, kiedy mrużył oczy, oni naśladowali go bez reszty. Wyglądali jak świetnie dobrany zespół mimów, wyćwiczony sprawnie przez reżysera „pod jeden strychulec”.

Co robić – zastanawiałem się usilnie. – Przepraszać? Błagać o wybaczenie? Przeprowadzić samokrytykę? Pokajać się tak, jak robili to moi niektórzy koledzy? I kiedy tak gorączkowo rozmyślałem nad sposobami ratunku i ucieczki przed krwiożerczymi bestiami, na salę wszedł mój dobry kolega z grupy, Bernard z Sochaczewa, czyli Bernio.

Bernard z Sochaczewa... Te słowa brzmią, jak gdyby w drzwiach pojawił się udzielny książę, właściciel rozległych dóbr, wielki możnowładca. Było inaczej. Bernio był synem chłopca spod Warszawy, żeby było weselej, synem autentycznego kułaka, któremu łobuzeria nie zniszczyła gospodarstwa, ponieważ mądrze je podzielił pomiędzy czterech synów. Bernio – z racji swego chłopskiego pochodzenia oraz pełnienia wielu kursowych funkcji, miał wiele do powiedzenia na uczelni i nie musiał się nikogo bać. A że miał przy tym za sobą chłopskie lobby, więc tym bardziej partyjni i ZMP-owscy bonzowie się z nim liczyli. Kiedy więc wszedł na salę, natychmiast go zaproszono do grona sędziów i szybko

wtajemniczono w czym rzecz.

Bernio łypnął na mnie porozumiewawczo i rzekł:

– Proszę koleżeństwa. Ja myślę tak: Sław to nie jest wróg ludu. Sław to nie jest paniczyk, ani sobiepan. Sław to jest syn urzędnika, ubogiego inteligenta. Dużo czytał i nadal dużo czyta, myślę, że za dużo i dlatego gada różne głupstwa, w ogóle nie myśląc o sensie tego, co mówi. Ja bym tu zastosował karę, która by brzmiała tak: – Niech Sław złoży samokrytykę, obieca, że nie będzie tak dużo czytał, a my jego, nieszkodliwy w sumie wybryk, odpuścimy. Czy koleżeństwo się zgadza?

Koleżeństwo osłupiało. Janusz spoglądał z uwagą w twarz Bernia, wypatrując, czy nie dostrzeże przypadkiem w jego oczach wyrazu kpiny, ale twarz Bernia była wypełniona wyrazem powagi i troski oraz chęci pomocy mojej nędznej osobie. Pozostali z wielkim zainteresowaniem sporządzali notatki, co polegało na rysowaniu zamaszystych esów-floresów oraz jakichś znaków geometrycznych o zadziwiających plastycznie kształtach. Janusz bił się z myślami. Powinien mi przyłożyć, bo należała mi się przykładowa kara, z drugiej – nie chciał zadzierać z Berniem, ten bowiem mógłby się sprzeciwić, poskarżyć, zrobić pokazowe na wyższym szczeblu, z której mogłyby wyniknąć dla niego jakieś kłopoty. Wreszcie wybrnął za pomocą starego i wypróbowanego pytania:

– Co na to wy, koleżeństwo? Jak byście to skomentowali? Jak zareagowali? To jest, proszę was, sprawa, która wymaga kolektywnego rozpatrzenia i kolektywnej decyzji. Proszę więc: mówcie! Decydujcie! Doradzajcie!

Doszedłem do wniosku, że czas działać, albowiem i Janusz i koleżeństwo ochłonie i kolektywnie ze mną się rozprawi. Nachyliłem się

do Bernia i szepnąłem:

– Weź mnie pod kuratelę. Słowa powyższe nie były jedynie wezwaniem o pomoc. Chodziło mi o to, aby Bernio, absolutnie pewny i oddany ludowej rzeczywistości, zechciał rozciągnąć nade mną nadzór, czyli kuratelę.

Niestety, Bernio miał kłopoty ze słuchem i mnie nie dosłyszał. Kopnąłem go w nogę, ale i to nie pomogło. W tej sytuacji napisałem na karteczce „kuratela” i pokazałem ją Berniowi.

Moją korespondencję zauważył Lubicki i wrzasnął:

– Co ja widzę! I co ja zauważam! Podpowiedzi? Porozumienia? Proszę mi natychmiast pokazać kartkę!

– Tak – pomógł mu Janusz – pod karą organizacyjną pokażcie, coście do towarzysza Bernia napisali!

Podniósł się i ruszył ku mnie, ja zaś upuściłem kartkę, i natychmiast rzuciłem się pod stół, gdzie kartkę połknąłem. Bernio wskoczył za mną i tam zapytał:

– O co ci chodzi? Czego chcesz?

– Kurateli! – odparłem.

– Czego? – powtórzył Bernio. – Kurateli? – Bernio nie rozumiał znaczenia słowa kuratela, więc mu szybko podpowiedziałem.

– Nadzoru, baranie!

– Ach, nadzoru – zorientował się wreszcie Bernio – sam chciałem to zaproponować!

Wyszliśmy spod stołu i Bernio rzekł:

– Niczego nie znaleźliśmy.

– Więc gdzie jest kartka? – wrzasnął Janusz – Sam widziałem kartkę w

ręku Sława!

Po tym oświadczeniu wszedł pod stół, za nim Robek i obie zetempowny. Po chwili wszyscy wrócili na swoje miejsca i Janusz zapytał:

– Towarzyszu Berniu, zadaję wam pytanie organizacyjne: co oskarżony Sław napisał na kartce?

– Pytał na kartce, czy nie mam papierosa – odparł z powagą Bernio.

– Czy wyście poszaleli? – Janusz bił pięścią w stół. – Ja wam tu mówię o poważnych sprawach, a wy piszecie o papierosach? Czy to się godzi? – przez chwilę zbierał myśli. – Ja was – szukał słów, blady ze złości. – Ja was oddam egzekutywie!

– Towarzyszu przewodniczący – przerwał wywody Janusza Bernio.

– Ja mam myśl! Ja mam pomysł!

– Jaki pomysł? Jaką myśl? – zaskowyczał Janusz. – Co wy znowu kombinujecie?

– Ja uważam – rzekł Bernio – że jest moim obowiązkiem wzięcie Sława pod nadzór. Pod kuratelę! – dodał z mocą.

– Pod co? – zapiszczał Janusz. – Pod jaką kuratelę i po co pod kuratelę? – Janusz miał siną twarz, z warg ściekała mu ślina, wyglądał tak, jak człowiek chory na nadciśnienie, tuż przed wylewem krwi do mózgu.

– Pod opiekę, pod porękę. Poręczenie! – Bernio mówił szeptem. – Czy koleżeństwo się zgadzacie?

Koleżeństwo się zgodziło. I tak za sprawą Staszka dostałem się pod kuratelę Bernia.

* * *

Teraz Staszek siedział przede mną zgaszony i wymięty ze łzami w

oczach:

– Oni zabiją mojego ojca – powiedział – oni go nie wypuszczą. Po chwili dodał:

– Nie wiem, dlaczego do ciebie przyszedłem. Właściwie to nie mam do kogo iść – dodał szczerze, jak bezradne dziecko. – I nie wiem, co robić.

– W porządku – powiedziałem. – Zostaniesz u mnie przez parę dni. Odpoczniesz, dojdiesz do siebie, a potem ustalimy co robić...

* * *

W przychodni nie da się niczego ukryć. Wszyscy o wszystkich wiedzą, a kiedy mężczyzna z kobietą „sparują się” ze sobą, są na muszce wszystkich. Inka ostrzegła mnie wiele razy, że tak będzie z nami, aleja nie zwracałem uwagi na jej ostrzeżenia. Pewnego dnia wpadłem do jej gabinetu i zawołałem:

– Chodź! Mam godzinę czasu!

– Uspokój się, wariacie! – odparła ściszym głosem Inka. – Tu wszystko słychać!

– Będę krzyczał, jeśli nie wyjdiesz!

– Cóż to – Inka wyduła śmiesznie wargi – szantaż?

– Szantaż! – odrzekłem z determinacją. – Jeśli ze mną nie pójdziesz, zacznę krzyczeć!

– Hm – Inka przyjrzała mi się z uwagą. – Widzę, że towarzystwo pani Uli nie wpływa najlepiej na twoje samopoczucie. Ale dobrze, już dobrze – zawołała, ujrawszy moją minę. – Wyjdź i zaczekaj na mnie za rogiem. Będę za dziesięć minut.

Zrobiłem, jak mi poleciła. Przyszła nieco później, niż obiecała. Nie

tłumaczyła się, ja zaś nie robiłem jej wyrzutów. Najważniejsze było to, że miałem ją obok siebie i że w chwilę później jechaliśmy do jej mieszkania. Mąż był za granicą i przez trzy tygodnie mieliśmy chatę wolną.

Kochaliśmy się inaczej. Nie, to nie znaczy, że szukaliśmy jakichś wyuzdanych pieszczot czy wyrafinowanych metod, przedłużających, jak to wspólnie nazywaliśmy „nasz czas”. Tym razem poskramialiśmy intensywność i gwałtowność, wchodziliśmy w siebie łagodnie i majestatycznie, z namaszczeniem i powagą. Ten dziwny, zdarzający nam się po raz pierwszy sposób naszego powiązania i oddania, spowodował ogromną falę tkliwości i więzi oraz potrzebę osobistych wynurzeń.

Zacząłem pytać Inkę o jej sprawy osobiste. Odpowiadała szczerze, nie ukrywała niczego. Potwierdziła więc to, co opowiadała mi uprzednio pani Ula. Było więc prawdą, że mąż nie chciał się zgodzić na małżeństwo. Musiała użyć szantażu: powiedziała, że się nie wyprowadzi albowiem jest dziewczyną z dobrego domu, panienką i byłby to wstyd nie do zniesienia, gdyby się nagle okazało, że została puszczona kantem.

– Kto by się wtedy mną zajął? Kto by się ze mną ożenił? – pytała.

– Musiałabym przez ciebie uciekać z miasteczka, zacierać ślady, jak jakaś przestępczyni. Potrafisz do tego dopuścić? – pytałam Lucia szczerze.

– Potrafisz mnie zostawić na lodzie? Moje argumenty wywarły na Luciu wyraźne wrażenie. Myślał, myślał i wreszcie oznajmił, że znalazł rozwiązanie. – Pobierzemy się – zdecydował. – I po dwóch, trzech miesiącach rozwiedziemy. Nie będziesz przeze mnie panną, która spała i mieszkała u kawalera, ale rozwódką, co zmienia całkowicie kwalifikację sprawy. Rozwódek jest teraz mnóstwo, nikt się ich nie czepia, ba, są nawet w modzie. Co ty na to?

Poczułem lekkie klucie za mostkiem. Każde większe wzruszenie powodowało, że w tym właśnie miejscu coś mnie uwierało. Pani Ula miała rację: Inka wykołowała durnia w taki sposób, iż jej słowa powtarzał jako własne.

– Zgodziłaś się – powiedziałem.

– A co miałam robić – odparła z nagłym smutkiem Inka.

– Zgodziłam się. Musiałam się zgodzić. Nie miałam wyjścia. Musiałam wytrzymać i wytrzymałam. Bardzo mnie potępiasz?

Zmarkotniałem.

– Świat jest wstrętny – pomyślałem. – Same oszustwa, interesy, układy, szantaże, walka. Co by nas łączyło, gdyby nie seks?

– Nie mam prawa cię potępiać – odparłem z nagłą zarliwością.

– I nie chcę potępić. – Najważniejsze jest to, że jesteś ze mną, że mogę cię kochać i wielbić, że dajesz mi szczęście, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałem. O – westchnąłem. – Jakże pragnąłbym, żebyś kochała mnie równie silnie, jak ja ciebie...

Oczekiwałem odpowiedzi, ale Inka pociągnęła mnie na tapczan. Kiedy wreszcie wstaliśmy zmęczeni, aby napić się kawy, zapytałem:

– Czy mogę, Inka, powrócić do tematu, o którym mówiliśmy poprzednio?

– Pytaj o co chcesz – odparła bez wahania Inka. – Nie mam przed tobą tajemnic.

– Dziękuję. Powiedz mi zatem, co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę? Inka roześmiała się szeroko. Nie była zaskoczona moją dociekliwością.

– I o tym pomyślałam – odparła bez namysłu. – On nie chce dziecka, ale sprzeciwić się nie będzie. – „Jeśli urodzisz dziecko __powiedział – to

z nim odejdiesz. Ja płacić alimentów nie będę.

Zobowiązanie odnośnie do naszego układu podpiszemy notarialnie, a na razie możesz spać w służbówce. Będę do ciebie czasami zachodził”.

– I zachodzi?

– Raczej rzadko – odparła z lekceważącym gestem Inka. – On może żyć bez tego.

– To po co cię trzyma?

– Lubi mnie myć. To jedno, co go podnieca.

Znów poczułem klucie serca. Traktuje ją jak własność – pomyślałem. – Myje, ogląda, czasem pieści, czasem nie, potem idzie do siebie i zasypia. Straszne!

Wstałem i ubrałem się. Inka zrobiła to samo.

– Czy coś nie tak? – zapytała. – Za dużo powiedziałam?

– Tyle, ile należało – odpowiedziałem. Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę. Inka wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Cześć.

– No to cześć – odparłem i wyszedłem bez pocałunku i uścisków. Kochałem ją i nienawidziłem jednocześnie. Zdawałem sobie ponadto sprawę, że żyć bez niej nie potrafię. Byłem ubezwłasnowolniony. Wiedziałem, że gdyby było inaczej, nie darzyłbym jej takim uczuciem. Tak było zawsze. Gdybym nie cierpiał, nie byłbym szczęśliwy. Musiałem być nieszczęśliwy, aby kobieta dała mi szczęście.

* * *

Staszek przebywał u mnie kilka dni, potem pojechał do Ciechocinka, aby odebrać z sanatorium swą matkę.

– Nie wiem, jak ona to wytrzyma – rzekł Staszek, żegnając się ze mną.
– Czuję, że ojca już nie zobaczymy.

– Wpadaj do mnie jak najczęściej – zaproponowałem – pogadamy o dawnych czasach, będzie ci rażniej.

– Dzięki – odparł Staszek. – Wpadnę, jak tylko będę coś wiedział o tacie. Na razie!

– Na razie!

Staszek pognał do siebie, ja zaś pomyślałem, że nasz wzajemny stosunek jest teraz inny niż przedtem, że pękła jakaś tama, czy krata, zapora, która nas do tej pory dzieliła.

Rzeczą charakterystyczną dla tych strasznych czasów, w których przyszło nam żyć, było to, że różnice poglądów nie tworzyły z nas wrogów, że po awanturach i pyskówkach na temat reakcji, zauszników imperializmu, kułaków, prywaciarzy i burżujów, szliśmy na filmy w rodzaju „Świniarki i pastuch”, „Sekretarz rejkomu”, „Czapajew” czy „Nauczycielka wiejska”, aby sobie pogwizdać, pohłasować, czy wręcz robić „drakę”, po której trzeba było wiać przez okno lub zapasowe drzwi przed wezwaną przeciwko nam milicją.

Kiedy po raz pierwszy polskie chóry zaprezentowały słynną kantatę Arama Chaczaturiana na cześć Stalina, w której znajdował się werset *Ty wyszedłeś jak słońce zza gór i poznaliśmy słodycz wolności* przepisaliśmy tekst dla naszego młodzieżowego chóru z błędami w rodzaju: – *Wyszła dupa jak słońce zza gór* lub *towarzyszu Sralin*.

Rzecz ciekawa, melodie tych piosenek były piękne. Chaczaturian był znakomitym kompozytorem, autorem koncertu skrzypcowego i fortepianowego, utworów o niebywałej ekspresji. Któż zresztą nie znał

jego muzyki baletowej pod tytułem „Gajane”? Podobnie było z innymi dziełami w rodzaju kantat, pieśni, ba, nawet piosenek.

Kończąc zetempowskie zbiorowiska śpiewaliśmy w skupieniu *Stań razem z nami, dotrzyмай kroku, splata nam ręce braterska więź* etc, etc. Piszę „w skupieniu”, albowiem przy innych stale ktoś kasłał, zmieniał tonację lub buczał, co psuło rytm i wywoływało awantury z „nacjonalstwem”.

Skąd zatem brało się owo „skupienie”? Ano z muzyki, rytmu, melodii. Wracając do naszych niebezpiecznych zabaw, wspomnę jeszcze o wieczornicach, w czasie których deklamowaliśmy wzruszające wierszydła i dziękczynne poematy pisane przez naszych nadwornych pisarzy na cześć Stalina i Bieruta, psuliśmy transparenty, przedstawialiśmy litery „a” w szturmówkach i rozlewaliśmy na wspomnianych powyżej tekstach atrament. Potem trójki lekkiej kawalerii szukały sprawców, zaś Janusz grzmiał, iż mamy tu siedlisko reakcji, wrogów ludu, wszeteczników i sługusów imperializmu, których znajdziemy, zniszczymy, rozdepczemy tak, jak rozdeptuje się pluskwy i poćwiartujemy tak, jak ćwiartuje się wieprze i ślad po nich nie zostanie. Zgodnie ryczeliśmy ile sił w gardłach, że tak, rozdepczemy, zniszczymy, wyprowadzimy, ujawnimy, niech nie myślą swołocznie, że im to ujdzie, nie, nigdy nie przebaczymy i niech wiedzą, że ich ręka sprawiedliwości prędzej czy później dopadnie.

Staszek był zresztą mistrzem mistyfikacji. Do legendy przeszedł jego słynny egzamin z pediatrii, gdzie Staszek przeszedł siebie.

Profesor, słynny pediatra i uczonek, wielkość i indywidualność w każdym calu, interesował się poza pediatrią, filozofią. Był tak nią przejęty, że o niczym innym nie potrafił mówić, jak tylko o problemach bytu,

prawdy, szczęścia i celu istnienia. Przez szereg lat przygotowywał „dzieło życia”, podręcznik pediatrii, w którym proporcje rozważań filozoficznych w stosunku do pediatrycznych miały się, jak cztery do jednego.

Wydawnictwo odrzuciło podręcznik i sędziwy profesor chodził oburzony i obrażony na cały świat, który, jego zdaniem, nie potrafił docenić jego nowatorskiej myśli wybiegającej daleko naprzód w myśleniu lekarskim.

– Jest bowiem tak – argumentował profesor – że o chorym dziecku medyk będzie słyszał przez całe życie, o filozofii – tylko teraz.

Wreszcie po długich swarach, poprawkach, obrazach i nieporozumieniach podręcznik został wydany. Proporcje materiału filozoficznego do fachowego miały się jak jeden do czterech. Profesor był niepokieszony.

I tu powróćmy do Staszka. Jest sesja. Zdajemy kolejne egzaminy. Kujemy, jak szaleni. Nie możemy oblać ani jednego egzaminu, albowiem załamałby się plan zdania wszystkich. Powód? Nie starczyłoby czasu na naukę. I oto nagle Staszek wypada z biegu. Oblewa egzamin poprzedzający pediatrię. Może ów egzamin poprawić, ale wówczas na pediatrię zostaje mu dwa dni. Staszek decyduje się na poprawkę, na pediatrię idzie nieprzygotowany. I oto co się dzieje – podaję *relata referro* za Staszkiem, jak było naprawdę, wie tylko on i profesor.

A więc Staszek wchodzi do gabinetu, kłania się szarmancko, zbliża się do profesora, chwyta jego rękę i chce ją pocałować. Profesor cofa rękę i woła:

– Co pan robi? O co panu chodzi?

– Panie profesorze! – woła Staszek – przyszedłem panu gorąco i z

całego serca podziękować – tu zawiesił głos, zaś profesor zaskoczony i zdumiony, zapytał: – Za co?

– Za to, co pan napisał – odparł Staszek z powagą – za pański podręcznik.

– O! – podręcznik – jęknął profesor. – Niech pan mi o nim nie wspomina: to koszmar, pomyłka, życiowa przegrana!

– Panie profesorze! – zawołał Staszek – przyszedłem paść panu do nóg w podziękę za pańskie dzieło!

W tym momencie profesor wstał i chciał coś rzec, ale Staszek nie dopuścił go do głosu.

– Ono wprowadziło mnie w to, czego dotychczas nie rozumiałem, wskazało drogę myślenia, wytyczyło cele, pozwoliło zrozumieć myśl główną medycyny, jej istotę, sens istnienia i działania. Ja – Staszek zawiesił na moment głos, potem poprawił swą wypowiedź. – I ja, i moi koledzy będą mieli kontakt z pediatrią przez całe życie. Z filozofią, mam na myśli prawdziwą filozofię, a nie jakieś tam popłuczyny – Staszek umiejętnie modulował głos – nigdy! I na tym polega tak wielka wartość pańskiego podręcznika, za który chciałbym tu podziękować.

Staszek zamilkł i czekał na efekt swych słów. Wiedział, że teraz ważą się jego losy. Mógł wylecieć za drzwi, mógł zaliczyć przedmiot bez kłopotu. Co zrobi profesor?

Profesor milczał przez moment, potem ujął ręce Staszka, uściskał je i rzekł:

– Drogi, najmilszy kolego! Nie znam pana matki, ale proszę jej powiedzieć, że wydała na świat nieprzeciętnego i wspaniałego człowieka. Jestem szczęśliwy, że pana poznałem. Poproszę o indeks!

Staszek, uszczęśliwiony, podał go profesorowi do podpisu, ale ten nagle zawahał się i rzekł:

– Hm, hm, muszę pana o coś zapytać, przecież za intelekt nie będę panu stawiał stopnia, bo nie ma w naszej skali takiego stopnia, na jaki pan zasługuje. Niech mi pan zatem powie: – Jakie są prądy w ciele człowieka, a raczej, jakie aparaty określają te prądy? – Staszek odetchnął. Nic mu nie groziło.

– EEG i EKG! – wykrzyknął. – Hm – mruknął profesor z nieodgadnioną miną. – Jest jeszcze coś... – Staszek zmartwiał. A trzeba tu zaznaczyć, że wszystkie jego stany duchowe, rozterki, gniew i lęki, natychmiast uwydatniały się w zmianach wyrazu jego twarzy.

– Niech pan nie wpada w panikę – rzekł dobrotliwie profesor. – Wszak pan o tym świetnie wie.

A kiedy Staszek nadal milczał, rzekł:

– Pomogę panu. Niechaj mi pan zatem powie, jakie są kobiety? Staszek, stary podrywacz, omal nie podskoczył z uciechy:

– Różne! – palnął bez zastanowienia. Profesor uśmiechnął się wyrozumiale.

– Fakt – powtórzył. – Ma pan rację. Różne. Ale jest wśród nich pewien ich szczególny rodzaj. – I tu zaczął chichotać: – Chi, chi, chi...

– Histeryczki – wykrzyknął z nieukrywaną radością Staszek.

– No widzi pan – ucieszył się profesor – jeśli są histeryczki, to jest i histerogram. Ach – westchnął – gdyby wszyscy byli tacy, jak pan! – otworzył indeks i wpisał Staszekowi stopień. Staszek zajrzał do wpisu i ze zdumienia omal nie padł! Profesor postawił mu celująco!

Dziś odwiedził mnie ponownie. Był opanowany, spokojny, jakiś inny.

Dojrzałszy! O! Właśnie dojrzałszy. To ostatnie określenie najlepiej oddaje obecne cechy osobowości Staszka.

– Co z ojcem? – zapytałem, wprowadzając go do pokoju.

– Nie wiem nic. Nie mam żadnej wiadomości. – Staszek siadł ciężko w fotelu. – Wiesz – rzekł po chwili – wyrzucili nas z Warszawy. Mieszkam z matką pod Aninem w baraku. Połowa mebli już zginęła. Jak tak dalej będzie, będziemy goli i bosy.

– Dopadli go – pomyślałem. – Tak jak mojego tatę po powrocie z Murnau.

... Pewnego dnia zastałem ojca oglądającego w zamyśleniu jakiś papierek. Miał poszarzałą twarz i smutne, głęboko zapadnięte oczy. Zobaczywszy mnie usiłował dokument schować, ale wyrwałem mu go z rąk. Tekst brzmiał lakonicznie: – „Z dniem dzisiejszym zwalniamy obywatela z pracy”. Koniec. Kropka. Żadnego usprawiedliwienia czy wyjaśnienia. Obydwaj wiedzieliśmy, o co chodzi. AK. Powstanie. Murnau. Oddałem parszywe piśmidło ojcu i zapytałem:

– I co dalej? – Ojciec uśmiechnął się z trudem.

– To już czwarte zwolnienie. Pójdę na fizycznego. Inaczej nie da rady.

– Tato – zapytałem. – Jak tu żyć? Twarz ojca nagle pojaśniała.

– Pytasz, jak żyć? – zagadnął. – Jak tu żyć – powtórzył. – Coś ci opowiem. Rzecz z Powstania. Z moich walk – ojciec wyraźnie się ożywił.

– W moim oddziale było kilka łączniczek. Były to młode, śliczne dziewczyny, za którymi oglądali się nie tylko moi chłopcy. – Ojciec wspominając Powstanie zawsze wpadał w swadę i dobry nastrój. – Podkochiwały się w nich całe plutony młodych wojaków, tworzyły się sympatie, związki trwalsze, małżeństwa. Jedna z dziewczyn miała na imię

Lusia, pseudonim „Ważka”. Zakochał się w niej z wzajemnością podchorąży Władek, pseudonim „Stok”. Spotykali się na piętrach opustoszałych domów pierwszej linii, na klatkach schodowych, w bunkrach. Wreszcie powiadomili mnie, iż pragną się pobrać, oraz że proszą mnie, abym wystąpił w roli świadka i taty. Zgodziłem się z ochotą i wkrótce potem odbył się ich polowy ślub, po którym „wyjechali” na drugie piętro świeżo odbitego budynku. Tej samej nocy Niemcy przypuścili szturm, co im wcale nie przeszkadzało w uprawianiu miłości. Nad ranem stukasy zbombardowały sąsiedni dom, a następnie budynek, w którym znajdowali się „Ważka” i „Stok”. Podczas nalotu zawaliła się klatka schodowa, w wyniku czego młodzi małżonkowie zeszli po drabinie, umorusani, zakurzeni, ale weseli i szczęśliwi. – „Nas się bomby nie imają” – powiedziała Ważka, zaś Stok dodał: – „Nasza miłość je odstrasza!”

I chyba odstraszała. Chodzili potem w to samo miejsce codziennie. Mogli w każdej chwili zginąć, mogła ich rozerwać na strzępy niemiecka bomba, mogli się dostać w łapy atakujących kałmuków i esesmanów, mogli ulec spaleni, mógł ich rozerwać pocisk „szafy”, a oni nie zważając na przeszkody robili swoje. – I wiesz – rzekł w zamyśleniu ojciec – Nadałem ich uczuciu nazwę „miłość pod urwiskiem”. Początkowo ta nazwa miała charakter żartobliwy, później zaś, zwłaszcza tu, nabrała charakteru bardziej ogólnego, symbolicznego. Myślę – rzekł wtedy mój tata – że tak właśnie trzeba żyć, jak byśmy żyli pod bezustannym ostrzałem, oko w oko z niebezpieczeństwem, twarzą w twarz z zagrożeniem. Żyli – powtórzył z naciskiem ojciec – żyli, czyli kochali się, mieli plany, marzenia, wierzyli w przyszłość będąc pod urwiskiem... – Tak to jest – zakończył tata swą opowieść. – Dlatego idę bez oporu na

fizycznego. Oni sobie, a ja sobie. Tak właśnie się żyje „pod urwiskiem”!

– Napisałem list do Bieruta – rzekł Staszek – Posłuchasz? Podałem Staszce herbatę i kieliszek „babcinego” wina.

– Czytaj – rzekłem. – Zamieniam się w słuch.

Wielce Szanowny i Drogi nam towarzysz Bierut – czytał Staszek. – Ja, zetempowiec i były zetwuemowiec, Stanisław Socer. Zwracam się do Was, jako do mego przewodnika i autorytetu, obrońcy i doradcy i komunikuję: przedstawiciele Informacji Ludowego Wojska Polskiego aresztowali mojego ojca, oficera LWP pod zarzutem zdrady i działania na rzecz imperialistów. Następnego dnia wyrzucono mnie wraz z matką do baraków nad Wisłą, gdzie nas w nocy okradziono. Jako wierny członek ZWM i ZMP oraz kandydat naszej Partii, oddany bez reszty głoszonej przez Was świetlanej idei socjalizmu, ośmielam się prosić Was o pomoc, to znaczy: 1) sprawdzenie, czy oskarżenie nie jest pomyłką, albowiem według mojego rozeznania ojciec mój był oddany bez reszty swej ojczyźnie i swemu wojsku, czemu dawał wielokrotnie w swych wystąpieniach pełny wyraz; 2) przywrócenie nam mieszkania, znajdujemy się bowiem w baraku nad Wisłą, w jednym pokoiku bez kuchni i łazienki, gdzie nie możemy pomieścić nawet części naszych mebli, z poprzedniego czteropokojowego mieszkania, w związku z czym już nas okradziono. Obok nas koczują elementy pijackie i kryminalne, co moja, ciężko chora matka, znosi bardzo ciężko. Nadmieniam jednocześnie, że dla mnie, tak bardzo oddanego naszej sprawie, komunisty, aresztowanie ojca jest szokiem i traktuję je jako tragiczną i straszliwą w skutkach pomyłkę. Błagam Was przeto, Towarzyszu Bierut, o szybką i sprawiedliwą interwencję, tylko bowiem Wy

możecie nam pomóc i w Was jedynie, Towarzyszu Bierut, wierzę dziś bez reszty, Oddany Wam całkowicie i bez reszty, z zetempowskim pozdrowieniem

Stanisław Socer

Zapadło milczenie. Pierwszy przerwał je Staszek.

– Upodlenie – rzekł cicho. – Straszliwe upodlenie. Czuję obrzydzenie do siebie samego, ale inaczej postąpić nie mogłem. Jeśli Bierut nam nie pomoże, to nikt palcem w mojej sprawie nie kiwnie.

– Nie miałeś wyboru – powiedziałem bez przekonania. – List Staszka napawał mnie takim samym obrzydzeniem, jak parszywa ideologia doprowadzająca do tak straszliwego upokorzenia. – Gdzie my żyjemy? – zadałem sobie nie wiedzieć po raz który pytanie. – I za co tak cierpimy?

– Zastanawiam się – rzekł Staszek. – Dlaczego mój ojciec im wierzył: wiedział więcej niż ja, znał ich lepiej niż ktokolwiek inny, a nie potrafił niczego przewidzieć. Dlaczego?

– Nie mógł – powiedziałem. – Nie potrafił. Żyjemy w stanie kłamstwa i tak już będzie zawsze.

– Stan kłamstwa – powtórzył w zamyśleniu Staszek i podniósł kieliszek. – Napijmy się – zawołał ze sztucznym animuszem. – Może coś się zmieni.

– Nic się nie zmieni – pomyślałem, ale podtrzymałem. – Abyśmy!

– Abyśmy – powtórzył bezbarwnie Staszek.

Spojrzałem za okno. Od paru dni zbierało się na burzę i chmury wisiały nisko. Zaczął siąpić deszcz, od zachodu zbliżał się chłodny niż. Dołałem nalewki do kieliszków.

* * *

Nurtowała mnie bezustannie myśl o przeszłości Inki, jej środowisku i wychowaniu. Chciałem poznać jej rodziców i koleżanki. Byłem bezradny, albowiem o Ince i jej sprawach mogłem dyskutować tylko i wyłącznie z panią Ulą. Ona – jak dotąd – pozostawała moją jedyną rozmówczynią i najlepszą powierniczką. Powędrowałem tedy, chcąc nie chcąc, przed jej oblicze. – Pani Ulu – powiedziałem – chciałbym z panią porozmawiać.

Pani Ula zmarszczyła brwi, zaś na jej tłustej twarzy pojawił się wyraz niechęci.

– O Ince, ma się rozumieć?

– Tak – powiedziałem. – O Ince.

– Wszystko, co chciałeś wiedzieć, wiesz – odburknęła pani Ula.

– Co chcesz jeszcze wiedzieć?

Opowiedziałem Uli o moich dotychczasowych rozmowach z Inką oraz o jej zwierzeniach.

Pani Ula wzruszyła ramionami.

– Dorabia sobie piórka, bezwstydną suka – mruknęła z nienawiścią. – Czy ty w to wierzysz?

– Chcę ją zrozumieć.

– Coś takiego! – fuknęła pani Ula. – Nie ma pan innych zajęć?

– Pani Ulu – odparłem. – Ja ją kocham.

– Kocham, kocham – przedrzeźniała mnie parokrotnie Ula.

– Mało panu tego, co pan dostał? Chce pan więcej? Małżeństwa? Z taką zdzirą? Z rogami, których pan na swoim głupim łbie nie zliczy?

– Pani Ulu! – podniosłem lekko głos. – jest pani wulgarna! W

odpowiedzi pani Ula wrzasnęła:

– A ty coś za jeden? Lepszy? Mądrzejszy? – Na moment zamilkła, następnie zgaszonym głosem zaczęła pytać:

– Czy ty myślisz, że ja jestem jakaś lokalówka czy „gruzinka”? Tylko łóżko i dobry chłop w tym łóżku? Czy nie przyszło ci na myśl – jej głos miał teraz intonację płaczącą – że ja mogłabym kogoś pragnąć, kogoś chcieć, z kimś się zestarzeć? – Pani Ula otarła oczy. – Ale wiem – powiedziała – mój wygląd, moja tusza, moja śmieszność ani nie pozwalają mi osiągnąć mych marzeń, ani zrealizować zamierzeń. Nigdy przeto nie będę miała mężczyzny prawdziwego, czyli takiego, który by mnie naprawdę kochał. I dlatego rznę starą idiotkę, chętną do ciupciania, gotową na każdą okazję w dzień i w nocy. A kiedy przychodzi noc, płaczę. Czego pan chce, panie doktorze? – zapytała, kończąc w dość nieoczekiwany sposób swą przemowę. – Wiadomości o jej rodzinie? Matce? Ojcu? Czy o to panu chodzi?

– Tak – potwierdziłem – o to właśnie. I przepraszam za to, co powiedziałem – dodałem niezręcznie. – Plotę głupstwa, bo mi na niej zależy, ale przecież pani świetnie wie, pani Ulu, jak bardzo panią lubię i szanuję.

Pani Ula pokiwała głową z wyrozumiałością.

– Fakt, że pleciesz głupstwa. Straszliwe. I okropne. Ale wybaczam ci, bo cię lubię. Mów, czego chcesz.

Powrót do zwrotu per „ty” oznaczał także powrót dobrego humoru. Przeskakiwanie od nastroju skrajnej rozpacz do skrajnego optymizmu odbywało się u pani Uli w ciągu ułamka sekundy.

– Chciałbym dowiedzieć się coś niecoś o jej rodzicach.

– Tylko „coś niecoś”?

– Hm – odchrząknąłem. – Tyle, ile się da.

– W porządku – rzekła pani Ula. – Dam ci adres jej ojca. Idź, pogadaj. Sam zobaczysz.

Sięgnęła po torebkę, szukała przez chwilę w jej wnętrzu, wreszcie wyjęła jakąś kartkę, przybliżyła do oczu, była bowiem bez okularów i rzekła:

– Spoina piętnaście. Trzecie piętro. Mieszkanie numer sto dwadzieścia osiem. Tam mieszka jej ojciec Robert Kolecki. Pamiętaj: zameldujesz się po powrocie. Jasne?

– Jasne, pani Ulu. Jasne!

* * *

Dziś wybrałem się na Spoiną. Drzwi mieszkania numer sto dwadzieścia osiem były brudne i obdrapane. Na ścianach znajdowały się plamy po rzygowinach, na schodach pomięte opakowania, skórki po chlebie i pety po papierosach. Zapukałem. Po paru minutach usłyszałem czyjeś człapanie, rozległo się szczęknięcie zamka i w drzwiach stanął pomarszczony, siwowłosy mężczyzna z przekrwionymi powiekami i obrzękami pod oczami.

– Pan do kogo? – zapytał, obrzucając mnie pełnym niechęci spojrzeniem.

– Szukam pana Koleckiego. Ojca Inki.

Wyraz oczu mężczyzny uległ zmianie: zamiast niechęci pojawiła się w nich rezygnacja.

– Proszę – rzekł. – Niech pan wejdzie.

Ruszył pierwszy; ja powędrowałem za nim. Na końcu długiego korytarza znajdował się mały pokój, w nim stół, dwa krzesła, lustro na konsolce i dwa obrazy o treści religijnej. Mężczyzna wskazał mi krzesło. Usiadłem.

– Kim pan jest? – zapytał, siadając na drugim krześle. Opowiedziałem mu o poznaniu Inki oraz moich poważnych w stosunku do niej zamiarach.

– Chce się pan z nią ożenić? – zapytał w odpowiedzi mężczyzna.

– Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. Ale – zarechotał nagle, po czym sięgnął po butelkę wódki i nalał do kieliszków. – Ale – powtórzył – Ona ma już męża!

Rechocąc, plując śliną, wręczył mi kieliszek i rzekł:

– Pij pan za jej zdrowie!

Spełniłem toast, nie chciałem bowiem zrazić swego rozmówcy odmową. Wychyliłem jednakowoż tylko kilka kropli, tymczasem ojciec Inki wypił zawartość kieliszka jednym haustem, potem nalał sobie następny. Posmakował, znowu wypił, nalał sobie trzecią kolejkę. Znowu zarechotał:

– Więc tak: Inka ma męża, ale chce wyjść za pana. A co pan zrobi, kiedy będąc pańską żoną zechce wyjść za jakiegoś kolejnego fagasa? No jak – łypnął na mnie jak stary kumpel na swego przyjaciela, który niespodzianie znalazł się w opałach. – Co pan wtedy zrobi?

– Nie wiem – odparłem. – Może tak nie będzie. Jak pan sądzi? – zapytałem. – Co leży u podstaw jej działania?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Spojrzał w kierunku okna. Było małe, zabrudzone resztkami zabitych much, zasnuwane pajęczyną. Po bokach zwisały resztki zerwanej firanki.

– Co leży u podstaw jej działania? – sięgnął po kieliszek, opróżnił go i rzekł: – Niektórzy obciążają mnie, ale Bóg mi świadkiem, że nie jestem winien rozpadowi domu i samobójstwu żony. Odchodziła ode mnie, potem wracała, biłem ją, to fakt, ale który zdradzony mąż nie bije żony, jeśli mu, rzecz jasna, na niej zależy? No, bo sam pan rozumie – monologował. – Czy podnosi się rękę na dziewczynę, którą ma się w nosie?

Mężczyzna nagle zamilkł i popadł w zamyślenie. Zadałem mu jeszcze kilka pytań na temat Inki, jej lat szkolnych, przyjaciółek, kolegów oraz matki, ale większość pominął milczeniem. Nagle wstał.

– Ja myślę – rzekł, – ja myślę – powtórzył – że my nie mamy o czym mówić. – Splunął na podłogę i roztarł plwocinę butem. – Za pół roku będzie tu pański następca i też będzie szukał przyczyn jej zdrady. Mam już tego dość! – zawołał z nagłą złością. – I dlatego mówię: wynoś się pan i więcej tu nie wracaj.

Wstałem i ruszyłem ku wyjściu. Kiedy byłem przy drzwiach, zawołał:

– Chwileczkę! Niech pan zaczeka! Mam tu coś dla niej. Jej listy i pamiętnik. – Podeszedł do mnie, wręczył mi plik papierów okręcony sznurkiem. – Jestem chory, niedługo umrę. Nikogo to nie obchodzi, ja również nigdzie pomocy nie szukam. Zechce pan jej wręczyć te szpargały.

– Oczywiście.

– No to dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia.

Pociąg do Warszawy trząsał się i sapał, ja zaś zastanawiałem się nad jednym: czy wypada zajrzeć do zawartości pakunku, który wiozłem dla Inki, czy też nie. W końcu doszedłem do wniosku, że sytuacja, w jakiej się znalazłem, usprawiedliwia mnie w pełni i sięgnąłem po pamiętnik. Jąłem

przerzucać kartki, aż wreszcie znalazłem rozdziałik zatytułowany:

Moja przyszłość – mój dom.

Inka pisała:

Moim ideałem jest dom Ani z Zielonego Wzgórza. Albo własny. Będzie w nim rojno i gwarno. Mój mąż, dzieci, rodzice i goście. Nigdy nie będziemy się rozstawać. Będziemy zawsze razem: on, ja i nasza trójka. Boja chcę mieć trójkę: dwóch chłopców i dziewczynkę, albo nie: dwie dziewczynki i chłopca. Na innej stronie:

Mój ideał to chłopak – domator. Chciałabym, żeby mnie kochał i nigdy nie opuszczał. Żeby nie było tu takiego nieszczęścia, jakie przeżyła moja matka. Och, Boże Jedyń, uchron mój przyszły dom przed rozbiciem, nie pozwól, aby rozpacz ogarnęła moje serce i żebym utraciła swego ukochanego, zaś moje dzieci błękały się w osamotnieniu.

I dalej:

Do Ciebie piszę mój najmiłszy. Do Ciebie mój przyszły chłopcze. Obiecuję Ci wszystko, co najlepsze: słodki, własny dom, kochającą żonę, czekającą na Ciebie każdego wieczoru i żegnającą Cię rano najśłodszymi pocałunkami. Będę dla Ciebie alfą i omegą, Twoją władczynią i poddanką, Twoim ideałem czystości i wyuzdaną kochanką, najmiłszą dziewczyną i oddaną żoną. Wierz mi, ponad wszystko wystarczy mi miłość. Ona jest i będzie probierzem, celem, wiarą i nadzieją naszego życia. Wszystkim!

Pamiętnik zawiozłem Ince. Ta spojrzała na mnie ze zdziwieniem, po czym zapytała:

– Byłeś u mojego ojca?

– Tak.

– Co ci powiedział?

– Że nie jest tak, jak mówisz.

– Pije?

– Jest chory. Niedługo umrze. Powiedział – że jego dni są policzone.

Inka machnęła ręką.

– Zawsze tak mówi. Szczególnie obcym.

Obejrzała przywiezione przeze mnie zeszyty i pamiętnik.

– Czytałeś?

– Zajrzałem do pamiętnika. Piękny. Inka wzruszyła ramionami.

– Tak, jak każdy pamiętnik dojrzewającego podlotka.

– Mimo to, chciałbym z tobą porozmawiać.

Inka prychnęła, okazując w ten sposób swoją dezaprobatę.

– O czym?

– O jego treści.

Inka wybuchnęła szczerym, gorącym śmiechem. Śmiała się tak intensywnie, że trząsał jej się brzuch, ramiona, ręce i nogi. Wyglądała tak jak gdyby miała atak nerwicowy. Po raz pierwszy widziałem ją w takim stanie.

– Człowieku! Na jakim ty świecie żyjesz? – zawołała wreszcie.

– Chcesz mówić o szczenięcych wypocinach w czasie, kiedy ci na łeb włazi łysina? Wiesz – zastanowiła się nagle. – Ty naprawdę jesteś

harcerzyk. Byłeś nim, jesteś i będziesz. – Potem wstała, otworzyła drzwi i rzekła. – Zjeżdżaj, nie chcę cię widzieć. Won!

Wyszedłem, nie protestując. Miałem do siebie pretensje: powinienem najpierw dokładnie przestudiować pamiętnik i listy Inki, a potem udać się do niej. Na pewno znalazłbym coś, co naprowadziłoby mnie na właściwy trop. Czy trafię nań kiedykolwiek? To pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

* * *

Kompost wrócił z urlopu. Był ogolony i uczesany na amerykańskiego jeża, w nowej, zachodniego kroju koszuli i takichże spodniach, pachniał yardleyem. Był roześmiany i beztroski, ba, nawet zalotny w stosunku do pielęgniarek, co mu się dotychczas nie zdarzało.

Sądziłem, że po tak udanym pobycie w miejscowości (czy kraju), którego nazwy nikt nie znał, stary oprawca da mi spokój i nie będzie się mnie czepiał. Moja naiwność nie miała granic, albowiem już następnego dnia wezwał mnie „na kolektyw!”

Tu muszę wyjaśnić, co oznaczało w owym czasie „zebranie kolektywu”. Nie chodziło tu bynajmniej o spęd całej załogi, ale grupy jej pozał się Boże, reprezentantów. W słownictwie naszej świetlanej partii istniały takie określenia, jak: „na kierownictwie”, „na biurze”, „na komitecie” oraz inne im podobne. Na wzór powyższych struktur istniał również „kolektyw”. Była to z reguły ta sama grupa ludzi złożona z dyrekcji, POP, Rady Zakładowej, Rady Robotniczej, Ligi Kobiet, męża zaufania oraz Frontu Narodowego.

Dzisiejszymi uczestnikami „kolektywu” byli: dyrektor, wicedyrektorzy,

nieodłączna w takich przypadkach towarzyska Rysia, przewodnicząca Rady Zakładowej, starsza salowa pani Ziuta Woreczek, mąż zaufania salowa Janina Gawęłkowa, pierwszy sekretarz POP, dotychczasowy woźny Albin Pollak oraz instruktor KO, towarzysz Seweryn Szczurlak. Towarzysz Pollak ściśle współpracował z Kompostem, a ostatnio uzyskał nagrodę za znakomite przygotowanie gazetki ściennej poświęconej „Pawłowizmowi dnia codziennego”. Niekiedy zapraszano ordynatorów, w niektórych przypadkach przedstawicieli wszystkich jednostek organizacyjnych szpitala i przychodni. Dziś obradowała sama czołówka.

Zebranie rozpoczęło się o godzinie jedenastej. Przez kwadrans areopag naradzał się sam, ja zaś siedziałem na korytarzu. Wreszcie w drzwiach ukazała się pani Ziuta i kiwnęła na mnie ręką:

– Wejdźcie – zawołała. – Kolektyw was prosi!

Wszedłem, powiedziałem: „dzień dobry” i usiadłem na krześle, wskazanym mi przez panią Ziotę. Miejsce nie było wygodne. Przez otwarte okno padały ukośnie promienie słońca wprost w moje oczy. Oślepiony, przez dłuższą chwilę nie widziałem zebranych. Później, kiedy moje oczy oswoiły się z naporem blasku, dostrzegłem znajome gęby, zwrócone ku mnie, jak plastry słoneczników ustawione w jednym kierunku przez powiew wiatru. Każdy z plastrów miał okrągłe talarki, poprzez które spoglądał na mnie z wyczekiwaniem i tępą niechęcią. Panowała cisza.

– Szanowni towarzysze i drogie koleżanki – rzekł nagle Kompost, dotychczas pochłonięty przeglądaniem swoich notatek. – Zebraliśmy się tu po to, aby rozpatrzyć sprawę doktora Sierpskiego, który dopuścił się przewinienia, polegającego na samowolnym ułatwieniu opuszczenia

szpitala przez pacjenta chorego na nadciśnienie z oddziału leczenia snem oraz ustalić stosunek doktora Sierpskiego do przodującej nauki, jaką jest nerwizm. – Kompost przerwał i utkwiał wzrok w obrazie generalissimusa Stalina, który wisiał nade mną. W jego spojrzeniu wyczuwało się trwożne nabożeństwo i wierne poddaństwo. Wyglądało to tak, jak gdyby Kompost chciał uklęknąć, przeżegnać się i zmówić paciorek przed obrazem przywódcy i ojca ludzkości. Kompost przełknął ślinę i rzekł: – Towarzysze! Zanim przedstawię swoje wnioski, uczynię to, do czego zmusza mnie moja funkcja, moje stanowisko, moje poglądy, moje poczucie odpowiedzialności. A że mówię to, co muszę jako oddany członek naszej partii, tedy z uwagą mnie wysłuchajcie.

Po tym oratorskim wstępie sięgnął po teczkę i jął w niej wolno i majestatycznie szukać notatek.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w trakcie wszelkich, niezwykle wydarzeń, sytuacji pełnych napięć i znaczenia, dzieje się coś nadprogramowego, zaskakującego i niezwykle, całkowicie nieprzewidzianego. Wymiar tych wydarzeń bywa najprzeróżniejszy. Ktoś dostanie nerwowego napadu śmiechu, komuś pęknie marynarka lub odpadnie guzik od spodni, urywa się żyrandol lub obrywa futryna. My obradowaliśmy w świetlicy, w której nikt nie dostał napadu czkawki, nikomu nie pękły szelki ani nie zsunęła się peruka. Zaczęły natomiast spadać na parapet okna znajdującego się w pobliżu stołu prezydialnego pecyny cementu. Pierwsza nie zwróciła niczyjej uwagi, ale dwie następne nie były dziełem przypadku.

Tymczasem Kompost wyciągnął kartki, uniósł się ciężko, ponownie spojrzął na portret generalissimusa i rzekł: – Przeczytam wam coś, co w

naszej trudnej sytuacji posiada niebywałe i ogromne znaczenie. – Kompost odchrząknął i oświadczył zdecydowanie:

– Cytuję: Przechodzę teraz do sprawy samokrytyki... Jedno z moich uchybień, do którego przyznać się muszę, polega na tym, że stojąc na czele kilku instytucji imienia Pawłowa i na czele Zarządu Towarzystwa Fizjologicznego nie potrafiłem we właściwy sposób zorganizować krytycznego rozpatrzenia wszystkich naszych poglądów i prac.

– Kompost przeniósł się z notatkami na brzeg podium, na którym stał stół prezydialny i potoczył wzrokiem po zebranych. Ci spojrzeli po sobie zdezorientowani, nie wiedzieli bowiem, czy wstać, czy siedzieć, ale ponieważ nie było znaku, aby powstać, więc pozostali w kornej postawie siedzącej.

– Niestety jednak – podjął z namaszczeniem Kompost swą ewangelię – ograniczałem się tylko do nawoływania i na tym polega mój wielki, straszny błąd, za który należy mnie ukarać!

W tym samym momencie na parapet okna spadł grad pecyn. Do naszych uszu dobiegł następujący dialog:

– Heniuś, trafiłeś skurwiela?

– Jak mogłem, Wacuś, skoro skurwiel gada przy stole.

– Wiesz Heniuś, wal przez okna skurwiela, bo tak pier..., że uszy puchną. Gdzie to się takie hycle rodzą.

– Dobra, Wacuś, jak mu teraz wceluję, to go partia, matka nasza więcej nie zobaczy.

– Ino celnie, Heniuś. Zdrówko!

– Zdrówko, Wacuś!

Sprawa była jasna. Dwaj murarze tynkujący ścianę powyżej świetlicy,

w której odbywało się nasze zebranie, usłyszeli głos Komposta, a ponieważ im się nie podobało, co mówił, zareagowali spontanicznie, „po robociarsku”.

Kompost spojrział z obrzydzeniem w ich kierunku i w tym samym momencie wicedyrektorzy jak na komendę skoczyli ku oknu.

– Jak śmiecie? – zawołał pierwszy, zadzierając głowę w kierunku robotników.

– Staniecie przed egzekutywą! – ryknął drugi, stając ostrożnie poza swym kolegą.

W odpowiedzi na parapet spadły dwie butelki po piwie.

– Słyszałeś, Heniusz, oni chcą nas na egzekutywę!

– Co jest, Wacuś, chcą klasę robotniczą gnębić? A do budy, sukinsyny! I to chyżo, jak mówię!

Pierwszy sekretarz złapał się za głowę, potem wyskoczył ze świetlicy i pognął po schodach piętro wyżej.

Powtórzyłem słowo „do budy” z satysfakcją. Trudność pierwszego sekretarza polegała na tym, że panowie w kufajkach, z kielnią w jednej ręce i butelką piwa w drugiej byli absolutnie bezkarni. Każde oskarżenie o niewłaściwe zachowanie, picie, brakoróbstwo czy nieróbstwo, traktowali jako atak na klasę robotniczą i natychmiast szli do KW, czyli Komitetu Wojewódzkiego na skargę. A tam, jako klasa rządząca wygrywali każdą sprawę. Stąd też zarówno dyrektor, jak i pierwszy sekretarz bali się ich jak ognia i unikali wszelkich z nimi zadrażnień.

Na razie nastąpiła cisza i Kompost podjął swoją modlitwę. – „Powinienem był bowiem zdobyć się na to, by zorganizować zebrania w taki sposób, aby poszczególne poglądy, wypowiedzi i dane faktyczne były

naprawdę dyskutowane, oświetlane naprawdę krytycznie i samokrytycznie. Tego właśnie dokonać nie potrafiłem. Nie umiałem również ściślej określić kręgu badań, którymi sam się zajmowałem i które przedkładałem do opracowania innym towarzyszom. Nie potrafiłem także wysunąć na pierwszy plan i ująć w formie bardziej wyraźniej najważniejszego problemu, jaki stoi przed nami, w warunkach przejścia od socjalizmu do komunizmu... „ – Kompost przerwał na chwilę i spojrzał w głąb sali, gdzie czaił się pierwszy sekretarz. Nie zauważyliśmy, kiedy wszedł. Stojący na podium Kompost dostrzegł go i przywołał.

– No i jak, towarzyszu pierwszy sekretarzu? – Zapytał.

– W porządku, towarzyszu doktorze – odparł pierwszy sekretarz. – W porządku.

– A zatem czytamy dalej – rzekł Kompost przybliżając notatki do oczu. Okulista przepisał mu okulary, ale Kompost ich nie używał, obawiając się, iż będzie w nich wyglądał zbyt staro.

– „To, że na tym odcinku pracy pozostaliśmy w tyle – czytał Kompost – jest rzeczywiście moją wielką i poważną winą, byłem bowiem kierownikiem instytucji noszących imię Pawłowa. Żywię jednak nadzieję, że wspólnym wysiłkiem mych towarzyszy pracy zgodnie ze wskazówkami i pod kierownictwem partii i towarzysza Stalina, który wskazuje nam właściwe drogi rozwoju nauki, zwraca nam uwagę na nasze błędy, podtrzymuje nasze wysiłki, uda nam się osiągnąć wyniki lepsze, a tak potrzebne. „

Po szybie pociekło piwo. Żółtawy płyn z banieczkami powietrza do złudzenia przypominał mocz. Kolejna porcja pociekła w chwilę po pierwszej, potem następne. Robotnicy bezbłędnie imitowali akcję

oddawania moczu.

Zebrani pochowali głowy i pospuszczali oczy. Panowała cisza, albowiem przedstawiciele klasy robotniczej działali w ciszy i skupieniu.

– „Muszę wziąć na siebie jeszcze jedną winę – czytał z patosem Kompost udając, iż nie dostrzega kolejnych figli murarzy – być może , największą. Gdy powierzono mi dziedzictwo naukowe Pawłowa, nie zwracałem się do tych ludzi, którzy kierują naszym życiem i naszą myślą naukową. Krępowałem się. Obejmując pracę tak odpowiedzialną postąpiłbym słuszniej, gdybym się był od razu udał do naszych przywódców i uzyskał od nich wskazówki, jak najwłaściwiej zrealizować opracowanie dziedzictwa naukowego Pawłowa. Błąd ten popełniłem nie dlatego, że pomniejszałem znaczenie nauki Pawłowa i dążyłem do samodzielności i nie dlatego, że ignorowałem kierowniczą rolę koryfeuszy naszej nauki z towarzyszem Stalinem na czele, ale dlatego, że byłem zbyt nieśmiały. Nie doceniłem ważności sprawy, którą mi powierzono, nie pojąłem, że sprawa ta może ich interesować, że losy tej sprawy mogą ich wzruszać i niepokoić. „ Koniec cytowania.

Kompost zamknął z namaszczeniem teczkę i rzekł:

– Szanowni i drodzy towarzysze! – po tym zaś wezwaniu nagle zawiesił głos, spoglądając swoim zwyczajem gdzieś ponad nasze głowy.

– To, co przeczytałem – podjął po dłuższej chwili – to są samolcrytyczne wynurzenia wielkiego radzieckiego uczonego Orbellego z Instytutu Fizjologicznego im. Pawłowa w Leningradzie. Czy pozwolicie towarzysze, że zapytam obecnego tu kolegę Sierpskiego, co o tym sądzi?

Byłem święcie przekonany, że Kompost mnie zaczepi, dlatego jego wezwanie nie było dla mnie zaskoczeniem.

– Jestem wstrząśnięty – odparłem poważnie. – Jestem bardzo wstrząśnięty – powtórzyłem. – Nie przypuszczałem, że coś takiego jest możliwe.

Kompost przyjrzał mi się z uwagą, po czym pokiwał głową i poruszył parokrotnie ustami, jak gdyby pragnąc przedrzeźnić moją wypowiedź „jestem wstrząśnięty”, „jestem bardzo wstrząśnięty”. Wreszcie spęczniał, nadał się jak napuszony indor i przez dłuższy moment zbierał myśli. Kiedy jednak robotnicy siknęli po szybach potężnym, jednolitym strumieniem piwa, zerwał się, huknął pięścią w stół i wrzasnął:

– Towarzysze, towarzyszy! Sprawa doktora Sierpskiego to nie byle błażostka, czy jakieś figle-migle. Sprawa ma aspekt poważniejszy! Głębszy! Istotniejszy! Rzekłbym – modelowy. Zważcie bowiem: jeśli znajdująca się wśród nas jednostka mówi bez przekonania o nerwizmie, to cóż to oznacza?

Kompost powiódł wzrokiem po sali, szukając osoby, która demonstrowałaby na swej twarzy dezaprobatę lub zwątpienie. Nie znalazłszy nikogo takiego, grzmiał dalej:

– Otóż oznacza to, iż jednostka ta podważa również zasady nowego życia, zasady naszej wiary w przyszłość, wiary w nasze socjalistyczne pryncypia, w naszą świetlaną przyszłość. Czy wiecie, jak powinien przemówić doktor Sierpski? – Kompost zawiesił przez moment głos, potem cicho, powoli, z namaszczeniem rzekł: – Otóż doktor Sierpski powinien przemówić tutaj, z tego miejsca tak, jak profesor Orbelli na Wszechzwiązkowym Zjeździe Pawłowskim. Oczywiście – dodał wyrozumiale – jak mawiają Francuzi *tut proporsyją de gardę fe*, bo gdzież tu koledze Sierpskiemu do towarzysza profesora Orbellego, ale idąc jego

śladem powinien złożyć samokrytykę.

Siadł na krześle z wyrazem satysfakcji na swej obrzydliwej gębie.

– Mam pytanie do doktora Sierpskiego – zawołał nagle doktor Bielinek. Był zdeprimowany sytuacją i jak zwykle pragnął uniknąć poważniejszej awantury. – Czy mogę? – zwrócił się do Komposta.

– Proszę uprzejmie – odrzekł Kompost.

– Kolego Sierpski – zwrócił się do mnie Bielinek. Jego głos był zmęczony, na twarzy malował się wyraz zniechęcenia. – Może zechce pan nam powiedzieć, co pan sądzi o nerwizmie jako nauce i jako metodzie?

„Ot i szkopuł – pomyślałem. – Biedny Pawłów leży w grobie i nie wie, co oni tu wyrabiają. „ Byłem przekonany, że gdyby tylko mógł wstać, to dałby każdemu z tych, pozał się Boże, jego następców i kontynuatorów, takiego kopa, że obudziliby się na jezdni...

– Czy słyszeliście, o co pytał was towarzysz Bielinek? – wyrwał mnie z zamyślenia ponagląjący głos Komposta.

– Tak, – potwierdziłem i odparłem machinalnie: – Słyszeliście. Więc tak – powiedziałem z powagą – uważam, że nerwizm jako metoda leczenia pomaga w niektórych jednostkach chorobowych i jest dla nich metodą z wyboru.

– O! – zawołał z zaciekawieniem Kompost. – To już lepiej!

O jakich jednostkach pan myśli? – zapytał rzeczowo.

– Myślę o nerwicach – odparłem.

– Tylko?

– Tylko.

– A inne?

– Inne mają swoje metody.

– Proszę o przykłady.

– Choroby psychiczne. Wszystkie schorzenia organiczne. Na twarzy Komposta pojawił się wyraz triumfu.

– Proszę koleżeństwa! Czyście słyszeli, co tu przed chwilą doktor Sierpski wyznał? Otóż wyznał on, że choroby psychiczne są terenem, na którym nerwizm sprawdzić się nie może. Skąd doktor Sierpski to wie?

I dlaczego tak mówi? Otóż ja wam powiem dlaczego – Kompost ściszył głos i mówił świszczącym głosem, pełnym napięcia szeptem. – Bo tak mówią Amerykanie! Bo dla nich nie istnieje nerwizm. Bo oni twierdzą, że najważniejsza jest psychoanaliza! Oto, proszę koleżeństwa, źródło poglądów obywatela Sierpskiego.

* * *

Na chwilę przerwał, otarł ręką spocone czoło, pokiwał znacząco głową i rzekł: – Tu, proszę koleżeństwa, mała dygresja. Choroby psychiczne, to jak świetnie wiecie, relikty ustroju kapitalistycznego, relikty, który mija i minie, jak wszelkie relikty wszetecznictwa w naszym kraju. Sami widzicie: nie budujemy już ani szpitali psychiatrycznych, ani przychodni wenerologicznych, bo i jedno, i drugie w naszym ustroju zanika, tak jak zanikają pozostałości reakcyjnego myślenia. W socjalizmie nie ma ani chorób psychicznych, ani wenerycznych, ani obłąkanych, ani prostytutek.

Towarzyszka Rysia zaczęła nagle frenetycznie klaskać, za nią wszyscy pozostali. Syty aplauzu Kompost uciszył salę ruchem ręki:

– Nie, drodzy przyjaciele! Tak nie można! Tak nie wolno! Wróg klasowy czai się gdzie może! Czyha na każdy błąd! Każde uchybienie! Dlatego też wychowawczo i pryncypialnie, mądrze i w myśl naszych

ideologicznych wskazań proszę o ukaranie doktora Sierpskiego w taki sposób, aby pomny na pryncypia naszych słusznych zasad mógł przemyśleć swoje błędy i naprawić je zawczasu. Czy koleżeństwo się zgadzacie?

Frenetyczne oklaski nagrodziły wypowiedź Komposta.

– Tak! Tak! – wołały obie towarzyszki.

– Tak! Tak! – wołał wicedyrektor Lubka.

– Każda kara w naszym ustroju – zabrał głos pierwszy sekretarz – ma charakter wychowawczy, a nie represyjny, nauczający, a nie niszczący, optymistyczny, a nie prowadzący do upadku!

Kolejna porcja oklasków również zapoczątkowana przez towarzyszkę Rysie wynagrodziła wypowiedź „pierwszego”.

– Mam pytanie! – zawołał nagle towarzysz Bielinek. – Czy mogę?

– Możecie, możecie – zezwolił łaskawie Kompost.

– Kolego Sierpski – zapytał Bielinek, nie spoglądając w moim kierunku. – Czy teraz, przed ustaleniem kary, moglibyście nam rzec, tak po komsomolsku, z ręką na sercu, szczerze i otwarcie, tak, jak szczerze i otwarcie rozmawiają ze sobą komuniści: jaki jest wasz stosunek do obecnej rzeczywistości?

Na sali zapadła cisza. Kompost spojrział na Bielinka podejrzliwie, „pierwszy” przyjrzał się bacznie mojej osobie. Towarzyszki zaczęły między sobą szybko szeptać.

– Pozytywny – odparłem.

Sala odetchnęła. Nie doszło do żadnego skandalu. Sierpski nie palnął głupstwa.

Zapatrzony w sufit Kompost nagle uśmiechnął się szeroko.

– Pozytywny? – zapytał, spoglądając na mnie z wyzywającą czujnością.
– Mówicie „pozytywny”, ale w waszym głosie nie ma tej nuty entuzjazmu, emfazy i zachwytu, jaki można usłyszeć w radio, tudzież odczytać w książkach, poematach i dramatach naszych czołowych literatów, poetów i dramaturgów. Patos dziejów, romantyzm socjalistycznych budowli, etos pracy – oto podmioty naszych działań, które powinny wywoływać entuzjazm dla naszej władzy, naszej partii, a w szczególności do naszych przywódców z towarzyszem Bierutem na czele. Dlaczego, powiedzcie, nie ma u was takiego entuzjazmu?

– Wariat – pomyślałem. – Czubek do kwadratu!

– A co pan zrobił – wystrzeliłem z nagłą, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, jakie skutki wywoła mój atak. – Co wyście wszyscy zrobili, żeby mnie zachęcić do takiego entuzjazmu? – Na słowie „takiego” położyłem szczególny nacisk. – Czy to nie należy do waszych obowiązków i moralnych powinności? Wszak nie kto inny, lecz wy, towarzyszu doktorze Kompostowski, czytaliście nam o samokrytyce słynnego radzieckiego uczonego Orbellego. Czy w świetle tych słusznych wywodów nie poczuwacie się sami do samokrytyki?

Stara to prawda, że najlepszą obroną na atak jest atak. Moje słowa spowodowały, że Kompost zaniemówił na dłuższy czas. Zaniemówili również członkowie komisji i opuściwszy głowy, pilnie śledzili swoje sznurowadła. Panowała ciężka i kłopotliwa cisza, którą wreszcie przerwała ku ogromnemu zadowoleniu zebranych, salowa Gawelkowa.

– Po mojemu to jest tak – zawołała – albo doktor Sierpski jest winien, albo nie jest winien. Jak winien, to trzeba go ukarać, a jak nie winien, to trzeba zakończyć zebranie. I tyle.

Zebrani spojrzeli na Komposta. Ten siedział, milczący, napuszczony, ciągle wpatrzony w sufit.

– Czy mogę poprosić o głos – zapytał nagle uniżonym tonem towarzysz Pollak. W ubiegłym tygodniu dyrektor wręczył mu wymówienie z powodu notorycznego niewywiązywania się z obowiązków i stary obibok zwęszył nagle okazję upieczenia swojej pieczeni przy moim pasztecie.

Przewodniczący skinął przyzwalająco głową i towarzysz Pollak wyrecytował przygotowaną uprzednio kwestię:

– Każdy z nas ma prawo do błędu – wyterkotał. – Ja też błądziłem, spóźniałem się, nie wykonywałem gazetki ściennej o określonej porze, ale zważcie, że obecnie wisi nowa, o podwójnej objętości, co oznacza – podkreślił z przymilnym uśmiechem – że błędy można naprawiać. Proponuję zatem, aby doktorowi Sierpskiemu dać szansę i aby pryncypialnie, po robociarsku wyciągnąć do niego rękę. Czy koleżeństwo się zgadza?

Rozległy się spontaniczne oklaski, które wyciszył wicedyrektor Lubka.

– Ja proszę o głos – zawołał i nie czekając na zezwolenie Komposta mówił tak: – Po mojemu to jest tak. Zadaliśmy tu sobie na początku pytanie, czy doktor Sierpski jest winien, czy nie jest winien. Z tego zaś naszego, jak by tu rzec, społecznego przeglądu wynika, że nie jest winien. – Towarzysz Lubka zacierał swe dłonie z taką siłą, że do naszych uszu dolatywało charakterystyczne trzeszczenie chrząstek. – Jest natomiast nie w pełni uświadomiony. Za krótko pracował z naszym wypróbowanym towarzyszem Kompostowskim. Podkreślam ten fakt, bo pamiętam, że sprawa kolegi Sierpskiego już u nas na kierownictwie stawała. Doktor Kompostowski był zobowiązany szkolić wtedy kolegę Sierpskiego w

aspekcie nerwistyczno-pawłowistycznym. A ja teraz powiem więcej. Trzeba zobowiązać towarzysza Kompostowskiego, aby zechciał przeskolić kolegę Sierpskiego pod każdym względem: merytorycznym, ideologicznym i pawłowistycznym. Czy koleżeństwo się zgadza?

Rozległy się długie, mocne oklaski. Kompost klaskał stojąc, wreszcie dał sygnał, iż pragnie zabrać głos. Sala uciszyła się. Kompost poruszył ustami, szykując się do decydującej wypowiedzi, ale nim zdołał to uczynić, mocno rozbujana na sznurku butelka piwa uderzyła w stół prezydialny.

– Heniuś, kurwa, trafiłem – rozległ się pełen radości i dumy głos tynkarza.

– Brawo, Wacuś, dawaj drugą, dołożymy skurwysynom. Zebrani rzucili się ku drzwiom i opuścili salę. Nie zdążyliśmy nawet odśpiewać Międzynarodówki.

* * *

Inka poinformowała mnie przez telefon, iż jej mąż wrócił, w związku z czym nie mamy gdzie się spotykać. Ton jej głosu był oschły, obojętny, nie było w nim żalu i ani krzty zaniepokojenia. Kiedy jednak dodała, iż „muszę coś wykombinować”, a wtedy będzie dobrze, pomyślałem, że jestem rozhisteryzowany i ustawicznie oczekuję „ochów” i „achów”, ustawicznych zapewnień o uczuciach, rozpaczy w tonie głosu, przy takich, jak powyższe zawiadomieniach. A tymczasem Inka była kobietą konkretną, nie popadała w depresję, nie ulegała panice, rzeczowo informowała o zaistniałych kłopotach i żądała ich rozwiązania.

– W porządku – odparłem – rozpoczynam poszukiwania.

I rozpocząłem. Nie było mi łatwo, ponieważ w swoje problemy mogłem wtajemniczyć jedynie osoby zaufane. Rodzina odpadała, przyjaciół nie miałem, przynajmniej takich, którzy bez obaw wręczyliby mi klucze na kilka godzin. Po paru telefonach kończących się z reguły stereotypowym zapewnieniem, że owszem, tak, będziemy pamiętać, możesz na nas liczyć, jak tylko „coś” chwyci, to zaraz łapiemy za słuchawkę, postanowiłem udać się do pani Uli. Cóż... cokolwiek by się rzekło o niebywałym pobudzeniu seksualnym rudowłosej grubaski, jednego nie można było zaprzeczyć faktu, że była osobą niebywale koleżeńską. W trakcie obecnego spotkania nie ukrywała chęci pójścia ze mną na „miłość Swanna”, ale kiedy jej zreferowałem, o co mi chodzi, już o Swannie nie wspominała. Popadła za to w dłuższe zamyślenie, które przerwała pytaniem:

– Tak bardzo ci na niej zależy?

– Tak – potwierdziłem krótko.

– No cóż – westchnęła pani Ula. – Ja bym się tak nie angażowała, bo stałość nie jest naczelną cechą tej pani, ale czy ja ciebie przekonam?

– Fakt: mnie pani nie przekona.

Pani Ula popadła w krótkie zamyślenie.

– Wiesz – rzekła wreszcie – chyba coś się wykroi – westchnęła nagle głęboko. – Tak czy owak – oświadczyła z emfazą – możesz być pewien, że o tobie nie zapomnę.

Pani Ula dotrzymała słowa. Po dwóch dniach usłyszałem w słuchawce jej zachrypnięty głos:

– Panie doktorze, tu Ula. Niech pan przyjeżdża. Mam coś dla pana.

Owo „coś” to były klucze. Pani Ula wyjaśniła:

– Daję ci je do dyspozycji na dwa miesiące. Moja siostra wyjechała do Francji i zostawiła mi mieszkanie. Możesz tam zamieszkać, możesz dać klucze Ince. Zamiast sypiać w stróżówce – dodała złośliwie – niechaj sypia z tobą! Całuję. Pa!

Uściskałem panią Ulę, wycalowałem, chwyciłem klucze i pognałem do Inki. Niestety, pastelowej madonny nie zastałem. Gdzie była, nikt nie wiedział. Zacząłem spacerować po korytarzach, wreszcie usiadłem w kącie korytarza nie opodal poradni „K”. Stąd mogłem niepostrzeżenie obserwować pokój Inki. W pobliżu mnie siedziało kilka dziewczyn, które, jak się po chwili zorientowałem, czekały na nowego ginekologa, doktora Busia. Rozmawiały wesoło, chichotały, czasem zanosiły się ze śmiechu.

– Czy on tak bada wszystkie? – zapytała wysoka, smukła blondynka. – Bo mnie tam rozchylił, potem patrzył, patrzył i patrzył, następnie głaskał od góry do dołu, a kiedy zaczęłam się cofać, włożył wziernik i zaczął mnie badać...

Rozległy się chichoty. Wyczyny nieznanego mi ginekologa wyraźnie bawiły zebrane przed gabinetem dziewczęta.

– A mnie głaskał tam, gdzie trzeba – powiedziała druga, ciemno opalona szatynka. – Robił to zręcznie, delikatnie, udając, że mi rozchyła wargi, ale czekał, drań, jak zareaguję.

– I jak zareagowałaś? – zapytała blondynka.

– Powiedziałam, że jak nie przestanie, dam mu w mordę! Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

– A co on na to? – pytała nieustępliwie blondynka.

– Ach – zawołał. – O cóż mnie pani podejrzewa! Ja po prostu źle ułożyłem rękę, bo pani ma wąską cipkę!

Rozległ się chóralny wybuch śmiechu.

– A wiecie co powiedział mnie? – zagadnęła trzecia, brunetka. Miała ciemne oczy, była atrakcyjna, sexy.

– No! No! – zawołały dziewczyny jedna przez drugą. – Co powiedział?

– Powiedział, że mi zrobi skrobankę, jeśli mu dam włożyć!

– No i co? – rozległy się pytania. – Pozwoliłaś? Ile razy? Raz? Więcej? Ciekawe, ile razy on może. Toż to buhaj, nie Busio. Że też takiemu ciągle stoi!

Interesującą ze wszech miar rozmowę przerwało nadejście doktora Busia. Był to blondyn, o jasnych oczach, zaawansowanej łysinie, z wyraźną skłonnością do tycia. Obrzucił dziewczyny lustrującym spojrzeniem, powiedział:

– Dzień dobry paniom, przepraszam za spóźnienie, zaraz poproszę pierwszą z pań.

Był szarmancki i uprzedzająco grzeczny, należał do tej grupy mężczyzn, która swym zachowaniem budziła zaufanie.

Wstałem i powróciłem do Inki. Nadal jej nie było. Zawróciłem i ku swemu zdziwieniu dostrzegłem, że wychodzi... z gabinetu doktora Busia! Byłem zdumiony, bo przecież przed chwilą byłem w tym samym miejscu. Zobaczywszy mnie Inka uśmiechnęła się i powiedziała:

– Przepraszam za spóźnienie, byłam u przełożonej. Wejdz.

W gabinecie chwyciłem ją w ramiona, chciałem uściskać, ale wyrwała mi się umiejętnie.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Inuś, kochanie – zawołałem, całując ją po rękach. – Mam chatę! Mam klucze!

– Milcz! – syknęła Inka. – Ktoś może nas usłyszeć!

– Nie cieszysz się?

– Cieszę się – rzekła Inka. – Kiedy chcesz się spotkać?

– Dziś! – wykrzyknąłem. – Zaraz! Inka uśmiechnęła się lekko.

– Ani dziś, ani zaraz, ani w ogóle – stwierdziła zdecydowanie. – Nie mogę, nie mam czasu. Mam za dużo pracy.

Nadal sprzeciw Inki nie dochodził do mej świadomości. Traktowałem jej wypowiedź przeczącą jako droczenie się i przekomarzanie.

– A jutro?

– Jutro też nie mogę.

– Pojutrze?

– Nie wiem. Zresztą – machnęła lekko ręką – zadzwoń pojutrze.

– Inko – zapytałem z nagłym lękiem. – Czy coś się stało?

– Nic się nie stało. Nie mam czasu.

Niespodzianie przyszła mi do głowy myśl, że aluzje pani Uli nie były bezpodstawne. Palnąłem:

– Ale dla Busia masz! Zaprzeczysz?

– Jak śmiesz! – Inka podniosła głos, ale za chwilę złagodniała. – Widziałeś się z Ulą?

– Widziałem, jak wychodziłaś od doktora Busia. Inka wzruszyła ramionami.

– Mam kłopoty. Nie twoja sprawa.

Wyszedłem, trzaskając drzwiami i przysięgając sobie, że moja noga nigdy nie stanie w jej gabinecie. Miałem dość jej oszustw, krętactw, zakłętą kręgu zakłamania, w którym żyła i w który włączyła mnie. Pani Ula miała rację: dla Inki jeden chłop to było za mało. Musiał być wciąż

nowy i inny, co najmniej dwóch naraz, a może i trzech, Bóg jeden to wie. Jeszcze jestem ja, a już Busio, potem będzie Busio, ale zaraz wyłoni się Alek, potem obok Alka będzie Franek i tak dookoła Wojtek. Czy można taką dziewczynę kochać – zadawałem sobie retoryczne pytania – czy można z taką żyć?

W chwilę później złość mi minęła i doszły do głosu wyrzuty sumienia. Doszedłem do wniosku, iż zachowałem się jak bęcwał, jak człowiek niepoważny i nieodpowiedzialny. Mówiłem sobie teraz tak: dziewczyna leczy się u lekarza specjalisty, a ty durniu, podpuszczony przez wstrętą plotkarę, robisz jej afronty. Zamiast trzaskać drzwiami w gabinecie Inki, idź i zrób to u Uli, parszywej baby, która cię nastawiła i posiała ziarno z wątpienia.

Pełen skruchy i chęci naprawienia błędów, zatelefonowałem do Inki. Zacząłem ją przeproszać, obiecywać poprawę, błagałem jednocześnie o kolejne spotkanie. Po długiej, Bóg wie ile trwającej ciszy w słuchawce, uzyskałem wreszcie przyzwolenie wypowiedziane znudzonym, matowym tonem.

– Dobrze, będę. Podaj mi adres...

Ktoś mi kiedyś opowiadał o dziewczynie, która oddawała mu się mechanicznie. Polegało to na tym, iż jego wybranka leżała rozebrana na tapczanie, bez ruchu, jak kłoda, nie zwracając uwagi na to, co on z nią robi.

Inka nie leżała bez ruchu, ale i nie była aktywna. Była zajęta swoimi myślami, ledwie reagowała na pieszczoty, w końcu spojrzała na zegarek, zawołała:

– Och, na mnie już czas – i zaczęła się ubierać.

– Inuś – rzekłem. – Mówiłaś mi kiedyś, że potrzebny ci będzie pokój. Przyjrzyj się temu pomieszczeniu. Możesz nim dysponować przez najbliższe dwa miesiące. Inka spojrzała na mnie ze zdumieniem. W jej oczach dostrzegłem rozbawienie, które starannie zgasiła.

– W jakim charakterze? – zapytała.

– Mówiłaś o rozwodzie... Trudnej sytuacji...

– Fakt. Tak było. Ale sytuacja uległa zmianie. A ten pokój? – zaczęła się nagle śmiać niepohamowanie. – Ty naprawdę jesteś dzieciuch. Chodź – pociągnęła mnie w kierunku drzwi.

– Chwileczkę. Kiedy się spotkamy?

– Zadzwoń za parę dni. Pomyślimy.

– Inko – zawołałem. – Czy coś uległo zmianie? Inka prychnęła jak kotka.

– Ty zawsze jesteś patetyczny – rzekła z przekąsem. – Zamiast zapytać: dlaczego za parę dni? Wołasz: – Czy coś uległo zmianie? Bądź wreszcie mężczyzną!

– Chyba nim jestem – odparłem ostro. – Żadna z dziewczyn, jak dotąd, zażaleń nie wniosła. Więc jak z tymi zmianami?

– Na razie wyjeżdżam do Gdańska. Odprowadzam siostrę na prom. Czy ten fakt czegoś dowodzi?

– Fakt. Niczego.

– A widzisz. Więc po co te dąsy? Idziemy – zdecydowała. – Śpieszę się.

Wyszliśmy w milczeniu. A więc pani Ula miała rację. Ince zależało na mieszkaniu. Wielkiej, pięknej willi, w ekskluzywnej dzielnicy, z meblami zakupionymi w najlepszych, przedwojennych firmach, z apetytem na

rodzinną biżuterię męża, która na razie leżała pod kluczem. A seks? Seks załatwiała ze mną, jeśli oczywiście nie miała jeszcze kogoś. Fakt, że mogła ode mnie odejść, napawał mnie przerażeniem.

Tego samego popołudnia odwiedziłem panią Ulę. Udałem, że szukam Inki i że nic o jej wyjeździe nie wiem.

– Inki nie ma – rzekła pani Ula. – Wyjechała.

– Dokąd?

– Dokąd? A diabli ją wiedzą, dokąd. Wszem i wobec ogłosiła, że do Gdańska, aby siostrę wsadzić na prom, ale na mój rozum, to ona jest w Krakowie.

– Dlaczego w Krakowie?

– Bo w Krakowie jest Busio. Pojechał na zjazd, a ona za nim. Oto dlaczego Inka jest w Krakowie.

Pobladłem.

– To niemożliwe – powiedziałem.

– Możliwe. Chce pan sprawdzić?

– Jak?

– Proszę zatelefonować do Krakowa.

– Nie wiem, gdzie mieszka.

– Niech pan dzwoni do hotelu – zadysponowała pani Ula. I podała mi numer recepcji. Wykręciłem cyfry kierunkowe, potem hotelu. Recepcjonistka podjęła słuchawkę, powiedziała: „Dzień dobry”, ja zaś podałem nazwisko Inki. Numer dwadzieścia dwa – poinformowała mnie recepcjonistka i połączyła mnie z pokojem Inki. Po chwili usłyszałem jej głos, gardłowe „hallou?” i w tym samym momencie rzuciłem słuchawkę na aparat.

– Miała pani rację – powiedziałem i ruszyłem ku wyjściu. Pani Ula przytrzymała mnie za poły marynarki.

– Stój, durniu! – zawołała. – Dokąd chcesz iść?

– Pojadę do Krakowa.

– Po co? Chcesz się ośmieszyć do reszty?

– Siadaj, palancie. – Pani Ula nie posiadała się ze złości. Naląła mi kieliszek wydobytego spoza parawanu wina, potem następny. – Pij, psia jego mać. Ochłoniesz, pogadamy poważnie, po męsku.

– Sama ochłoń – odpsyknąłem. Po raz pierwszy zwróciłem się do pani Uli po imieniu, dotychczas mówiłem: „pani Ulu”, ona zaś do mnie „panie doktorze” lub per ty. Ostatnio coraz częściej po imieniu.

Pani Ula wypła dwa kieliszki wina, następnie rzekła:

– Inka boi się biedy. Całe dzieciństwo przeżyła o chlebie i wodzie, bo jej ojciec, urzędnik pocztowy, zajęty pisaniem wierszy, nie potrafił grosza dorobić, zaś matka od lat ciężko chorowała. Sytuacja pogorszyła się, kiedy matka zmarła. Inka musiała sama zarobić na utrzymanie. Co mogła uczynić’. ‘ Niewiele. Zaczęła żebrać pod kościołem, na ulicy, wreszcie zaczęła chodzić od domu do domu i wtedy to właśnie poznała wuja.

– Skąd pani o tym wie? – zapytałem. Pani Ula recytowała opowieść o Ince, jak nauczona na pamięć papuga. – Kto pani o tym powiedział?

Pani Ula na chwilę zamilkła. Była zgaszona, smutna. W końcu sięgnęła po chusteczkę i po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia pracy w szpitalu ujrzałem ją płaczącą.

– Potem ci powiem – odrzekła. – Teraz słuchaj.

– W porządku – powiedziałem. – Więcej nie będę przerywał. Pani Ula otarła ponownie oczy.

– W czasie swych wędrówek – podjęła po chwili pani Ula – Inka natrafiła na willę, której gospodarz, starszy pan, emeryt, podjął ją z niebywałą serdecznością. Zaprosił na obiad, potem kazał się rozebrać i wykapać, na koniec zaopatrzył w pieniądze i wiktuały i na pożegnanie zapowiedział, iż ma odtąd tylko do niego przychodzić i do nikogo więcej. I tak się też stało. Inka odwiedzała „wujka”, ten ją karmił, kąpał, mył, a potem sadzał pólnagą przed sobą i patrząc w jej seks opowiadał niestworzone historie o swych podróżach, o przepychu i luksusie, w jakim żył, o kobietach, którym – jeśli czegoś brakowało – to tylko przysłowiowej gwiazdki z nieba, o bogactwie, szczęściu i seksie. Tak, o seksie. Zaczął pokazywać jej filmy, które wyświetlał na aparacie zwanym szesnastką. :: potem znów kąpał i mył długo i dokładnie.

Pani Ula westchnę!::, nalała mi ponownie wina i rzekła:

– Przemyśl 10 wszystko, co ci powiedziałam. On ją rozbudził i zaszczepił nieodłączną tęsknotę do dobrobytu i luksusu. A „wujek”? Cóż. ów „wujek” to był mój pierwszy mąż. Tyle na dziś – zakończyła zdecydowanie. – Pij wino i żegnaj. A to, co zrobisz – twoja sprawa. Cześć!

Od momentu powrotu Inki z Krakowa śledziłem ją codziennie. Tuż przed godziną piątą po południu stawałem za rogiem jej domu, przy skwerze, za potężnymi krzakami bzów i rododendronów i stamtąd obserwowałem jej dom. Nie podejrzewała, że ją śledzę, zachowywała się swobodnie, szła z reguły do koleżanki, gdzie przebywała do dziewiątej. Potem wracała do siebie. Pewnego dnia wyszła ubrana w lekką, ciemnozieloną sukienkę, którą świetnie znałem! Zakładała ją wtedy, kiedy wybierała się ze mną za miasto. Miała wówczas przejryste, seledynowe figi i mini stanik tego samego koloru. Taki ubiór pozwalał mi ją pieścić w

czasie jazdy, zaś rozebranie jej na mchu było kwestią sekund.

Teraz szła lekka, zgrabna, z rozwianymi przez wiatr włosami, piękna, pastelowa, moja Inka. Wydawało mi się, że za chwilę usłyszę jej wołający mnie głos. Tymczasem Inka wsiadła do taksówki i ruszyła w kierunku śródmieścia. Ruszyłem za nią. Kluczyła po mieście, tak, jak gdyby pragnęła zmylić domniemaną pogoń, ze skrzyżowania Marszałkowskiej i Alej, na plac Narutowicza, stamtąd na Powiśle i wreszcie na Dolny Mokotów, gdzie stanęła przed willą Busia. Tu wyskoczyła spiesznie z taksówki i zadzwoniła do bramy. Busio wyszedł, rozejrzał się z uwagą, wpuścił Inkę i zniknęli wewnątrz jego pieleszy...

Zacząłem kołować wokół miejsca schadzki, wreszcie stanąłem za rogiem i spocony, rozgorączkowany, zacząłem przeżywać spotkanie kochanków. Oczyma wyobraźni widziałem, co działo się wewnątrz.

Inka weszła, on zaczął ją ścisnąć, całować, potem zaprowadził do pokoju, gdzie poczęstował ją winem, kanapkami, wodą mineralną. Tak tego byłem pewien: jeśli znał jej przyzwyczajenia, musiał podać wodę mineralną. Inka zawsze będąc ze mną na obiedzie lub kolacji, zamawiała dania w sposób następujący: przekąska, zupa, jakieś danie i zaraz potem woda mineralna. Z win proponowała tokaj lub czerwone wytrawne. Dobre czerwone wytrawne wino. Busio miał takie w swoim barku, o tym wiedziałem od pani Uli. Od niej wiedziałem również, że puszczał płyty i taśmy z nagraniami Quincy Jonesa i Franka Sinatry. A potem... Potem przyćmione światło i pocałunki, próby rozbierania i pieszczoty, wreszcie hasło: najpierw buty i Inka leżała na tapczanie naga. Teraz należało nachylić się nad nią, pocałować, wtedy mówiła: „popieść mnie” i trzeba było rozsunąć gęstwę czarnych włosów i lekkim dotykiem z góry na dół

dotykać najbardziej tkliwy punkt występujący wyraźnie ponad wargami.

– Nie! – wykrzyknąłem rozpaczliwie, kiedy Busio sięgnął głębiej – i dociskając pedał do dechy ruszyłem na warszawski Pigalak. Nazwa tego rejonu wywodziła się, jak łatwo zauważyć, od francuskiego placu Pigalle, gdzie mężczyźni znajdują bez trudu kobiety, udają się z nimi do pobliskich hotelików, gdzie zwierają swe uda za opłaconą uprzednio określoną ilość franków. Nasz Pigalle nazwany najtrafniej Pigalakiem, ciągnął się wzdłuż ulicy Poznańskiej, skręcał we Wspólną i kończył na Chałubińskiego. Tu wychodziły dziewczyny nie mające szans wstępu do luksusowych zakładów, tu, spacerując, czekały na swych klientów, a gdy ci się pojawili i transakcja doszła do skutku, prowadziły ich w upatrzone uprzednio gruzy. Po przyjeździe na teren Pigalaka dostrzegłem ich kilka. Zrobiłem kilka okrążeń, w końcu zatrzymałem się przy blondynce w wieku około osiemnastu lat. Uśmiechała się zalotnie i kiwała głową.

– Wsiądziesz? – zapytałem.

– Wsiądę – odparła dziewczyna i wślizgnęła się do samochodu.

– Co mam zrobić? – zapytała.

– Po francusku – odrzekłem.

– W porządku – powiedziała dziewczyna. – Gdzie jedziemy?

– Nie mam chaty – odrzekłem.

– Trudno – odparła dziewczyna. – Wjedź pomiędzy ciężarówki – pokazała mi, gdzie mam skręcić i jak zaparkować pomiędzy barakiem budowlanym i pozostawionymi bez straży wielkimi wywrotkami.

– Forsa – powiedziała dziewczyna, gdy znaleźliśmy się w bezpiecznym punkcie. – Bez forsy nie zaczynam.

Po dłuższej chwili uniosła głowę i zapytała.

– Masz kłopoty? – Potwierdziłem ruchem głowy. – Pomogę ci – rzekła dziewczyna. Szybko opuściła spodnie i majtki, następnie powiedziała.

– Patrz, ja zrobię to sobie sama...

Początkowo spoglądałem na jej zabiegi bez większego zainteresowania, potem przygarnąłem dziewczynę i powiedziałem:

– Pomogę ci. I jąłem ją pieścić, ona zaś zaczęła się skręcać, unosić i opadać, pokrzykiwać, wreszcie zaczęła piszczeć, wtedy przypomniała mi głos wydawany przez Inkę, przewróciłem ją na siedzenie i posiadałem ją, wołając:

– Jesteś, jesteś, znów jesteś ze mną! Wychodząc z samochodu dziewczyna zapytała:

– Zakochałeś się?

– Tak – odparłem.

– Rzuciła cię?

– Tak.

– Co zrobisz?

– Nie wiem, może jakoś wytrzymam...

– Nazywam się Arna – rzekła dziewczyna – jestem tu w każdy czwartek od piątej. Przyjeżdżaj, będzie ci lżej. Cześć.

– Cześć.

* * *

Kompost rozpoczął dzisiejszy obchód od przypomnienia, kim był genialny Pawłów oraz jego wielcy następcy: Byków i Orbelli, przypomniał na czym polegał „pawłowizm dnia codziennego” i „leczenie snem”, co to jest pierwszy i drugi układ sygnałów oraz jakie są korzyści hamowania

kory mózgowej, czyli snu. Tokowałby tak najprawdopodobniej do południa, gdyby nie dyżurna pielęgniarka, która wpadła na korytarz, krzycząc:

– Panie doktorze, zboczeniec!

Kompost rzucił się ku wyjściu, ja skoczyłem za nim. Z przeraźliwego okrzyku pielęgniarki można było wnioskować, iż zboczeniec pojawił się na terenie szpitala lub, co gorsza, napastował ją samą. A tymczasem okazało się, iż to milicjanci przywieźli w karetce pokazywacza, który obnażał się w nadwiślańskich krzakach. Kompost polecił zamknąć go w separacie, zakończył szybko obchód i przywołał przed separatkę nowego chorego.

– I oto słowo stało się ciałem – rzekł z namaszczaniem. – Los, podobnie jak nasza partia, wyszły wam Sierpski naprzeciw. Oto chory, na którym sprawdzą się wszystkie zasady twórczego, realnego pawłowizmu. Oto zobaczycie najskuteczniejszą metodę leczenia, jaką kiedykolwiek wymyślono na świecie. Pacjent nie będzie zdychał od hormonów, nie będzie truty zabójczymi dawkami leków psychotropowych, będzie spał. Będzie spał dobrym, spokojnym snem dziecka. – Kompost westchnął. – Nie będzie odczuwał jakichś pokus, złych popędów, sen przedłużony ukoji jego skołatane nerwy i je uleczy. Czy wy potraficie to zrozumieć? – zapytał i nie czekając na moją odpowiedź wołał: – I dlatego zlecam sen! Sen przedłużony! Nerwizm! Twórczy Pawłowem! To trzeba pojąć! Zrozumieć! Zaakceptować! A co trzeba zrobić, aby pojąć, zrozumieć i zaakceptować tę przodującą teorię, stanowiącą podstawę rozwoju postępowej medycyny? Trzeba tu założyć placówkę czynnego, realnego nerwizmu! Tak – ochłonął nagie – wierzę, że zrozumieliście i

wchłonęliście moje słowa. Jeśli tak, będę szczęśliwy. Jeśli nie, to przekonam was swymi dokonaniem. A teraz do dzieła: niechaj chory na was nie czeka!

I odszedł z wyrazem triumfu na twarzy, pozostawiając mnie z czekającym na zbawczy sen pacjentem ekshibicjonistą.

Ekshibicjonizm, czyli pokazywactwo to dziwna choroba, posiadająca swe źródło w spaczonych reakcjach popędowych. Pacjent lub pacjentka obnaża się w obecności osób postronnych, najczęściej nieletnich i uprawia na ich oczach samogwałt. Robi to na skutek nagłej potrzeby – popędu, który każe mu opuścić dom, pracę, zebranie, towarzyskie spotkanie, aby potem w zakamarkach ogrodów, krzaków czy parków, wyszukiwać dziewczęta lub młode kobiety, rozbierać się przed nimi i dokonywać samogwałtu. Warunek był tylko jeden: te, których szukał, musiały mu się przyjrzeć. Choć przez moment, chwilę, sekundę. To był warunek powodzenia. Bez widoku przerażenia, zdumienia, a czasem zainteresowania tych, przed którymi akt ów się odbywał, nie było zadowolenia, a wraz z nim tak oczekiwanego odprężenia. Niestety! Po tym niezwykle krótkim momencie wielkiej szczęśliwości następował stan lęku i paniki, zmuszający chorego do ucieczki, biegu na oślep, przed siebie, poza krąg samoponiżenia i upadku. W tej właśnie fazie najczęściej ich chwymano.

Pacjent, którego Kompost dał mi pod opiekę, był barczystym, średniego wzrostu mężczyzną, o dużych, ciemnoorzechowych oczach oraz grubych wargach, które zwilżał raz po raz spuchniętym, obłożonym białym nalotem, językiem. Mógł mieć dwadzieścia dwa lub dwadzieścia trzy lata. Dlaczego to robił? – pomyślałem ze zdziwieniem. – Na pewno

podobał się kobietom i mógł mieć kochanek bez liku.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jestem lekarzem stażystą. Doktor Kompostowski polecił mi, abym pana zbadał.

Pacjent odparł – „dzień dobry”, wysłuchał mnie z uwagą, potem ze zdziwieniem zapytał:

– Co to znaczy: zbadał? Co tu jest do zbadania? Mój członek? On badania nie potrzebuje. A ja i tak trafię do czubków...

– Dlaczego pan to robi? – zapytałem wprost.

– Nie wiem – odrzekł szczerze pacjent. – Czy pan sądzi, że którykolwiek z pokazywaczy wie, dlaczego go los pokarał? Na pewno nie!

– Myślę – powiedziałem – że jest jakiś punkt zaczepienia. Jakaś przyczyna, z której początkowo nie zdajemy sobie sprawy, ale po trosze o niej pamiętamy. Może wraca w postaci snów, niemiłych wspomnień, jakiegoś uwierającego zgryzu. Może nieśmiałość... ?

– Nie wiem – odparł pacjent. – Może pan ma rację. Może idzie pan do celu właściwą drogą. Jeśli chodzi o mnie, to wszystko to, co było dla mnie ważne z przeszłości, opisałem. – Pacjent sięgnął do teczki i wyjął z niej gruby zeszyt. – Opisałem dokładnie – dodał, kładąc przede mną notatki. – Może je pan odczytać...

Wziąłem zeszyt i przyjrzałem się pierwszej stronie. Była zapisana niewyraźnym, małym pismem, miejscami z odnośnikami, uzupełnieniami i poprawkami, co sprawiało, że tekst nie nadawał się do odczytania.

– Sam tego nie odcyfruję – powiedziałem, oddając pacjentowi jego elaborat. – To są hieroglify.

Pacjent skrzywił się z niechęcią, po czym sięgnął po zeszyt i rzekł:

- To dla pana będzie nudne.
- Wał pan – zawołałem.
- Zacznę od muzyki – zaproponował wyczekująco.
- Od czego pan chce, byle pan już czytał.
- Zrobię wedle pańskiego życzenia – obruszył się lekko pacjent, następnie otworzył zeszyt. – Muzyka – powiedział.

Rozdział pierwszy. Słuchając muzyki – zaczął czytać – zmieniłem się nie do poznania. Zapomniałem o swym otoczeniu, o tym, co działo się wokół mnie, byłem pochłonięty jedynie swym baśniowym, barokowym w ornamentacji, światem. W tym moim własnym, osobistym świecie, odgrywałem najprzeróżniejsze role. Rycerza, zwycięzcy, dobrego boga, anioła-stróża, niewidzialnego opiekuna porwanej dziewczyny.

– Bo widzi pan – wyjaśnił mi pacjent – w moich baśniach była zawsze jakaś dziewczyna, wokół której ogniskowała się akcja moich barwnych przygód, ale o tym poniżej.

Garnąłem się więc po wariacku do tej muzyki, a że nie bardzo było gdzie ją znaleźć poza kościołem, więc pilnie uczestniczyłem we wszystkich uroczystościach sakralnych, najpierw jako ministrant, potem jako chórzysta. I tak, wdychając dymy kadzideł, przemieszane z zapachem spalających się świec, przeżywałem swoje własne msze.

Pacjent przerwał na moment i zapytał, czy może zapalić papierosa. Odparłem, że tak, oczywiście. W separatkach istniał zakaz palenia, ale tu

miała miejsce specyficzna sytuacja. Pacjent zaciągnął się kilkakrotnie, następnie wrócił do czytania swej opowieści.

Zauważyłem również coś, co dawało mi ogromną satysfakcję. Oto zarówno stojąc przy oltarzu w charakterze ministranta, jak również na podium, jako członek chóru, odczuwałem ową niepowtarzalną radość, jaką posiadają jedynie ci, którym dane jest występować solo. Rzecz w tym, że zarówno w pierwszej, jak i w drugiej roli, wydawało mi się, że oczy wszystkich zebranych w kościele zwrócone są na mnie, że oto ja jeden jestem tym kimś najważniejszym i najistotniejszym, najpiękniejszym i najlepszym. Wychodziłem po mszy zlany potem, z rozszerzonymi źrenicami i drżącymi palcami, przekonany o swej niezwykłości, o piętnie wyróżnienia, które było mi dane i które wszyscy powinni zauważać i szanować!

Nagle spojrział na mnie i jak gdyby podejrzewając, że jego opowieść mnie nudzi, zawołał:

– Pan zapewne chce wiedzieć, czy zwracałem uwagę na dziewczyny? Ależ tak, oczywiście! Od najwcześniejszych lat szkolnych do dnia dzisiejszego. Tak! Po dzień dzisiejszy!

W oczach pacjenta pojawiły się łzy.

– Panie doktorze – rzekł zgaszonym głosem. – To wszystko jest tak skomplikowane, trudne, że doprawdy nie wiem, czy jest sens dalej o tym mówić... – Przyglądał mi się spod zmrużonych powiek, ciekaw mojej reakcji na jego słowa.

– Kontynuujmy – powiedziałem spokojnie. – Do dzieła.

Pewnego dnia – podjął pacjent – stałem przy tablicy ogłoszeń, czytając program zajęć naszego chóru, kiedy nagle usłyszałem za sobą czyjeś kroki. Sądząc, że to mój kolega Stefan, powiedziałem:

– W kółko to samo. Jak gdyby nic innego na świecie nie istniało.

– Masz rację – usłyszałem głos jakiejś dziewczyny. Odwróciłem się. Stała przede mną Ewa z sopranów, szesnastolatka z lekko skośnymi oczami i dwoma długimi, czarnymi warkoczami. Zwróciłem na nią uwagę od momentu przybycia do chóru. Było w jej ruchach coś kociego, coś pobudzającego.

Pacjent westchnął:

– Gdybym, panie doktorze, był starszy lub miał więcej doświadczenia, zdałbym sobie sprawę, iż to po prostu „sexy”. Wtedy uważałem, że jest w niej „coś” i że to „coś” powoduje, iż jej osoba pojawia się w moich snach i marzeniach, coraz częściej, aż w końcu staje się jedyną postacią, wokół której ześrodkowują się moje myśli i działania.

– Wiesz – powiedziałem – grają jutro „Króla Rogera” Szymanowskiego. – Jeśli chcesz, kupię dwa bilety. Pójdiesz? Ewa przystała. Obejrzeliśmy „Króla Rogera” trzymając się za ręce. Wyszliśmy przytuleni i odtąd w każdy piątek spotykaliśmy się w Filharmonii. Pewnego wieczoru po wysłuchaniu koncertu cmoll Rachmaninowa, pognaliśmy bez jednego słowa do jej mieszkania. Tam Ewa natychmiast po zamknięciu drzwi rzuciła się na tapczan i swym gardłowym, niskim głosem zawołała: – Chodź! – A ponieważ stałem bez ruchu, wykrzyknęła – chodź!

Na co czekasz?

Pacjent jęknął.

– Och, panie doktorze, jakże żałuję swego postępowania. Każdy normalny zdrowy chłopak, każdy mężczyzna taki, jak pan, jak pańscy i moi koledzy, rozebraliby się tak szybko, jak ona i cieszyliby się z osiągniętego szczęścia. A ja? – pacjent zamyślił się na chwilę, po czym przełknął ślinę i rzekł z wysiłkiem: A ja? Czy pan domyśla się, co ja zrobiłem.

– Wiem – odparłem. – Stchórzył pan.

– Tak – potwierdził pacjent – stchórzyłem.

A jednak stary Freud miał rację – pomyślałem. – Mężczyzna zafascynowany kobietą, zakochany do szaleństwa nie jest zdolny do spełnienia aktu płciowego, aczkolwiek nie jest impotentem. Z innymi kobietami, z którymi nic go nie łączy może szaleć, ile wlezie. Spojrzałem przez okno. Nagły powiew wiatru wzniosł tumany kurzu z nieposprzątanego podwórza. – „Co robi teraz Inka? – pomyślałem.

– Gdzie jest i z kim?”

– Dlaczego pan stchórzył? – zwróciłem się do pacjenta.

– Przecież pan wie – odparł z niechęcią pacjent.

– Wolałbym usłyszeć to od pana – powiedziałem z naciskiem.

– No cóż – skrzywił się pacjent. – Skoro pan tego żąda...

– To dla pańskiego dobra – dodałem. Pacjent machnął ręką, ale dalszego sprzeciwu nie zgłaszał.

– To było tak – rzekł po chwili. – Stałem przy tapczanie pełen rozterki i wahania. Czegoś było mi brak. Jakoś inaczej wyobrażałem sobie to

pierwsze spotkanie z dziewczyną, tę pierwszą moją inicjację.

– Pacjent popadł w zamyślenie, które sam po chwili przerwał. – Ona wtedy zawołała: „Na co czekasz?” W jej głosie były nuty gniewu.

– „Nie potrafisz się kochać?” – „Nie, nie to” – plotłem trzy po trzy i wreszcie powiedziałem – „Sądzę, że nie powinienem ci tego robić”.

Ewa wybuchnęła głośnym śmiechem : – „Ty prawiczku! – zawołała. – Ty głupi prawiczku!” – Zaczęła bić pięściami o poduszkę.

– A mogło być tak wspaniale, tak cudownie! Boże, jak cudownie!

– Podciągnęła sukienkę i pokazała mi wnętrze ud. – Patrz, durniu, co cię ominęło! – Potem wstała i ubierając się, wykrzyknęła: – Wolę Jaśka i Tolka! Przynajmniej wiedzą, czego chcą. A ty? Myślałam, że z tobą będzie inaczej, bo byłeś inny. I że będziemy razem i ciałem i duszą.

A tu taka oferma! Zjeżdżaj! Won! Nie chcę cię więcej widzieć! – Uciekłem zawstydzony i przerażony.

– Och – myślałem – gdyby można było cofnąć czas o godzinę, ba, nawet o pół godziny, rozebrać się i położyć obok Ewy, pieścić ją i cieszyć się jej ciałem, a wreszcie zdobyć to, o czym tak bardzo marzyłem. – Pacjent zamknął zeszyt, otarł chusteczką skronie i zapytał: – Co teraz?

Pomyślałem, że leczenie snem w tym przypadku jest omyłką, błędem w sztuce lub bezmyślnym wypełnianiem wskazówek ideologicznych bez oglądania się na ich sens. Tak, czy owak jego pobyt na oddziale „snowym” był całkowicie zbędny.

– I co teraz? – powtórzył niecierpliwie pacjent.

– „Decyzja będzie trudna – kontynuowałem swoje rozmyślenia. – Pacjentowi nie pomogą ani leki, ani szpital, ani psychoterapia, gdyby ją nawet ktoś chciał i mógł stosować, ani więzienie, do którego może

niezadługo za swe wyczyny trafić. Najskuteczniejsza byłaby psychoanaliza, ale ta z kolei była u nas okrzyczana za wsteczną, burżuazyjną i reakcyjną, w związku z czym wspomnieć o niej nie można było. „

– Nad czym pan tak rozmyśla? – zapytał pacjent. – Boi się pan określić? Proszę, niech pan mnie nie oszczędza. Nikt dotąd nie usłyszał tyłu wyzwisk, co ja. Chyba taki sam, jak ja – dodał z sarkazmem.

– Nie będzie wyzwisk – powiedziałem – ani ostrych słów, ani potępienia. Będzie – zawahałem się i przez chwilę, spoglądając przez okno, zbierałem myśli. – Co będzie? – zadałem sobie pytanie. Terapia specjalistyczna, której nie ma? Oddział nerwic seksualnych, którego również nie ma? Jakies leki psychiatryczne, których nie ma?

– Musi mnie pan zrozumieć – powiedziałem – wiemy, co pan robi i wiemy, jak się takie czynności nazywają. Ekshibicjonizm. A więc diagnoza jest. Gorzej z terapią, bo tej nie znamy. Musi się pan wypowiedzieć do końca, bez reszty, całkowicie. Może znajdziemy jakiś punkt uchwytu.

– Zostanę u pana?

– Jeśli tak, to na krótko. Sen nie jest panu potrzebny. Potrzebna jest szczerłość i zaufanie. Do jutra!

– Do jutra!

* * *

Dzień następny rozpoczął się od awantury, jaką mi urządził Kompost za to, iż nie napompowałem pacjenta mieszankami nasennymi.

– Jak pan śmie nie wykonywać moich zleceń? – wydierał się Kompost na korytarzu. – Kto tu jest szefem: ja, czy pan? Czy pan wie, kim pan tu

jest? Nie? Milczy pan? To ja panu powiem! Żółtodziobem i terminatorem! Nikim więcej – zachłystywał się jak warczący buldog śliną. – Nikim!

– Panie ordynatorze – próbowałem bronić swego stanowiska. – Nie podałem leków nasennych pacjentowi ekshibicjonście, bo muszę pacjenta poznać, zebrać wywiady, dowiedzieć się o przebiegu choroby. Na to trzeba czasu.

– Czasu? Ile czasu? Dwa dni? Inni potrafią zebrać wywiady w dwie godziny, a pan nie potrafi w dwie godziny? Do roboty! I to już! Natychmiast! I żebyś widział u pacjenta leki nasenne. Już! Zaraz! Natychmiast! Jasne?

– Jasne! – odburknąłem i powędrowałem do separatki pacjenta ekshibicjonisty. Mężczyzna był ogolony i odświeżony, na jego twarzy malował się spokój i odprężenie. Przywitał się ze mną i zapytał, co oznaczały wrzaski na korytarzu. Odparłem, że to charakterystyczna cecha pawłowizmu dnia codziennego. Pacjent roześmiał się szeroko, następnie zapytał:

– Czy mogę mówić dalej?

– Musi pan – odparłem. – Muszę poznać prawdę.

– Całą prawdę i tylko prawdę – zażartował pacjent.

– Tak – odparłem poważnie. – Całą prawdę i tylko prawdę.

– Wie pan – rzekł pacjent. – Cała prawda sprowadza się do jednego: świadomości, że byłem głupi. – Straszliwie głupi. Gdybym został kochankiem Ewy, uniknąłbym wszystkich późniejszych nieszczęść, jakie się na mnie zwały.

– Tak pan sądzi? – wtrąciłem.

– Czy sądzę – pacjent uśmiechnął się ze smutkiem. – Ja o tym wiem.

Na słowie „wiem” położył szczególny nacisk. – Chyba – dodał w zamyśleniu – że to, co odbyłoby się wtedy z Ewą, nie dałoby mi zadowolenia. Taką ewentualność też brałem pod uwagę. – Pacjent zakasłał, ale jego kaszel był wymuszony. Zaczął się denerwować. Wspomnienia wyraźnie go drażniły.

– Po incydencie z Ewą – rzekł – popadłem w depresję. Może nie w depresję, ale zły nastrój. Wystąpiłem z chóru, przestałem uczęszczać na koncerty. Za to przesiadywałem w domu i słuchałem muzyki. Całymi godzinami tak siedziałem w bezruchu i słuchałem bądź radia, bądź płyt. I niech pan sobie wyobrazi, że usłyszałem kiedyś koncert cmoll Rachmaninowa, ten sam koncert który spowodował, że pełen uniesienia wyszedłem pod dom Ewy. Stałem pod jej oknami, spacerowałem, aż wreszcie – pacjent przełknął ślinę i zapytał: – Wie pan, panie doktorze, co ja myślę o naszym życiu? Ja myślę, że los gotuje nam wszystkim ciąg wydarzeń z góry zaplanowany, że nie ma przypadków, sytuacji nagłych i niespodziewanych, że jest los, który nam gotuje wszystko, co najgorsze.

Otóż, kiedy tak spacerowałem pod oknami Ewy, ujrzałem ją nagle wychodzącą pod rękę z jednym z tenorów z naszego chóru. Cofnąłem się, a potem rzuciłem do ucieczki. Biegłem przed siebie, bez określonego celu tak, aby znaleźć się od nich jak najdalej. Ochłonałem w parku, ale podniecenie, żal i złość nie minęły. I wtedy ni stąd, ni zowąd ujrzałem dziewczynę niesłychanie podobną do Ewy. Stała wśród krzaków głogu i przyglądała mi się z uwagą. Przypuszczam, że jej uwagę zwrócił wyraz napięcia na mojej twarzy. I wtedy, po raz pierwszy w moim głupim życiu odczułem potrzebę obnażenia się. Był to impuls, imperatyw, nakaz wewnętrzny. Ja po prostu musiałem to uczynić. Potrzeba nagości była

silniejsza, niż lęk, poczucie wstydu, świadomość następstw, jakie mnie czekały.

Sądziłem początkowo, że dziewczyna krzyknie i rzuci się do ucieczki. Stało się inaczej. Dziewczyna przyjrzała mi się z zaciekawieniem, następnie ruszyła w moim kierunku. Była o kilka kroków ode mnie, gdy nagle rozległ się głos jakiejś starszej kobiety: – Lina? Gdzie jesteś, Lina? Dziewczyna mrugnęła do mnie porozumiewawczo, cofnęła się, ja zaś ukryłem się w pobliskich krzakach.

– Jak się pan wtedy czuł? – zapytałem.

– Jak się wtedy czułem? – powtórzył w zamyśleniu pacjent. – W pierwszej chwili cudownie. Wydawało mi się, że oto nadeszło jakieś przedziwne wyzwolenie, nieopisana radość, mistyczne połączenie z napotkaną dziewczyną, będącą niemal idealną repliką Ewy...

– A potem?

– Potem ogarnął mnie paniczny strach. Coś więcej, niż strach. Uczucie, którego nie można opowiedzieć słowami. Wiem jedynie, że pot płynął mi po skroniach potężnymi strumieniami, zaś w oczach pojawiły się ciemne plamki. Chyba przez chwilę źle widziałem. Usiadłem na pobliskiej ławce.

– Panie doktorze! – zawołał pacjent. – I wtedy, i teraz, i w przyszłości... Zawsze jest to samo: lęk, że przecież może mnie ktoś zobaczyć... rozpoznać... Sprawa się rozniesie. Co wtedy? Wtedy, ośmieszenie, potępienie, kompromitacja i znikąd ratunku.

– Widział pan Linę ponownie? – zapytałem, aby przerwać napięcie, jakie ogarnęło pacjenta.

– Nie, nigdy. Chociaż szukałem ją po wszystkich parkach, laskach, szkołach, ogródkach szkolnych i Bóg wie jeszcze gdzie. Szukam jej

zresztą nadal.

– A gdy pan ją spotka – zagadnąłem. – Czego pan po niej oczekuje?

Pacjent zgasł.

– Ma pan rację – rzekł. – To potrzeba irracjonalna. Bez sensu. Spotkanie z Liną nic mi nie da. Nic się tu dla mojego dobra nie stanie. Raczej większe kłopoty. Wie pan, o czym myślę – zapytał nagle z niedobrym błyskiem w oczach.

– Wiem – przerwałem ostro. – Ale o niczym takim niech pan się nie waży mówić. Jeszcze jest czas, jeszcze pomyślimy. Jeszcze może się wiele zmienić.

Opuściłem separatkę zgaszony i zdeprimowany. Pacjent wymagał pomocy, to nie ulegało wątpliwości. Nie ulegało również wątpliwości, iż tu nikt pomóc mu nie potrafił. Kto zatem mógł mu pomóc? Internista? Urolog? Neurolog? Nie słyszałem, żeby któryś z nich takimi sprawami kiedykolwiek się zajmował. Pozostawał jedynie psychiatra i tu należało się udać. Jak pomyślałem, tak uczyniłem. Wypisałem skierowanie do specjalisty chorób umysłowych, wezwałem karetkę przewozową, poleciłem pacjentowi, aby się ubrał i wysłałem go pod Warszawę. Żadnej psychiatrycznej placówki w tym czasie w stolicy nie było.

W godzinę później Kompost wezwał mnie do siebie.

– Kolego Sierpski – zagrzemiał, nie zapraszając mnie do zajęcia miejsca.

– Gdzie jest pacjent ekshibicjonista?

– Wysłałem go do psychiatry. Na konsultację.

– Bez uzgodnienia ze mną?

– Sprawa była oczywista.

– Tak! Oczywista! – ryknął w odpowiedzi Kompost – jak ta, że pan tu

pracować nie będzie. Proszę – rzucił we mnie jakimś papierkiem.

– Oto jest wezwanie na Komisję Kontroli Zawodowej. Jutro. Tutaj. O jedenastej.

– Tutaj? – wyraziłem swe głębokie zdumienie. – Odkąd Komisja Kontroli Zawodowej znajduje się tutaj?

– Odkąd ja jestem jej przewodniczącym – odparł Kompost.

– I dlatego stanie pan jutro o jedenastej przed obliczem Komisji i dowie się pan, co będzie dalej. Żegnam.

Nie podniosłem wezwania. Zostało na podłodze przed biurkiem. Wyszedłem na korytarz bez pożegnania. W moim życiu kończył się okres zwany spotkaniem z Pawłowizmem Dnia Codziennego. Co będzie dalej? O tym, zgodnie z zapowiedzią Komposta, dowiem się jutro...

Tego samego dnia udałem się do Inki. Postanowiłem uregulować wszystkie swoje sprawy za jednym zamachem.

Zadzwoiłem, drzwi uchyliły się i ujrzałem przed sobą moją pastelową madonnę w szlafroku koloru morza. Była tak piękna, iż rzuciłem się na nią, zrzuciłem szlafrok i zacząłem ją całować po całym ciele.

– Zamknij przynajmniej drzwi, wariacie! – zawołała, śmiejąc się Inka, a kiedy uczyniłem, co mi rozkazała, powiedziała: – Chodź!

– i oddała mi się na dużym, puszystym dywanie, w jednym z wielkich pokoi jej mieszkania.

Kiedy ochłonęliśmy, zaparzyła kawę i podała mija wraz z likierem.

– Co cię gnębi? – zapytała wyciągając się leniwie w fotelu i eksponując swe piękne ciało. Była zmysłowa i tej właściwości nie kryła.

– Co masz na wątrobie? – zagadnęła ponownie Inka. Zauważyłem, że z wnętrza jej ud spływają ku dołowi maleńkie pasemka śluzu, podobne do

babiego lata. Miałem chęć wziąć ją ponownie, ale Inka zawołała:

– Za chwilę! Najpierw mów!

Wszelkie wymówki, pretensje, okazywanie żalu i rozpacz nie mają w tej sytuacji sensu. Dziewczyna pozostaje na nie głucha, każda zaś jej wypowiedź wydaje nam się złośliwą, niechętną lub arogancką ripostą. Ale powstrzymanie się od takich działań przerasta nasze możliwości. Uważamy, że błaganiem o litość, prośbami czy pogroźkami zdołamy coś osiągnąć. Zdawałem sobie znakomicie sprawę z powyższych zasad gry, a mimo to popełniałem te same błędy, co dziesiątki zakochanych mężczyzn przede mną.

– Wiem, z kim się spotykasz – powiedziałem.

– Niczego nie ukrywam – odpowiedziała Inka. Była spokojna, pewna siebie.

– Jak ci nie wstyd! – zawołałem.

– Czego ma mi być wstyd? – zapytała ze zdziwieniem.

– Powiem o wszystkim w przychodni! – wypaliłem, sam zdając sobie sprawę ze śmieszności swej wypowiedzi.

– Robisz się żaloszny – usłyszałem spokojną odpowiedź. – Pracuję w przychodni bez zarzutu, wszyscy są ze mnie zadowoleni, zaś moje sprawy osobiste nikogo tam nie obchodzą. No więc?

– Powiem o wszystkim. – I tu się zawahałem, zdając sobie sprawę, że już zupełnie nie panuję nad sytuacją oraz że Bogiem a prawdą komu miałbym o kontaktach Inki z Busiem powiedzieć? Mężowi Inki? Wiedziałem, że go te sprawy kompletnie nie interesują. Inka mogła robić, co chciała, on chciał ją tylko kapać. Żonie Busia? Ta często wyjeżdżała za granicę i być może miała do całej sprawy podobny stosunek jak mąż Inki.

– Komu powiesz? – zapytała z ironicznym uśmiechem Inka.

– Jest ktoś, komu mógłbyś o nas powiedzieć?

– Wybacz Inko – rzekłem ze skruchą. – Jeśli rozumiesz, czym jest miłość, powinnaś wiedzieć, co dzieje się ze mną!

– Nic ci na to nie pomogę – odparła Inka bez większego przejęcia.

– W tobie też kochały się dziewczyny, na które nie zwracałeś uwagi. Potrafiłeś im pomóc?

Nie potrafiłem. Potrafiłem natomiast przypomnieć, jak błagała mnie o pomoc, krzycząc: – „kochaj mnie”, jak uciekała przed teściową i chroniła się u mnie, jak skarżyła się, że musi mieszkać w stróżówce, jak prosiła o „pożyczenie” pieniędzy, bo nie miała za co kupić mleka, jak błagała, żeby ją zabrać na sobotę i niedzielę wszystko jedno gdzie, bo ona tu, w Warszawie, oszaleje. Teraz nie było o tym mowy. Teściowa zmarła, mąż dał się owinąć wokół palca, mogła zmieniać chłopów jak rękawiczki, o rozwodzie nie było mowy.

– Byłem przy tobie w twoich najtrudniejszych chwilach – powiedziałem, ale Inka temat ucięła.

– Wiem, co masz na myśli, ale to minęło. A w ogóle, to nie rób z siebie dobroczyńcy: miałaś wtedy mnie do dyspozycji wszędzie: w przychodni, w moim domu, w lesie, w zbożu, na mchu, gdzie chciałaś. Źle ci było? Chyba nie...

– Trudno tę więź zerwać...

– Czyja ci obiecywałam, że ona będzie wieczna? Nie obiecywałam. Przeciwnie: ostrzegałam, żeby nie było pretensji, kiedy odejdę. Więc jak to jest; nie pamiętasz, kiedy to mówiłam?

Mieszają się we mnie najprzeróżniejsze odczucia: od najskrajniejszej

nienawiści do miłosnej tkliwości i żebrania na kolanach o litość. Zdawałem sobie sprawę z własnej bezsilności i ona podburzała mnie do akcji odwetowej.

– Pamiętam – powiedziałem bezbarwnie.

Inka zrzuciła z siebie koc. Było jej za gorąco. Znow ujrzałem ciemny, jedwabisty trójkąt i wspięty ponad wargi różowy, spęczniały ponad wargami koniuszek łechtaczki. Poczulem ciepło w łądźwiach.

– Coś ci powiem, Sław – rzekła Inka. – I zrobię to zanim mnie weźmiesz, bo widzę, że ci się na to zbiera. Otóż powiem ci, że jesteś znakomity, jak mało kto w łóżku, ale jeśli chodzi o sprawy życiowe, jesteś bęćwał. Wiecznie niedojrzały niezyciowy harcerzyk. Zresztą, szkoda gadać. Masz mnie dziś po raz ostatni i więcej się nie pokazuj. Chodź!

Rozchyliła uda, ja zaś zapomniałem o groźbach, o tym, że to ostatni raz, że istnieje Busio, Kompost, Komisja Kontroli Zawodowej i wszelkie nieszczęścia naraz. Byłem szczęśliwy.

Posiedzenie KaKaZetu, czyli Komisji Kontroli Zawodowej wyznaczone zostało na godzinę dziesiątą w nowym gabinecie dyrektora. Piszę: „nowym”, albowiem został on usytuowany w odnowionym i świeżo odmalowanym skrzydle budynku szpitala. Panowała tu absolutna, niczym nie zmaćona cisza, nikt nie tynkował ścian, nikt nie wędrował po drabinach i nie włączał się do przeprowadzanych w gabinecie rozmów. Idealne miejsce dla obiektywnych, ludowych sadowników.

Przybyłem na wyznaczone mi miejsce piętnaście minut przed czasem, siadłem w pustym sekretariacie i rozpocząłem antyszambrowanie, czyli warowanie przed drzwiami. Pomyślałem, że minuty przed egzekucją sprzyjają refleksjom nad dotychczasowym dorobkiem i dalszymi

perspektywami i że dobrze powinienem się zastanowić, jak obecną sytuację rozegrać. Niestety, zanim zdołałem zebrać myśli i ustalić wszystkie „za i przeciw” przyszedł dyrektor i delikatnie, acz stanowczo wyprosił mnie na korytarz.

– Wybaczy pan – powiedział. – Jestem sam, pani Nusia jest chora i muszę mieć na sekretariat baczenie. Poproszę pana, jak gremium się zbierze. A póki co, to przeczytaj pan gazetę!

I wręczył mi „Trybunę Ludu”.

Siadłem w kącie, rozpostarłem płachtę pisma i spoza tak sporządzonej osłony obserwowałem nadchodzących. Najsampierw przybiegł Kompost lekko i skocznie, jak po godzinie gimnastyki odchudzającej lub grze w tenisa, po nim „pierwszy”, ciężiej i godniej. Przyfrunęła towarzyszka Rysia, a za nią trzech opasłych, nieznanym mi towarzyszy, stąpających powoli, majestatycznie, świadomych swego znaczenia i odgrywanej roli.

Bielinek pozamykał drzwi i okna, po czym wysokie gremium naradzało się przez dłuższy czas. W końcu Bielinek wyszedł na korytarz i zaprosił mnie „na obrady”.

Wszedłem, ukloniłem się i usiadłem na przygotowanym dla mnie krześle. Naprzeciw mnie siedziało trzech brzuchaczy, którzy świdrowali mnie takim wzrokiem, jak gdybym popełnił jakieś przestępstwo kryminalne w rodzaju podpalenia domu, gwałtu na nieletniej lub uśmierceniu kilku osób. Kompost, Bielinek i „pierwszy” siedzieli po bokach. Kompost przeglądał pilnie jakieś papierzyska, Bielinek sporządzał notatki, zaś „pierwszy” oglądał swe niezbyt czyste paznokcie. Towarzyszka Rysia szczyrzyła zęby do grubasów. Panowała cisza. Podniosłem się z krzesła i jeszcze raz powiedziałem „dzień dobry”.

Wszyscy chórem odpowiedzieli „dzień dobry”, zaś Bielinek spojrział na zegarek i rzekł:

– Szanowni towarzysze! Otwieram posiedzenie Komisji Kontroli zawodowej poświęconej osobie doktora Sierpskiego. Szczegóły towarzysze znają. Poproszę towarzysza Kompostowskiego o zreferowanie zagadnienia.

Kompost wstał, spojrział swoim zwyczajem w sufit, następnie, trzymając obie ręce, jak gdyby złożone do pacierza, przedstawił moją sylwetkę jako człowieka niepodporządkowanego, niezbyt zachwyconego rzeczywistością, aczkolwiek nie odnoszącego się „do nas” wrogo, przemądrzałego i niedouczzonego, który jak każdy niedouk i przemądrzalec podważa świetlane zdobycze Pawłowa; zagubionego wicherzyciela, który przez ideologiczne zaniedbania i zagubienie nie zdaje sobie sprawy, iż jest wicherzycielem. Z kolei Kompost wygłosił popisowy wykład z zakresu podstaw nerwizmu, przy czym wykład ten był tak prowadzony, jak gdyby zebrani nie mieli o nerwizmie zielonego pojęcia.

– To jest, towarzysze, moje credo. Dzięki Pawłowowi i Bykowowi powstała nauka o patologii korowotrzewnej, dzięki której wiemy, iż kora mózgową jest regulatorem nadrzędnym wszelkich czynności ustroju, że w ten oto sposób choroby narządów ustroju mogą spowodować choroby psychiczne, z kolei zaś zaburzenia psychiczne mogą spowodować choroby somatyczne. A że zaburzenia w większości chorób psychicznych wywołane są znużeniem komórek mózgowych, należy stosować sen przedłużony, który hamując czynności mózgu, powoduje powrót sprawności, a w ten sposób wyzdrowienie. – Kompost wyrecytował powyższe słowa jak wyuczoną lekcję, potem nabrał oddechu i jął

tłumaczyć, iż to powyższe „credo” „było, jest i będzie podstawowym motorem oraz sensem istnienia mojego oddziału. „ – Tu Kompost zawiesił głos i tak wykrzywił swoją obrzydliwą gębę, iż przez moment sądziłem, że zacznie łkać jak bóbr.

– Kolega Sierpski – rzekł po mocno wydłużonej pauzie Kompost – miał zatem wszelkie dane, aby zapoznać się z istotą nerwizmu, zrozumieć go, przyswoić i zaakceptować. A co uczynił kolega Sierpski?

– Kompost westchnął dwa razy. – Kolega Sierpski zaczął deliberować, porównywać, mądrzyć się, a w rezultacie podważać istotę pawłowizmu dnia codziennego. Punktem kulminacyjnym owej sławetnej działalności na terenie mojego oddziału były dwa popisy samowoli kolegi Sierpskiego. Pierwszy – to wypis pacjenta chorego na nadciśnienie, drugi – ułatwienie ucieczki z naszego oddziału pacjentowi zboczonemu, pokazywaczowi. Odpowiedzią kolegi Sierpskiego na zarzuty skrajnego niepodporządkowania regulaminowi szpitala było stwierdzenie, iż nerwizm nic by obu pacjentom nie pomógł i że ich pobyt na oddziale był zbędny. – Teraz Kompost przerwał swe tokowanie i z ręką na sercu zwrócił się do członków Komisji:

– Najmilsi memu sercu towarzysze. Każdy inny ordynator, a w szczególności wychowany w przedwojennych, kapitalistycznych warunkach wzięłby tak niepodporządkowanego asystenta i wyrzuciłby go na bruk bez troszczenia się o jego przyszłość i zabezpieczenie na starość. Żadne bowiem poglądy i różnice polityczne nie mogą zlikwidować zależności służbowej, jaka istnieć musi pomiędzy ordynatorem a podległym mu personelem. Ja zwróciłem się do was po koleżeńsku, po ludzku, socjalistycznie. Dziękuję.

Zebrani skwitowali wypowiedź Kompostowskiego frenetycznymi oklaskami.

Kiedy zapadła wreszcie cisza, zabrał głos doktor Bielinek.

– Dziękuję serdecznie towarzyszowi doktorowi Kompostowskiemu za tak obiektywne i rzeczowe przedstawienie sprawy doktora Sierpskiego. Zaiste – dodał w małym uniesieniu – żyjemy w szczególnych czasach wielkiej prawdy, które pozwalają ujawniać talenty tak wspaniałych pedagogów, jak obecny wśród nas towarzysz doktor Kompostowski. Chwała mu za to!

Rozległy się znów potężne oklaski, które Bielinek wyciszył ruchem ręki. Następnie rzekł:

– A teraz uprzejmie proszę o zabieranie głosu w rzeczonyj sprawie.

– Święta racja, towarzyszu Kompostowski – przytaknął „pierwszy”. – Zupełnie wasze racje podzielam. – Potem dodał: – I jestem z wami towarzyszu Kompostowski!

– Ja także – potwierdził szybko Bielinek. – Towarzysz Kompostowski ma absolutną rację. Pragnę jednocześnie zaznaczyć, że cenię szczególnie u towarzysza Kompostowskiego jego troskę o przyszłość, czyli mówiąc inaczej, o wychowanie kolegi Sierpskiego.

I „pierwszy”, i Bielinek wyraźnie starali się sprawę załagodzić. Teraz obydwaj spoglądali na szczurzą mordkę towarzyszki Rysi oraz pyzate gęby pozostałych towarzyszy, oczekując ich osądu.

– Czy kolega Sierpski nie jest przypadkiem wrogiem ludu i reakcją? – zapytał najstarszy wiekiem spośród zaproszonych buldogów, wyróżniający się kwadratową twarzą boksera. Jak się później dowiedziałem, był to wybitny specjalista w zakresie organizacji socjalistycznej ochrony

zdrowia. – Czy nie mamy tu do czynienia z wywrotową robotą?

– Nu właśnie – rzekł drugi z owej trójcy, jak mi później powiedziano, znany społecznik i działacz. – Jak ja, wiecie, pamiętam, czasu wojny, zawsze trzeba było popatrzeć na ręce. Na łapy – dodał z lekkim uśmiechem – my tak wtedy mówili.

– Fakt – rzekł trzeci, również społecznik i wychowawca młodzieży, znany z tak wielkiego upodobania do zagranicznych wojaży, iż bywało, że przesiadał się z samolotu na samolot. – Autorytet – powiadam. – Autorytet – powtórzył. – Bez autorytetu wszystko na nic. Marazm i ucieczka. Upadek i wysypka. Trąd na socjalistycznym ciele.

– Nu właśnie – odezwał się powtórnie drugi. – Ale żeby Sierpskiego nie puszczać bez wypowiedzi, to niech nam tu powie, jaki jest jego stosunek do kolektywizacji. Nu – zwrócił się do mnie. – Tak, bardzo prosimy, mówcie.

Omali się nie uśmiechnąłem, a wszystko za przyczyną nagłego przyływu wspomnień związanych z tzw. „akcją” kolektywizacji.

Owa „akcja” wciąż oczekuje na pióro dobrego komediopisarza, zanim to jednak nastąpi, przypomnę, co mnie się przydarzyło.

Wyjeżdżaliśmy więc my, brać zetempowska, równająca wzwyż do Komsomołu, z szumem i hałasem, bojowymi okrzykami i śpiewem na ustach, wioząc obowiązującą na tę okoliczność literaturę propagandową i szturmówki, czasem z orkiestrą i filmami. Dojeżdżaliśmy do miejsca – bazy, skąd chłopcy rozwozili nas do poszczególnych wsi, gdzie w wybranych remizach strażackich odbywały się zebrania. Ich dramaturgia przebiegała również niezmiennie. My odczytywaliśmy swoje kwestie, oni słuchali naszego tokowania w milczeniu, spoglądając na nas swymi

życzliwymi, jasnymi oczyma, zgadzając się, a jakże, na wszystkie nasze propozycje, a potem zapraszali nas na „skromny poczęstunek”. Stare wygi i wyjadacze świetnie wiedzieli, że my „musimy” przyjechać, że oni „muszą” nas wysłuchać oraz że trzeba potem napisać sprawozdanie, w którym wszyscy ze wszystkich będą niesłuchanie zadowoleni. Wiedzieli również, że studenckie żołądki są z reguły puste i że każdy pyskujący o wyższości kolektywnej współpracy szczeniak, czeka na wyzerkę. Stąd też „skromny poczęstunek” sprowadzał się do „klu” programu. Stawiali więc w tejże remizie półmiski kotletów, pieczonych kurczaków, smażonych boczków, ziemniaków ze skwarkami tudzież innych smakołyków, my zaś obżeraliśmy się, jak świntuchy.

Kiedy zaś apetyty nasze były jako tako zaspokojone, zabierał głos sołtys, który dziękując za mądre i jedynie słuszne słowa, zapraszał na kolejną, choć jeszcze nie ze skolektywizowanych gospodarstw, kolację i tu robił przeraźliwie smutną minę, na co zebrani reagowali szczerym, spontanicznym śmiechem. Dodawał następnie, że tamta ze skolektywizowanych gospodarstw będzie na pewno lepsza, boć przecie, nie ma jak bogate gospodarstwa kolektywne, gdzie wszystkiego jest w bród i człowiek ma, czego dusza zapragnie. Zebrani w remizie chłopci przyjmowali powyższe deklaracje z owacyjną radością, a następnie napelniali kieliszki samogonem, częstowali nas i wznosili jeden po drugim toast: „za kolektywizację!”, „za rychłą kolektywizację!”, „za porządną”, „wymarzoną”, „chcianą nade wszystko” i tak dalej, i tak dalej.

Żegnaliśmy się następnie wylewnie, po staropolsku, całując się siarczyście w oba policzki, mówiąc „do zobaczenia”, jako że nasze akcje trwały permanentnie.

Jedno z tych spotkań miało szczególny charakter i dlatego utkwilo w mojej pamięci najsilniej. Związane ono było z wyjazdem do Góry Kalwarii, w okolicy rodzinnej wsi Bernia, Rychalczewa. Wsie w tym rejonie były bogate, gospodarstwa olbrzymie, umiejętnie, rzecz jasna, podzielone pomiędzy braci, siostry i inne pociotaje, tak, aby każdy wobec władz był małorolny i żeby na nikogo nie powiedziano, że jest zapowietrzony kułak. W tym okresie czasu nasilenie naszych ekip osiągnęło apogeum „wyjeżdżalności”, jeździliśmy zatem na „akcję” co tydzień. Pewnego dnia otrzymaliśmy polecenie wyjazdu do wsi Rychalczew.

– Berniu! – ryknęliśmy. – Jedziemy do ciebie!

– Fakt – potwierdził Bernio. – Rychalczew, to moja rodzinna wieś.

– Przygotuj swoich do kolektywizacji – powiedzieliśmy.

– Są gotowi na wasze przyjęcie – odparł godnie Bernio. Wyruszyliśmy, jak zwykle, z wrzaskiem i okrzykami, z broszurami i szturmówkami, weseli i zadowoleni, albowiem był czerwiec upalny i barwny, było tuż po sesji, w perspektywie wyjazd na wakacje, a tu, w Rychalczewie, znakomita wyżerka.

W Górze Kalwarii podzielono nas na grupy, które odjeżdżały powozami do wyznaczonych wsi. Bernio szybko zorganizował swoją ekipę, w której i ja się znalazłem i oczywiście, czołowy aktywista Staszek i ruszyliśmy do Rychalczewa. Rytuał był ten sam, co zazwyczaj. W remizie odbyło się zebranie, w czasie którego zgodnie stwierdziliśmy, że oto dziś, jutro, pojutrze ruszamy do kolektywizacji, ale zanim to nastąpi, rychalczewscy chłopcy zapraszają nas na poczęstunek z okazji imienin... czterech Janów zamieszkałych w tutejszej wsi. I wtedy się zaczęło. Znów

były półmiski z mięsiwem, ptactwem, sałatkami, sosami, Bóg wie jeszcze z czym. Potem zaczęły się toasty za ukochaną kolektywizację i tak w czterech chatach od początku!

Skutek owej „akcji” był taki, że obudziłem się około szóstej w stodole w aromacie skoszonego siana i mięty, nie zdając sobie sprawy ani gdzie jestem, ani co tu robię. Leżałem tedy jak klocek, w głowie mi się kręciło, wydawało mi się, że jest rok trzydziesty dziewiąty i jestem w Swarzewie z Tata i Mamą i że czekam na ich wezwanie, aby wypłynąć na spacer po zatoce. Ale tata nie nadszedł, nadeszli natomiast czterej Janowie i wyciągnęli nas – tak, nas! – albowiem obok mnie, czego nie wiedziałem, znajdowali się moi kompanowie – na podwórzu. Otrzymaliśmy zaproszenie na kolację, a ściślej na cztery kolacje, albowiem imieniny trwały i odmawiać nie było wolno. Tym razem markowaliśmy: przy toastach za kolektywizację wznosiliśmy kieliszki, ale ich nie wychylaliśmy do końca. Mimo to było ich tyle, że znów film nam się urwał, ponownie znaleźliśmy się na rozkosznym sianku. Aliści nie było nam dane spać tej nocy. Około godziny dwunastej obudził nas gromki okrzyk: pobudka! I znów ściągnięto nas na klepisko, otrzeźwiono szarpaniem za uszy i poprowadzono w kierunku sąsiedniej stodoły. I tam, w jasną, radosną noc Kupały, zaczęło się przedziwne misterium, po którym myślałem, że zdarzyło się we śnie. Rozległ się tętent, nadjechała banderia konna z siwowłosym sierżantem w mundurze na białym siwku, przelecieli przez wieś, wszędzie z okrzykami i wiwatami, śpiewając „jedzie, jedzie na kasztance siwy strzelca strój”. Po objeździe wsi siwowłosy sierżant wrócił, zsiadł z konia, pozostali za nim, wszyscy ustawili się w dwuszeregu, potem padł rozkaz: „Do defilady” i wszyscy ruszyliśmy w karnym szeregu

przed sierżantem, który pamiętał Komendanta i brał pod jego rozkazami udział w walce z bolszewikami. Po defiladzie rozpalono ognisko i zaczęliśmy śpiewać pieśni legionowe, zaś stary sierżant snuł w noc opowieści o Komendancie. W końcu rozplakał się jak dziecko, za nim jego banderia, a wreszcie my ze Staszkiem na czele...

– Wiecie – rzekł nazajutrz Staszek – coś mi się dziwnego śniło. Chyba coś białego...

– Wiemy – powiedziałem. – Białe myszki. Po takim tankowaniu trudno się dziwić, że masz omamy.

– Może to był pająk? – zagadnął Bernio. – Po samogonie można zobaczyć białego pająka.

– To był koń – odparł Staszek – biały koń i białe piosenki.

– Oraz pułk białogwardzistów – dodałem. – I pomyśleć, że to się śni aktywiście i zasłużonemu towarzyszowi. Nigdy bym nie przypuszczał...

Staszek obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie widzieliście białego konia? – zapytał.

– Ja widziałem – odrzekłem. – Rok temu przy dorożce.

– Ja również – poparł mnie Bernio. – Przy tej samej dorożce. Tylko, że to nie był koń tylko kobyła.

– To kobyła nie jest koniem? – wyraziłem zdziwienie.

– Przestańcie – wrzasnął Staszek i zapytał po chwili znacznie łagodniejszym tonem: – Czyli twierdzicie, że konia tu nie było?

– Był – rzekłem. – ale odjechał. Z tym, że nie był biały, ale brązowy w ciemne łaty. Był bardzo efektowny.

– Właśnie – dodał Bernio. – Drugi był kary i oba nas tu przyniosły. Są w stajni u Ratajczaka. Chcecie zobaczyć?

Staszek popadł w zamyślenie. Bał się przyznać, że brał udział w wieczornicy poświęconej Marszałkowi, że śpiewał piosenki legionowe oraz stał na bacność przed sierżantem, uczestnikiem imperialistycznej i zaborczej wojny dwudziestego roku. A że dobrze mu się w głowie kręciło, więc nie był pewien, czy uroczystość miała istotnie miejsce. , czy też był to wynik zatrucia alkoholowego.

– Hm – rzekł wreszcie. – Chyba byłem zatruty. Samogon to przecież straszna trucizna.

– Nu więc jak – usłyszałem ponaglenie pytającego – więc jak wy się odnosicie do kolektywizacji?

– Pozytywnie – odrzekłem z przekonaniem. – Całkowicie pozytywnie – dodałem z naciskiem, aby utwierdzić moją głęboką wiarę w postępy kolektywizacji w Polsce Ludowej.

– Znakomicie – zawołał doktor Bielinek. – Wiedziałem, że taką właśnie usłyszemy odpowiedź. Czy ona towarzysza zadawała? – zwrócił się z pytaniem do znanego społecznika.

– Zadawała – odparł zagadnięty. – Zupełnie i w pełni zadawała.

– Czy pozostali towarzysze chcą zabrać głos? – zwrócił się Bielinek do pozostałych zebranych.

A ponieważ jedyną odpowiedzią była cisza, zapytał:

– Czy w tej sytuacji możemy przyjąć wniosek towarzysza Kompostowskiego jako zobowiązujący?

Towarzysze pokiwali twierdząco głowami, jeden zaklaskał z aplauzem. O co tu chodziło, nie wiedziałem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że decydowano teraz o mojej przyszłości i że za chwilę dowiem się, co mnie czeka.

– W tej sytuacji – rzekł Bielinek – poprosimy towarzysza Kompostowskiego o przekazanie koledze Sierpskiemu naszych decyzji.

Kompost odchrząknął, spojrział w sufit, potem westchnął i wreszcie rzekł:

– Kolego Sierpski, adeptcie socjalistycznej medycyny, obywatelu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. My, jako partyjno-społeczna Komisja nie chcemy wam szkodzić, nie chcemy was niszczyć. – Kompost modulował głos, pragnąc mu nadać ton człowieka bliskiego, oddanego i wsłuchującego się w głosy i potrzeby szeregowych pracowników jego placówki. – My chcemy wam pomóc. I dlatego wychodząc naprzeciw waszym potrzebom, które umacniałyby waszą niewzruszalną łączność z pacjentami i współczesną medycyną, postanowiliśmy, nie karząc, ale wychowując, dać wam zalecenie odbycia rocznego stażu na psychiatrii. Zalecenie ma charakter nakazu, który musicie wykonać.

– Muszę? – zapytałem, pragnąc zyskać na czasie i zebrać myśli. Decyzja Kompostowskiego była zaskakująca i wprowadziła mnie w stan prostracji. – Mówiliście tu przed chwilą – powiedziałem wreszcie – że wychodzicie mi naprzeciw, że wsłuchujecie się w potrzeby młodzieży, a wy mnie chcecie po prostu stąd wyprowadzić.

– Skąd? – zapytał ze zdumieniem Kompost. – Wyprowadzamy jedynie towarzyszy np. z pełnionych funkcji, jeśli naszą partię zawiedli. Wy żadnej funkcji nie pełnicie, ani w żadnej instancji nie pracujecie. Skąd zatem zamysł o wyprowadzaniu?

– Mam na myśli Warszawę – odparłem. – Dlaczego chcecie mnie usunąć z Warszawy?

– O! – wykrzyknął Kompost. – Co to, to nie. Nie wolno podejrzewać

ludzi uczciwych, oddanych partii i ludowi o tak niecne bezceństwa. Tak się nie godzi. Będziecie przez rok, powtarzam, pracować pod Warszawą, bo szpitale tej niepotrzebnej w socjalizmie specjalności mieszczą się pod Warszawą, a potem wróćcie do nas. Jasne?

– Czy pozostanę w mieszkaniu warszawskim? – zapytałem.

– Oczywiście, kolego Sierpski, że pozostaniecie i że nikt was stąd nie wymelduje. Skąd w ogóle przychodzą wam do głowy takie pomysły? Kto wam takich głupstw naopowiadał?

Nie chciałem „opowiadać” o Staszku, bo wywołałoby to zupełnie niepotrzebną awanturę, powiedziałem zatem:

– Dziękuję, to właśnie chciałem usłyszeć...

Kompost zatarł ręce, nie kryjąc zadowolenia. Tym razem przyłożył mi w sposób arcykoronkowy. Musiałem ulec.

– To by było na tyle – rzekł Kompost. – Może się pan, rzecz jasna, odwołać do Komisji Odwoławczej, ale – zawiesił głos i uśmiechnął się szeroko – ale – powtórzył – po co miałby pan to czynić? Czy po to, aby sprawa uzyskała rozgłos? Stworzyła nowe plotki? Znowu pana poniżyła? Lepiej, panie doktorze, znieść karę w pokorze. Pokora zawsze popłaca, dogmatyzm doprowadza do klęski.

– Pan to wie najlepiej – rzekłem i zaraz wstałem. – Dziękuję panu, dziękuję państwu. Do widzenia.

I wyszedłem nie czekając na słowa pożegnania.

* * *

Następnego dnia rano sekretarka wręczyła mi skierowanie do szpitala psychiatrycznego pod Warszawą i w ten sposób mój staż na oddziale

przodującego nerwizmu został zakończony.

Wprost z sekretariatu ruszyłem do Inki. Nadal nie traktowałem poważnie jej romansu z Busiem. Uważałem, że to chwilowy skok w bok, który minie w ciągu najbliższych kilku dni i Inka wróci do mnie.

Inki nie zastałem. Powiedziano mi, że jest na urlopie. W tej sytuacji udałem się do pani Uli. Ta zobaczywszy mnie, zarechotała.

– Witaj, Romeo! – wykrzyknęła. – Ptaszek uciekł, a ty wciąż wierzysz, że wróci. Dzieciuch jesteś, Sławeczku, prawdziwy dzieciuch.

– Dokąd pojechała?

– Oficjalnie do Sopotu.

– A naprawdę? Pani Ula westchnęła.

– A naprawdę za granicę. Busio wyjechał na staż do Szwajcarii i załatwił jej jakiś kurs socjologiczny w Bazylei. Wróci za trzy miesiące.

Pobladłem.

– Człowieku – rzekła pani Ula. – Zobaczysz ją na Boże Narodzenie. Wróci sama, bo jej Busio wyjdzie bokiem, trzy miesiące z jednym to dla niej góra możliwości. Wtedy szykuj fiuta i do ataku.

– A jeśli wróci z innym?

– I to możliwe, a nawet pewne. Wiesz, Sław, co ja myślę? Ja myślę, że przez te trzy miesiące to i tobie wywietrzeje. Już czas na zmianę. Żadna ci nie odpowiada?

– Żadna.

Pani Ula pokręciła głową.

– Wariat z ciebie, człowieku, prawdziwy wariat. A nie poszedłbyś ze mną pod prysznic? – zaproponowała. – Ot, tak, dla chwilowego odprężenia.

– Nie, dziękuję. Może innym razem.

Pożegnałem się z Ulą i wyruszyłem na miasto. Nie wiedziałem co z sobą robić; była to zła pora na składanie wizyt, wreszcie zdecydowałem, iż najlepiej będzie, jeśli odwiedzę Staszka. Może potrzebował pomocy.

Staszek odbywał staż na ginekologii. Kiedy do niego dotarłem, odpoczywał po zabiegu.

– Co z tobą? – zapytałem. – Co z ojcem i z mamą? Mieszkacie w barakach?

Staszek machnął ręką. Był osowiały, po twarzy błąkał mu się pełen sarkazmu uśmiech.

– Jesteśmy w Warszawie. Na Bielanych – rzekł. – Przeklęty ustrój – warknął nagle, potem ochłonął i opowiedział mi, co działo się po jego liście do Bieruta.

Chyba w trzy albo cztery dni później pojawił się w baraku wojskowy w randze kapitana i zabrał Staszka do Informacji. Tu przyjął go jakiś major.

– Tak wy pisali do Bieruta? – zapytał.

– Tak, pisałem.

– Co wam się nie podoba?

– Napisałem, co mi się nie podoba – odparł Staszek.

– Tak teraz podpiszcie, że wam się podoba – rzekł major i podsunął Staszekowi pismo, w którym władze miejskie zawiadamiały go, iż otrzymuje wraz z matką mieszkanie jednopokojowe na Bielanych.

– Wojsko przewiezie wam meble, tu jest dla was klucz. Zadowoleni, a?

– Wiesz – rzekł Staszek – ten sukinsyn patrzył na mnie tak, jak gdyby chciał mnie kopnąć...

– A co z ojcem? Miałeś pierwsze widzenie?

– Żadnego. Ojciec chyba nie żyje. Ale o tym nie wolno mówić. Naszą rozmowę przerwała pielęgniarka, która wezwała Staszka do krwawiącej pacjentki.

Staszek podziękował mi za wizytę i prosił żeby o nim nie zapominać.

Pomyślałem, że praca na oddziale zabiegowym dobrze mu zrobi: będzie stale zajęty i nie będzie pamiętał o doznanych okropnościach.

Wsiadłem do swej ify i wróciłem do śródmieścia. Czułem narastającą chandrę. Brakowało mi Inki i w żaden racjonalny sposób nie potrafiłem stłumić swej tęsknoty. Wszedłem do kina „Palladium”, gdzie obejrzałem radziecki film wojenny, potem zaszedłem do kawiarni, gdzie wypłem dwie lampki wina. Opuściłem kawiarnię po godzinie i zacząłem spacerować po mieście.

Kiedy się ściemniło, wsiadłem do mojego „wozu” i udałem się na teren Pigalaka. Klin klinem się wybija – pomyślałem i zacząłem kołować wśród znajomych uliczek, szukając jakiejś dziwki, przy której byłbym w stanie zapomnieć o Ince. Dziewczyn było sporo. Jak zwykle wśród stałych bywalczyń przewijały się niedoświadczone nowicjuszki, które z lękiem na twarzy próbowały się uśmiechać, były również dziewczyny przyjezdne.

W pewnym momencie zahamowałem tak ostro, iż omal nie wjechał na mnie duży „ził”, jadący za mną. Kierowca obrzucił mnie przekleństwami, ja zaś przyjąłem je z pokorą, albowiem słuszność była po jego stronie. Uniosłem rękę z rozcapierzonymi palcami na znak przeprosin, następnie skręciłem w kierunku chodnika i ustawiłem samochód na poboczu. Dostrzegłem Amę i chciałem z nią porozmawiać.

– Znowu jesteś? – zapytałem.

– To mój zawód – odparła. – Jedziemy?

– Jedziemy.

Wskoczyła do samochodu i ruszyliśmy w kierunku najbliższych gruzów. Wjechałem w pustą bramę pod zwisające belki i skręcony balkon. Tu Ama rozebrała się i zaczęliśmy się kochać.

– Nie bardzo ci idzie – powiedziała w pewnym momencie. – Znow coś nie tak?

Ubrałem się szybko, Ama zrobiła to samo.

– Moja dziewczyna mnie rzuciła – powiedziałem. – Tym razem to koniec.

Ama wzięła moją rękę i wsunęła sobie między uda.

– Lubię cię – powiedziała. – Szkoda, że nie umiem ci pomóc. Wiesz, on mnie tak trzymał godzinami, kiedy jeździliśmy po Polsce.

Nagle jej twarz stężała, oczy cofnęły się do tyłu, ręce zeszywniały. Zatrzymałem samochód.

– Co się stało? – zapytałem. – Źle się czujesz? Nachyliłem się nad jej twarzą, dotknąłem jej rąk i nóg i mocno zakląłem. Ama była chora: wystąpił stupor.

* * *

Dyrektor szpitala psychiatrycznego, gdzie udałem się następnego dnia, przypominał emerytowanego zapaśnika ciężkiej wagi. Był wysoki, zwalisty, miał potężny tors i szerokie dłonie. Na rozległej łysinie nosił tupecik, którego pasmo włosów sięgało „bocianiego gniazda”, czyli włosów, jakie pozostają łysym na bocznych i tylnych częściach czaszki. Kiedy znalazłem się przed jego obliczem, palił fajkę i raz po raz odbierał telefony na temat braku materiałów budowlanych dla któregoś z

oddziałów. Do mnie zwrócił się za pomocą plastycznych ruchów lewej ręki, którymi wskazał mi krzesło stojące przed biurkiem. Usiadłem, i słuchając, jak dyrektor grzmi na dział zaopatrzenia, zacząłem rozglądać się po gabinecie. Dyrektor miał zapewne zamiłowania historyczne, albowiem wisiały tu reprodukcje boga Asklepiosa, Hipokratesa, Pinela, Mesmera, Freuda i innych sław światowych. Tuż za nimi znajdował się poczet polskich psychiatrów z Mazurkiewiczem na czele.

Mój wzrok wędrował po twarzach nobliwych i zasłużonych wielkości, aby zatrzymać się przy oknie, które, choć zakratowane, pozwalało na pełny wgląd w to, co dzieje się na podwórzu.

A tu działy się rzeczy przedziwne. Pośrodku klombu stała młoda zgrabna blondynka z lekko zadartym nosem, rozebrana do naga, osłaniająca się jedynie pasiastym ręcznikiem z długimi frędzlami. Na ścieżce okalającej klomb stało kilkunastu pacjentów, którzy z niebywałym animuszem reagowali na każdy ruch dziewczyny. Kiedy odsłaniała swe wdzięki, zapadała cisza, gdy zaś zakrywała, rozlegały się wycia, gwizdy, przekleństwa, prośby i groźby. Spektakl przypominał nieco słynną scenę z amerykańskiego filmu, w którym Marilyn Monroe stoi na kracie wywietrznika kolejki podziemnej i każdy podmuch powietrza unosi na oczach wiwatujących widzów jej sukienkę do góry.

– Kapitalne – usłyszałem głos dyrektora, który w międzyczasie zakończył rozmowę. – Powitali pana bezbłędnie. Stripteasem na klombie w wykonaniu pięknej Izy. Tego jeszcze nie było!

Wstał, otworzył okno i zawołał do pielęgniarzy:

– Na co, wy osły dardanejskie, tu czekacie? Usuńcie Izę z klombu. Tylko ostrożnie! Bez niszczenia kwiatów!

Tymczasem Iza, zobaczywszy pielęgniarzy, rzuciła się do ucieczki. Pielęgniarze ruszyli za nią, tłum ciekawskich nie odstąpił ich ani na chwilę.

– Za chwilę będzie spokój – rzekł dyrektor, następnie zapytał, co mnie tu sprowadza. W odpowiedzi podałem mu skierowanie. Dyrektor rzucił okiem na pismo i zawołał:

– Kolego, wiem o wszystkim. Nie musi pan się tu spowiadać, wszyscy wiemy, kim jest Kompostowski. Wątpię, czy pan na psychiatrii zostanie, ale rok u czubków na pewno dobrze panu zrobi. – Spojrzał na zegarek. – Szlag by trafił! Miałem być u towarzysza Drubelnego. Nie wybaczy mi, że się spóźniam! – skoczył do drzwi, otworzył je gwałtownie i zawołał: – Pani Jasiu, dlaczego mi pani nic nie: mówi? Drubelny już mi złorzeczy od najgorszych.

– Ależ panie dyrektorze – odparła spokojnie sekretarka – samochód czeka na pana od kwadransa. – Czy pański gość – zapytała, wskazując na mnie – musi na pana czekać?

– Ach! – dyrektor znów chwycił się za głowę – byłbym, o panu zapomniał. Przepraszam, najmocniej przepraszam! Chodźmy! – zawołał. – Pokażę panu, gdzie musi pan pójść.

Wyprowadził mnie na dziedziniec i wskazał ręką rząd budynków okolony szpalerami drzew i krzewów.

– Musi pan znaleźć jedynekę, a w niej doktora Jaśkiewicza i – zawołał. – On już o panu wszystko wie. Cześć!

Dyrektor pognał do samochodu, ja zaś udałem się we wskazanym przez niego kierunku. Szedłem aleją rozłożystych, starych lip, potem szpalerem wyrosniętych tui. Budynki, rysujące się spoza zielonego parawanu okazały

się starymi ruderami, z odpadniętymi balkonami, brudnymi zaciekami na ścianach po szrapnelach z ostatniej wojny. Jedyńka, tak samo zniszczona, z nadwątłonym dachem, znajdowała się w obrębie parku. Pomyślałem, że w miesiącach letnich i wiosennych można tu wytrzymać, ale zima i jesień jeszcze dokładniej uwypuklą brzydotę pomieszczeń.

Przebiegłem główną aleję i wszedłem na teren wyznaczonego mi oddziału. Wnętrze robiło przygnębiające wrażenie. Korytarze wyłożone były posadzką, której poszczególne płyty były bądź popękane, bądź powyrywane. Po ścianach pełzał grzyb, na zaciekach zieleniały pasma pleśni, do nozdrzy wdzierał się duszny, obrzydliwy zapach moczu i stęchlizny. Pod ścianami znajdowały się ułożone szeregami do sufitu śmierdzące sienniki, które, jak się potem dowiedziałem, Wyciągano wieczorem. Chorzy kładli się na nich pokotem. Minąłem ów osobliwy szpaler i znalazłem się przed okratowanymi drzwiami bez klamek. Poza nimi kłębił się tłum rozczochranych kobiet w identycznych, sinego koloru koszulach. Ich okrycia były zaskorupiałe od brudu, poplamione krwią, wymiocinami i kałem.

Zobaczywszy mnie, zaczęły się śmiać, wymachiwać rękami, pluć i złorzeczyć. Jedna zadarła spódnicę i wypięła na mnie pośladki, druga zaczęła wykonywać nieprzyzwoite ruchy biodrami. Nagle utworzyły szpaler, na końcu którego ukazała się, znana mi z występów przed gabinetem dyrektora, Iza. Szła ku mnie uśmiechając się i zrzucając powoli części garderoby. Był to kolejny striptease, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Niestety, spektakl nie dotrwał do końca, albowiem w drzwiach pojawił się barczysty, przystojny mężczyzna, przypominający swym wyglądem znanego amerykańskiego aktora Cary Granta. Na jego widok

pacjentki uciekły w róg sali. Mężczyzna, nie zwracając na nie uwagi, podszedł do szklanych drzwi, otworzył je wyciągniętą z kieszeni klamką i zaprosił mnie uprzejmym gestem do wnętrza.

– F’an doktor Sierpski? Miło mi. Jestem Jaśkiewicz. Zapraszam do mojego gabinetu. Chodźmy.

Gabinet był niewielki, za to przytulny i nastrajający do zwierzeń. Doktor Jaśkiewicz poczęstował mnie herbatą i ciasteczkami, po czym rzekł:

– Znamy pana sprawę. Wiemy o wyroku KaKaZetu. Nerwizm jest świętością, nie wolno go ruszyć ani na milimetr. Komposta również, chociaż chodzą słuchy, iż nie jest lekarzem, tylko wojennym wraczem, czyli felczerem. Jeśli naszego starego nie usuną – monologował Jaśkiewicz, spacerując po gabinecie – będzie tu spokój, jeśli go wyleją, będzie ten sam cyrk, co u Komposta. Cóż, żyjemy w strasznych czasach. – Nagle zamilkł, jak gdyby zreflektowany świadomością, iż mnie nie zna. – Myślę, rzecz jasna, o warunkach pracy w tym szpitalu – dodał szybko, po czym obrzucił mnie pełnym uwagi spojrzeniem. – Nie bój się – powiedziałem w myśli. – Będziemy przyjaciółmi. Synowi „Skiby” na pewno zaufasz i będziesz się zwierzał tak, jak tego pragniesz. – Tymczasem doktor Jaśkiewicz spojrział na zegarek i rzekł: – Chodźmy na oddział. Zobaczy pan chore.

Oddział dzielił się na dwie części. W pierwszej, do której wchodziło się wprost z korytarza, znajdowały się chore kończące kurację, czekające na wypisanie. W następnej, za drzwiami bez klamek, kobiety z ostrymi zaburzeniami psychicznymi.

Minęliśmy pierwszą salę dość szybko. Ordynator przedstawiał mi

pacjentki, pytał je o zdrowie, dawał wskazówki, życzył braku kłopotów oraz dobrego samopoczucia. Wszystkim przypominał o lekach. Przed drzwiami do sali „ostrych” powiedział:

– Niech się pan nie boi. Żadna pana nie dotknie i żadna nie dokuczy. Czasem któraś wpada w szal i wtedy trzeba mieć się na baczności.

Pomyślałem, że takie rady daje się naiwnym dzieciom, następnie zapytałem, dlaczego idzie w otoczeniu pielęgniarek? Czyżby bał się jakichś złych fluidów?

W odpowiedzi ordynator roześmiał się i powiedział, że nie ma żadnych złych fluidów, bywają tylko pobudzone kobiety.

Weszliśmy. Kilka kobiet stało przy łóżkach, inne leżały, trzy przechadzały się wokół stołu. Większość nie zwracała na nas uwagi. Wreszcie jedna z młodszych pacjentek zawołała: „Cześć chłopcy”, kilka się roześmiało, jakaś półrozebrana zawołała: – „Patrzcie, jaka jestem piękna”, inna, przytulona do niewidzialnego partnera, zaczęła wokół nas tańczyć. Tymczasem ordynator szedł wzdłuż łóżek, pytając każdą pacjentkę, jak się czuje, czy ma apetyt i jak sypia. W większości wypadków nie uzyskiwał żadnej odpowiedzi, niektóre odpowiadały przekleństwami, inne śmiały się do siebie i coś pod nosem mówiły. Ordynator obszedł salę i zawrócił, cały orszak za nim. Po obchodzie rzekł do mnie:

– Dam panu teraz dwie pacjentki do zbadania. Proszę to badanie potraktować jako próbę i nie zrażać się niepowodzeniem. Potem zbadamy je razem.

Pierwsza pacjentka przypominała słynną aktorkę Danielle Darrieux. Miała te same „niebieskie” oczy, taki sam nos i sposób uczesania.

Poprosiłem, aby usiadła, a kiedy to uczyniła, zapytałem: – „Jak się pani czuje?” Odpowiedziało mi milczenie. Powtórzyłem pytanie i znów ujrzałem jej jasne, szerokie, jak gdyby lekko zdziwione oczy, z których wyrazu nic nie wynikało: ani żal, ani niepokój, ani zdziwienie, nie było nawet pretensji! Zapytałem po raz trzeci: – „Jak się pani czuje?” Odpowiedź brzmiała: – „Oni!” – „Jacy oni? – zapytałem. – Oni, to oni – usłyszałem pełną zniecierpliwienia odpowiedź. – Gdyby nie oni, to byłiby oni, to byłoby tak, to byłoby tak, to oni, to oni, to oni, oni!”

– Wyczuwałem w jej odpowiedzi pewien rytm, który mógłby sugerować, że pacjentka bawiła się swoim głosem.

– Jacy oni? – zapytałem. – Kogo pani ma na myśli? O kim pani mówi?

– O nich – odparła, jak gdyby dotknięta nagłym olśnieniem pacjentka. – O tych, co mnie ścigają. I chcą mnie zamordować.

– Następnie zaczęła mi opowiadać, w jaki sposób rozszyfrowała ich zapędy, jak przemyślnie musiała ich unikać, a mimo to dopadli ją za pomocą radia i telefonów, kiedy zaś usiłowała im umknąć, wyciągnęli ku niej ręce ze ścian, mówiąc: – Nie próbuj zbiec i tak cię dopadniemy!

– Czy te ręce panią chwyciły? – zapytałem, ale tym razem odpowiedzi nie było. Pacjentka zamilkła. Po chwili uśmiechnęła się znacząco i rzekła: – Oni też tu są.

– Nie ma ich tu – odparłem. – Nie ma tu nikogo, poza nami. Domyślny uśmiech nie zniknął z twarzy pacjentki.

– Oni mają radar i lasery. Odciągają mózg z czaszki. Nic potem nie zostaje. Tak jak teraz.

– Gdyby tak było – stwierdziłem spokojnie – nie mogłaby pani ze mną rozmawiać, a przecież jest inaczej. – Pacjentka nie zwracała uwagi na

moje argumenty. Spokojny, jak gdyby przekorny uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

– Czy w tej chwili również odciągają pani mózg? – zapytałem.

– Oczywiście – odrzekła kobieta, potem zawołała: – Odejdź! Odejdź! Nie ruszaj mnie! Nie dotykaj!

– Chwileczkę – zawołałem. – Ani pani nie ruszam, ani nie dotykam. Chcę panią zbadać. Dojść do porozumienia.

W chwilę później zorientowałem się, że pacjentka rozmawia nie ze mną, ale prowadzi dialog z głosem, który słyszy bez przerwy.

– Dziękuję – powiedziałem. – Może pani odejść.

Druga pacjentka miała nalaną twarz, tłuste włosy i przepoconą bieliznę. Mówiła bez przerwy, nie musiałem o nic pytać. Przychodzą, wysysają rdzeń pacierzowy, niszczą, nie pozwalają żyć. Kiedy podpowiadałem, że jednak żyje, uśmiechała się w taki sposób, jak jej poprzedniczka. Ona przecież wie, o co tutaj chodzi, zdaje sobie doskonale sprawę, że ja również jestem wplątany w ten przeklęty, okrutny system, którego ona, pacjentka, jest ofiarą. Powtarzałem uporczywie: – „Proszę pani, przecież pani żyje. Gdzie są ci, którzy panią niszczą? Gdzie ich pani widzi?” – Twarz pacjentki ulega ledwie dostrzegalnej zmianie. Ta zmiana trwa krótko, może sekundę, a może krócej. Jest to wyraz lęku, a potem rozdrażnienia. Ona wie, że ja muszę tak mówić, wie, że ja jestem jednym z tych, którzy chcą jej nieszczęścia. Dlatego mi nie wierzy, ba, uważa za wroga. A ponieważ nie może nic mi zrobić, podobnie jak i tamtym, woli milczeć i uważać. Musi być czujna. Jej świat jest zagrożony, wszyscy, którzy ją otaczają, chcą ją koniecznie pognać i znęcając się nad nią, dobić. Mówiąc to uśmiechała się bez sensu, drapała po głowie i po

plecach, potem odsłoniła uda i rzekła, że i tam jej wszystko wycinają. – Teraz? – Teraz. Tak. Zębatym nożem albo piłą, a zaraz chwycą za gardło, przyssawkami opróżnią czaszkę i wyskrobia rdzeń. Wstałem.

– Dziękuję – powiedziałem. – Może pani odejść.

Koszmar – pomyślałem – praca w tym szpitalu może doprowadzić do obłądu. – W tym miejscu jakiś głos wewnętrzny podpowiedział mi: – I do pozostania w tym szpitalu na zawsze. I czy nie jest prawdą potoczne powiedzenie, iż nie ma różnicy pomiędzy psychiatrą a chorym, a jeśli jest, to polega jedynie na różnicy ubrania lub miejsca zamieszkania? Pomyślałem, że Kompost wiedział, co robi. Skazał mnie na rok autentycznego piekła.

Ocknąłem się przed drzwiami gabinetu ordynatora. Zapukałem, wszedłem i powiedziałem:

– Panie doktorze, to straszne!

Ordynator uśmiechnął się, zaparzył herbatę, potem wyciągnął spoza książek butelkę Martella. Wręczył mi kieliszek, napenił aromatycznym płynem i rzekł:

– Za przyszłość. Oby była lepsza.

– Pan w to wierzy?

– Powiedziałem: oby była. A czy będzie? Zobaczymy. Pamięta pan powiedzenie z czasów okupacyjnych: „Im słończko wyżej, tym Sikorski bliżej”? Teraz co prawda za pasem zima, ale i wiosna niezadługo. A ja wierzę, że wiosną coś się stanie i coś się zmieni. Musi się stać – dodał – bo ludzie nie wytrzymają. – Westchnął, nalał drugi kieliszek i zagadnął: – A wracając do chorych, co pan rozpoznał?

Trzymałem kieliszek przy nozdrzach i wdychałem zapach koniaku. Był

kojący, uspakajał i otrzeźwiał jednocześnie.

– Powiem szczerze – odrzekłem – brak kontaktu i urojenia. Tyle pamiętam z ćwiczeń. Nic więcej powiedzieć nie mogę.

Ordynator uśmiechnął się z sarkazmem.

– To niewiele. Ciekawe – rzekł w zamyśleniu – co będzie dalej. Psychiatrii ma nie być, bo chorzy nie pasują do ustroju, a kiedy mówimy, że jest ich coraz więcej, wzruszają ramionami albo grożą konsekwencjami. Kto jej będzie w przyszłości uczył? Ale wróćmy do chorych. Ma pan rację. Brak kontaktu i urojenia. Autyzm, zaburzenia toku i treści myślenia. Schizofrenia. – Spojrzał nagle na zegarek. – Idę teraz na naradę, a panu proponuję zapoznanie się z następującymi oddziałami: niedorozwojów, gerontologicznym, psychopatów i nerwic. Kolejno. Potem pogadamy. Zgoda?

– Zgoda.

– Zatem do dzieła. Spotkamy się o czternastej. Cześć.

– Cześć.

* * *

Oddział głębokich niedorozwojów napawał mnie niechęcią i odrazą, nigdy jednak nie dałem poznać swych uczuć. Przeciwnie, odwiedzałem ten oddział częściej niż inne. Było w nim coś co mnie przyciągało. Co, tego nie potrafiłem ani wyjaśnić, ani zrozumieć. Wchodziło się na oddział po zmurszałych schodach, czuło się obecność grzyba, wszędzie unosił się zapach stęchlizny, przemieszany z wonią moczu i siana oraz nigdy nie mytych gumowych podkładów.

Kiedy znalazłem się tu po raz pierwszy ogarnęło mnie przerażenie. W

łózkach leżeli pacjenci, jakich nigdy przedtem nie widziałem: małe, poskręcane twory z ogromnymi głowami, ślepe, nieme, oddające pod siebie mocz i kał, z zaczerwienioną, odrapaną lub ropiejącą skórą, obrzęknięte, bezzębne, wykrzywające usta w jakimś przerażającym uśmiechu lub grymasie, bełkocące, wydzielające kwaśną, zatechłą woń rozkładającego się ciała.

Cofnąłem się odruchowo i wówczas usłyszałem głos pielęgniarki:

– Ja tu pracuję dwadzieścia lat...

Wypowiedziała to jak gdyby do siebie, a jednocześnie pod adresem moich rozterek i niepokojów. Jej głos przywołał mnie do porządku. Ruszyłem wzdłuż szpaleru łóżek, zapoznając się kolejno z każdym przypadkiem, oglądając sposoby karmienia, podawania leków, nawiązywania kontaktu. Większość tych tworów karmiona była sztucznie, stąd oddział naszpikowany był kroplówkami. Między łózkami biegało kilku debilów w porozrywanych koszulach, w łazience salowa myła dzieci poruszające się o własnych siłach. Na korytarzu pielęgniarka wprowadzała kroplówkę jakiemuś idiocie bez kontaktu, trzydziestolatkowi tak skurczonemu, że wyglądał jak trzynasto, może czternastoletnie dziecko.

Podszedłem, przedstawiłem się, pielęgniarka zapytała, po co tu przyszedłem, czy kogoś szukam, odparłem, że nie, nikogo nie szukam, że jest to mój rekonesans poznawczy po szpitalu, po czym zapytałem o rodziców pensjonariuszy wizytowanego oddziału. Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Rodzice? Milicji na nich trzeba! Nawet jak toto umiera, nie ma komu zapłacić za pogrzeb!

Powtórzyłem w myśli ostatnie zdanie: „ – nawet jak toto umiera, nie ma

komu zapłacić za pogrzeb”... Wypowiedź była brutalna, ale w pełni uzasadniona. Pacjenci leżący na oddziale nie byli dziećmi. Nie byli również dorosłymi, chociaż ich wiek przekraczał niejednokrotnie trzydziestkę. Jeśli się pacjentów nie znało, trudno było odróżnić, kto ma lat osiem, a kto osiemnaście. Wielkość ta sama, identycznie skurczone nogi i ręce, twarz obrzęknięta i nieruchoma, zepsute zęby, skóra z odleżynami i brak kontaktu z otoczeniem.

Wyszedłem oblany potem, powtarzając sobie bez ustanku, że zawód psychiatry to taki zawód, w którym ten wytrzyma, kto ma nerwy jak postronki.

Następnego dnia wyruszyliśmy na oddział staruszek. Na korytarzu dołączyły do nas pielęgniarki: oddziałowa i trzy odcinkowe. Ordynator przedstawił mi je kolejno, mówiąc o nich: „moje dziewczyny”, mnie rekomendując jako „obiecującego acz przymusowego adepta psychiatrii”, co spowodowało, że tego samego dnia cały szpital wiedział, że jestem tu skierowany „karnie”.

Siwowłose i pomarszczone niby purchawki staruszki leżały w bezruchu, jak gdyby przywiązane do łóżek niewidzialnymi więzami. Ordynator podchodził do każdej, zagadywał, pytał o zdrowie i nie czekając na odpowiedź, szedł dalej. Przez dłuższy moment zatrzymał się przy staruszce, która przed chwilą spożyła śniadanie.

– Dzień dobry, pani Mario – powiedział. – Jak się pani czuje?

– Oj, niedobrze, panie doktorze – odpowiedziała. – Niedobrze!

– Dlaczego niedobrze? – zapytał ordynator.

– Głodzą, męczą, jeść nie dają – usłyszałem monotonną, płacziwą wypowiedź. – Na pewno mnie zagłodzą...

– A śniadanie pani jadła?

– Gdzieżby! Jakie śniadanie? Żadnego śniadania nie dostałam! Mnie tu głodzą! Głodzą! – I zaczęła zawodzić i pochlipywać. Ordynator pokiwał głową, ruszyliśmy dalej. Większość pacjentek odpowiadała niemal identycznie, jak pani Maria.

Jedna z pacjentek, z niedowładami rąk i nóg, zapytała nagle, kiedy wreszcie przyjedzie jej córka i czy ordynator ją zawiadomił, że jej matka jest tu, u czubków.

Ordynator odpowiedział, że córka wyjechała za granicę i że przed wyjazdem zapewniła go solennie, że będzie do matki pisać. Staruszka podziękowała, ułożyła głowę na poduszce i z wyrazem błogiego spokoju na twarzy, zasnęła.

Wyszliśmy na korytarz. Ordynator rzekł:

– Skłamałem. Muszę kłamać. Córka nigdy do niej nie przyjedzie i nic nie napisze. Żyje w Warszawie, ale stan jej matki doprowadzają do hysterii. Nie chce tu przyjeżdżać...

Potem zlecił mi zbadanie jednej ze staruszek.

Zacząłem stereotypowo od pytania, co jej dolega, ale odpowiedzi nie otrzymałem. Pacjentka spoglądała na mnie nieruchomo, bez wyrazu, po jej pooranej bruzdami twarzy snuł się lekki, ledwie dostrzegalny uśmiech. Poleciałem pielęgniarce, aby rozebrała pacjentkę do połowy i przystąpiłem do badania wstępnego. Uniosłem jej pierś, aby wysłuchać serce, przyłożyłem fonendoskop i nagle poczułem odrażający, ostry zapach stęchlizny, potu i zmacerowanej skóry. Pod piersiami pacjentki znajdowały się zastarzałe ropiejące rany, których nikt nie leczył. Pokazałem je wymownym gestem pielęgniarce, ale ta wzruszyła ramionami.

– Kiedy mam to zrobić? – zapytała. – Mam tu nocować? Ruszyliśmy ku następnej, która akurat załatwiła się pod siebie.

Smród z jej łóżka łączył się z podobnym z innych łóżek. Tam czekały na zmianę bielizny pacjentki, które załatwiały się w podobny sposób od paru dni.

* * *

Wiedziałem, że pacjent ekshibicjonista mnie odnajdzie i tak się stało. Był chudy, wynędzniały, miał zapadnięte głęboko oczy.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł. – Ja musiałem zobaczyć się z panem. Pan jeden może mi pomóc i w pana jedynie wierzę.

– Kto panu powiedział, że ja tu pracuję?

– Pani Ula.

– Wścibskie babsko – pomyślałem. – Plotkara, jak się patrzy. Wszystko wygada, wypaple, niczego przed nią ukryć nie można. Ciekawe – zastanowiłem się przez moment, czy powiedziała mu również o Ince. I jeśli tak, to co zawierały jej informacje.

– To porządna kobieta – rzekł pacjent. – Lubi pana i ceni i gdyby mogła, to by panu nieba przychyliła.

– Siadaj pan – rzekłem i podałem mu herbatę. Pacjent podziękował i wypił szklankę duszkiem.

– Nie piłem nic od wczoraj – rzekł. – Pan ją wspaniale przyrządza.

– Napije się pan jeszcze? – Zagadnałem.

– Z największą przyjemnością – odrzekł pacjent. – I stokrotnie dziękuję.

– Ludwik – odparł – Ludwik Zen. Podać inne szczegóły?

– Wystarczy – odparłem. – A teraz panie Ludwiku, proszę mówić.
Zamieniam się w słuch.

Pacjent stężał na moment.

– Trudno jest zacząć – rzekł. – Chociaż wszystko wisi mi na języku.
Więc tak. To było tak – poprawił się szybko i znów popadł w zamyślenie.

– Jeśli pan jest zmęczony – powiedziałem – możemy rozmowę przełożyć.

– Nie, dziękuję – zaprzeczył Ludwik. – Wolę się wypowiedzieć od razu, za jednym zamachem.

– W porządku – odrzekłem. – Kontynuujmy. Pacjent wyciągnął zeszyt, chwilę czytał, potem zapytał:

– Czy pan pamięta na czym stanęliśmy?

– Pamiętam.

– To dobrze. A więc odtąd odczuwałem jakiś nieprzeparty pociąg do obnażania się.

– Z masturbacją? – zapytałem.

– Tak – potwierdził pacjent. – Gdyby spotkanie z tamtą dziewczyną trwało dłużej, zapewne byłbym grzech Onana popełnił. – Pacjent popadł w krótkie zamyślenie. – Wie pan – rzekł z nagłym ożywieniem – od momentu spotkania z sobowtórem Ewy, szukałem jej godzinami w parku.

– Godzinami?

– Godzinami – potwierdził pacjent – codziennie.

– I nie chodził pan do pracy?

– Nie.

– I nikt pańskiej nieobecności nie zauważył?

– Początkowo nikt. Zawsze wracałem o odpowiedniej porze. Potem

przerzuciłem się do zaopatrzenia. Po miesiącu chcieli mnie wylać, ale zachorowałem.

– Co panu dolegało?

– Złamałem palec u ręki.

– Przypadkowo?

– Niezupełnie – odparł szczerze pacjent – ale przez dwa miesiące mogłem działać w spokoju.

– A w domu?

– Tu nikt zmian nie zauważył.

– Powróćmy do sobowtóra Ewy – zaproponowałem. – Czy pan ją jeszcze spotkał?

– Tak. Przypadkiem.

– Gdzie?

– W Domach „Centrum”. Udałem, że jej nie poznaję, następnie ruszyłem szybko w kierunku schodów, ale ona podeszła do mnie i rzekła: – „Proszę się nie bać. Nic panu nie zrobię.” – „Ale ja pani nie znam” – powiedziałem, usiłując nadać tonacji swego głosu pewność siebie. „ – Zna mnie pan – uśmiechnęła się dziewczyna. – Widzieliśmy się w parku. – W jakim parku? – zawołałem z oburzeniem. – To jakaś pomyłka! – Żadna pomyłka – wzruszyła ramionami dziewczyna.

– Mieszkam obok parku i widzę tam pana bardzo często. Chodzi pan, siada, wstaje, na kogoś oczekuje. – Po tych słowach przestałem bluffować. – Oczekuję na panią – powiedziałem. – Codziennie oczekuję na panią. – Po co? – zapytała dziewczyna. – Żeby się obnażyć? – Tak – potwierdziłem. – Dlaczego pan to robi? – zapytała, a wtedy w moich oczach pojawiły się łzy. – W porządku – powiedziała dziewczyna. –

Koniec z pytaniami – po czym dodała. – Będę jutro o dziewiątej w tym samym miejscu. Do widzenia. „ – Mężczyzna przerwał na dłuższy moment, westchnął i przyłożył do oczu chusteczkę.

– Poszedł pan? – zapytałem.

– Tak – odparł bezbarwnie pacjent. Był zgaszony, gdyby nie moja obecność łkałby, jak bezbronne dziecko.

– Była? – zapytałem.

– Była. Usiadła na ławce, ja naprzeciw niej – mężczyzna wyraźnie ożywił się. Robił takie wrażenie, jak gdyby przeżywał omawiane spotkanie jeszcze raz. – I znów znalazłem się w tym swoim świecie „jasnych aniołów” i chociaż chciałem, żeby seans trwał jak najdłużej, to przecież skończył się szybko. Dziewczyna wstała i rzekła: – „Szkoda, że jest pan zboczony. – Po czym zapytała: – Czy nie próbował pan się leczyć? – Leczyć? – powtórzyłem ze zdziwieniem. Prawdę mówiąc taka myśl nie przyszła mi do głowy. Jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z grożącego mi niebezpieczeństwa. – Nie – odparłem. – Nie próbowałem. – Szkoda – powtórzyła dziewczyna i ruszyła w kierunku głównej alejki. Pobiegnę za nią, ale ona rzekła ostro: – Niech pan odejdzie. Jeszcze raz tu pana zobaczę, to wezwę milicję. – Proszę pani – pytałem zdezorientowany. – A to, co tu było, co tu się stało... ? Dziewczyna pokazała mi palcem na czoło. – To. co było, już się nigdy nie powtórzy. I jeśli nie chce pan popsuć wspomnień, niech się pan nie pokazuje. Żegnaj pana. – W oczach pacjenta pokazały się łzy. – Dopiero teraz dotarła do mnie świadomość klęski. Pomyślałem, że chyba najlepiej będzie jeśli popełnię samobójstwo. Zbierałem w tym celu tabletki uspokajające, przymierzałem się do skoku do Wisły, rzucenia pod tramwaj lub samochód, odkręcenia gazu. Na

próżno. Stchórzyłem. Zabrakło mi odwagi. „

Pacjent zamilkł na dłuższy moment.

– Co dalej? – zapytałem.

– Poszedłem do psychiatrii.

– O! – wyraziłem zdziwienie. – A jednak! Pomógł panu?

– Myślę, że chciał – rzekł chory. – Ale nie miał czasu. Był tłum pacjentów, karetki przywoziły pijaków i samobójców, ów psychiatra przyjął mnie poza limitem, zapisał tabletki uspokajające i polecił zgłosić się za tydzień.

– Był pan?

– Nie.

– Dlaczego?

– Tabletki pomagały. Fakt. Ale jednocześnie osłabiały popęd, co bardzo mnie deprymowało. A poza tym... wstydziłem się chodzić do takiej poradni. Wkrótce by mnie zauważono...

– Z pańskich słów wynika, że zawiesił pan leczenie...

– No – westchnął pacjent – niezupełnie. Kiedy czułem nieprzeparłą chęć „wyjścia”, zażywałem tabletkę.

– Pomagała?

– Czasem pomagała, czasem nie. Zresztą... – pacjent machnął ręką – czasem potrzeba wyjścia była tak silna, że świadomie tabletek nie brałem, w końcu wyrzuciłem wszystkie do śmietnika. Taki był koniec leczenia.

Koniec leczenia – powtórzyłem w myśli. – Kolejny dowód, że farmakologia zawodzi i że trzeba szukać innych dróg pomocy.

– Napije się pan herbaty? – zapytałem, a następnie zaproponowałem krótką przerwę. Pacjent chętnie przystał na moją propozycję, wobec tego

udałem się do sąsiedniego pokoju i stanąwszy przy oknie pograżyłem się w myślach. – Co robić? – zadawałem sobie nie wiadomo po raz który z rzędu to samo pytanie. Dramat tych ludzi nikogo nie obchodził, obowiązująca ideologia uważała tych chorych, podobnie jak i chorych psychicznie za bękartów ustroju kapitalistycznego, za brudne, zaropiałe strupy na młodym, zdrowym ciele nowego, socjalistycznego człowieka.

– Jakież problemy? – usłyszałem nagle głos ordynatora. Odwróciłem się. Wszedł bezszelestnie na swych gumowych butach.

– Spójrz pan – rzekł – pierwszy śnieg. To właściwie nie śnieg, a płatki śniegu. Zaraz się roztopią i wszyscy o nich zapomną, ale to dowód, że święta tuż-tuż. Napije się pan? – sięgnął do schowka, z którego swojego czasu dyrektor wyciągnął koniak. – To dobrze robi na dwie rzeczy: na smutki i na robaka:

– Mam pacjenta – powiedziałem. – Ekshibicjonista. Leki zawiodły.

– Leki zawsze zawodzą – rzekł ordynator, smakując Martella.

– To najtrudniejszy rodzaj chorób. – Ordynator schował kieliszek i butelkę. – Nie ma na nich sposobu. Luminal i hormony. Jeśli one wyłączą seks, będzie po problemie. – Ordynator włączył radio. Z głośnika popłynął jadowity głos Wandy Odolskiej; mówiła o Bierucie:

– „Ojcowskie serce prezydenta, ciepły, do głębi prosty i człowieczy stosunek do ludzi”. A teraz – rzekł spiker – usłyszemy poemat na cześć towarzysza Bieruta pióra oddanego partii i socjalizmowi polskiego pisarza, który i dziś, i za pół wieku będzie zbierał laury za swą postawę i autorytet moralny. W tym miejscu spiker pragnął powiedzieć „towarzysza” i wymienić nazwisko owego autorytetu moralnego, ale nim zdołał to uczynić, ordynator chwycił szklankę i cisnął w radioodbiornik. Szklanka

trafiła w obrzeże aparatu i rozprysnęła się na kawałki. Skoczyłem do biurka i wyłączyłem radio. Ordynator wybiegł na korytarz. Sądzę, że nie chciał, abym słyszał, jakich używa przekleństw.

Wróciłem do Ludwika.

– Wszystko słyszałem – odrzekł Ludwik. – To znaczy nic nie słyszałem. Pomoże mi pan?

– Zrobię, co będę mógł – odparłem i zaraz dodałem: – Powiem panu szczerze, nie znam się na leczeniu zboczeń. Nie mam w tej materii żadnego doświadczenia. Wątpię, czy mają je tutejsi lekarze. Ale obiecuję, że dołożę wszelkich starań, aby panu pomóc.

Pacjent sięgnął po portfel.

– Pomoc za pomoc – rzekł. – Nie chcę niczego za darmo.

– A ja nie chcę pańskich pieniędzy – odrzekłem – ani prezentów. Niczego takiego od pana nie przyjmę.

Pacjent uśmiechnął się szeroko.

– Są różne rodzaje prezentów – powiedział. – Czasem ważniejsza od pieniędzy jest przysługa.

Drgnąłem.

– Co pan ma na myśli?

– Przyjaźnię się od lat z panią Ulą. Znam również Inkę.

„A więc i ten wiedział wszystko – pomyślałem. – Zboczeniec, psychopata, facet bez skrupułów – westchnąłem. – Przeklęty szpital, przeklęta przychodnia. Nic się w obu nie ukryje, nic nie schowa. „

– Co pan wie o Ince? – zapytałem wprost.

– To samo, co Ula – odparł pacjent. Spojrzałem na Ludwika z uwagą. Czyżby i on spał z Inką? – Pacjent, jak gdyby wyczuwając moje

wątpliwości, rzekł: – Nie spałem z Inką. Ona nie jest w moim typie. Za to obydwójce lubimy świntuszyć. Przepraszam – poprawił się szybko – mamy podobne upodobania.

Nie chciałem rozwijać tematu. Nie chciałem wykazywać swego ogromnego zainteresowania Inką. Tymczasem Ludwik rzekł:

– Widzi pan, ona jest w tej chwili z ginekologiem Busiem. Póki co, żona Busia jeszcze nie wie o romansie męża. Tak się jakoś dziwnie składa, że znam żonę Busia. To kobieta pobudliwa, nieobliczalna i chorobliwie zazdrosna o swego męża. Kilka lat temu Busio miał romans z jedną ze swych asystentek. Życzliwi zawiadomili ją o kolejnej wielkiej miłości męża. Ta złapała parasolkę, wsiadła w samochód, podjechała pod klinikę i wpadła jak burza do gabinetu męża. Przy biurku Busia stała, Bogu ducha winna stażystka. Busiowa lu ją w łeb, zaś Busio w krzyk: – To nie ta! Busiowa natychmiast wypadła na korytarz i tłukąc, co ładniejsze dziewczyny, pytała: – Czy to ty romansujesz z moim mężem? A może ty?”

– No więc jak – zagadnął nagle Ludwik. – Pomóc panu? Napisać?

– Co napisać? – odkrzyknąłem. – Co pan chce napisać?

– Chcę napisać anonimy – odparł spokojnie Ludwik – Busiowa je otrzyma i sprawę załatwi. Inka będzie wolna.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie ma o tym mowy. Nie zgadzam się. Nie wyrażam zgody!

Pacjent wzruszył lekko ramionami, ale nie oponował. Zachowywał się tak, jak gdyby sprawa anonimów była między nami ustalona.

Umówiliśmy się, że po ustaleniu przeze mnie programu leczenia natychmiast go zawezwę.

A tymczasem idea anonimów zakiełkowała w moim umyśle, jak ziarno

rzucone na czarnoziem. Nie znałem Busiowej, nie wiedziałem, czy interesuje się sprawami męża tak intensywnie, jak to wynikało z opowieści Ludwika, czy wiąże ich, jak w wielu rodzinach ginekologów, układ formalny związany z dziećmi, sprawami majątkowymi lub też im tylko znanymi powodami. Czy anonim miał zatem jakikolwiek sens? Doszedłem wreszcie do wniosku, że trzeba liczyć na jedną jedyną rzecz: poruszenie ambicji własnej i w ten sposób zmuszenie jej do akcji. I dlatego podjąłem decyzję wysłania listu do Busiowej. Decyzja decyzją, ale rodził się teraz najtrudniejszy problem: kogo poprosić, aby mi napisał listy. Listy, nie list, albowiem zdecydowałem, że zawiadomię zarówno męża Inki, jak i żonę Busia.

Zaprowadziłem notatnik, w którym zapisywałem nazwiska tych osób, do których mógłbym się zwrócić. Myślałem o kimś z rodziny, ale nikt z mojej trzódki do takiej roli nie pasował. Każdy zresztą wygadałby się natychmiast w tak zwanym zaufaniu innemu z bliskich i wkrótce śmiano by się ze mnie nie w kułak, ale całą gębą. Do takiej sytuacji dopuścić nie mogłem.

Myślałem o kolegach i przyjaciółach. I tu próbowałem sporządzić listę, ale nic z niej nie wyszło, bo jak się szybko okazało, przyjaciół, którym mógłbym powierzyć tej wagi tajemnicę, nie miałem. Nie miałem do nikogo pretensji, miałbym ich wielu, gdybym był inny. Robiąc rachunek sumienia muszę ten fakt samokrytycznie wypunktować. Kiedy więc szliśmy na wódkę, nie dopisywał mi humor, albowiem wiedziałem, że po libacji będzie mnie bolała głowa i paliła zgaga. Prywatki z moim udziałem były nieudane, bo jak mówiły dziewczyny, byłem za bardzo zasadniczy. Nie lubiłem zwierzeń, co powodowało, iż miałem opinię milczka.

Milczków zaś, jak wiadomo, nikt nie lubi. Chodziłem na koncerty, co moich kolegów śmieszyło, bo woleli piłkę nożną. Mnie zaś z kolei irytowały zapamiętałe gonitwy dobrze umięśnionych debilów po boisku, byłem więc sam i nikt nie był temu winien poza naturą, która mnie stworzyła i ukształtowała.

Dopomógł mi przypadek. Żeby jednak sprawa była dokładnie przedstawiona, muszę rozpocząć od... wstrząsów elektrycznych.

Wstrząsy elektryczne i insulinowe wraz ze środkami uspokajającymi stanowiły podstawę leczenia chorych psychicznie. Na temat nerwizmu wiele mówiono i pisano, ale tak naprawdę nikt go poważnie nie traktował, tak jak wrzasków na temat burżujów, obszarników, reakcjonistów i wszelkiego kapitalistyczno-imperialistycznego zła. Co innego wstrząsy. Te miały zarówno zagorzałych zwolenników, jak i zaciekłych wrogów. Wypowiadali się na ich temat nie tylko psychiatrzy oraz specjaliści innych dziedzin medycznych, ale publicyści, pisarze, tudzież intelektualiści.

– Widział pan wstrząsy na ćwiczeniach? – zapytał mnie pewnego dnia ordynator.

– Widziałem wstrząsy tylko raz – odparłem. I opowiedziałem, jak to nasz asystent przez dłuższy czas szamotał się ze schizofrenikiem, który kurczowo trzymał się ramy łóżka, lękając się doprowadzenia do sali wstrząsów. W ten sposób – podkreśliłem z naciskiem – zobaczyłem jak wyobcowany z rzeczywistością, żyjący w swym autystycznym świecie pacjent broni się przed cierpieniem.

Ordynator wzruszył lekko ramionami.

– Nie zna pan psychiatrii – rzekł. – Wstrząsy to wielkie dobrodziejstwo.

– Osobliwe to dobrodziejstwo – powiedziałem z sarkazmem – którego

pacjenci boją się jak ognia...

– Osobliwe to dobrodziejstwo – odparł spokojnie ordynator – polega na ożywieniu psychofizycznym, polepszeniu nastroju, ułatwieniu kontaktu. Czy to mało?

– A wyleczenie? – zapytałem powątpiewająco. – Co z wyleczeniem?

– A widział pan wyleczonego schizofrenika? – odpowiedział pytaniem ordynator.

– Nie widziałem.

– A wie pan dlaczego? – zapytał ordynator i zaraz wyjaśnił. – Bo nie znamy natury choroby, jej etiologii i przyczyn powstania.

– Więc po co ich męczyć? – zapytałem. – Czy nie szkoda ludzi?

– Szok ma na celu poprawę ich stanu – potwierdził swoją opinię ordynator. – A w psychiatrii nawet milimetr postępu ma kolosalne znaczenie. Sam pan zresztą zobaczy...

Zobaczyłem. Do gabinetu wstrząsowego wprowadzono pacjentkę, która powtarzała: – To ty, to ty, to nie ja, to ty, to nie ja, to ty. Uśmiechała się nieadekwatnie, nie do nas, ale do głosów, które ją nękały. Zobaczywszy aparat do wstrząsów zmieniła się nie do poznania. Jej twarz skurczyła się ze strachu, zaczęła krzyczeć: – Nie! Nigdy!

– a następnie rzuciła się do ucieczki. Dwie pielęgniarki chwyciły ją pod rękę, zaciągnęły na łóżko, związały pasami, jedna z siostr włożyła jej do ust szpatułkę owiniętą bandażem, druga przyłożyła elektrody do skroni, ordynator nacisnął włącznik i w tym samym momencie twarz pacjentki wykrzywiła się tak, jak gdyby ją ktoś szarpnął, smagnął batem, ciałem wstrząsnęły drgawki, pielęgniarki trzymały ją ile sił, wreszcie jej ciało stało się bezwładne, głowa zsunęła się na poduszkę i pielęgniarki odwiozły

chorą do specjalnego pokoju, w którym bez przerwy urzędowała siostra dyżurna doglądająca chore po zabiegu.

Po chwili siostry przywiozły następną przygotowaną do wstrząsów, ja zaś wyszedłem z zabiegówki, przeciąłem korytarz, schody i wszedłem do swego gabinetu. Tu rozpocząłem monolog, który zamienił się w krzyk: – „I to ma być psychiatria? Postęp? Leczenie? Nie! – wołałem – To miejsce kaźni! Tortur! Zakłamania! Poniżenia ludzi! Ubowskie więzienie!”

– Dość! – usłyszałem nagle głos ordynatora. – Dość tych bredni! Dość błazeństw!

Odwróciłem się. Stał przede mną doktor Jaśkiewicz. Kiedy wszedł, jak długo stał, czy wszystko usłyszał, tego nie wiedziałem.

– Niech pan przestanie – rzekł. – Jest pan lekarzem, nie histeryczką.

– A niszczyć ludzi można? – odpowiedziałem zaczepnym pytaniem. Kto wam dał takie prawo? Kto pozwolił? Przed kim odpowiadacie? Gdzie wasze sumienie?

Ordynator siadł, zapalił powoli papierosa, przez dłuższy moment milczał, nagle zgasił niedopałek, wstał i wskazując drzwi, rzekł:

– Chodźmy...

I poprowadził mnie przez korytarz, a następnie schodami na drugie piętro. Domyśliłem się szybko, co chce mi pokazać. Trójkę. Trzeci oddział, w którym znajdowały się pacjentki po kuracji wstrząsowej. Kiedyś w nim byłem, ale nic rewelacyjnego nie zdołałem zauważyć. Tymczasem doktor Jaśkiewicz otworzył drzwi do sali i znaleźliśmy się pomiędzy chorymi. Większość stała, kilka leżało na łózkach. Dyżurna pielęgniarka podeszła do nas i zapytała o powód nieoczekiwanej wizyty.

– Chcemy zobaczyć chore sprzed tygodnia – wyjaśnił ordynator.

– Proszę za mną – rzekła pielęgniarka i poprowadziła nas do kobiet leżących na łózkach. – Czy pan je pamięta? – zapytał ordynator.

– Niezupełnie – odrzekłem.

– Dlaczego?

– Ponieważ stały w grupie.

– I niczym się nie różniły?

– Niczym – potwierdziłem. – Stały w grupie i niczym się od siebie nie różniły. – Woskowe mumie – pomyślałem. – Żywe mumie. Postacie jak z horroru, na którym reżyser pokazuje żywych nieboszczyków. Uśmiechy bez wyrazu, oczy zapadnięte, matowe, skóra pomarszczona, włosy rozkudłane, brudne, przetłuszczone, pokryte kurzem. Tu chore wyglądały schludniej, ale inne szczegóły poprzedniego opisu pasowały jak ulał.

– Dlaczego pan z nimi nie rozmawiał? – zagadnął ordynator.

– Bo wszystkie milczały. Ordynator roześmiał się lekko.

– Od dziś będzie inaczej – zdecydował, a potem nachylił się nad pierwszą chorą i zapytał, jak się czuje. Chora poruszyła lekko głowę, jak gdyby pragnąc zrzucić jakiś niewidzialny pyłek, a kiedy ordynator powtórzył pytanie, uśmiechnęła się lekko. Był to uśmiech blady, ledwie zaznaczony, tak, jak gdyby mięśnie twarzy chorej były w stanie niedowładu. Tymczasem ordynator pytał kolejno o zdrowie i samopoczucie wszystkie chore. Ani jedna nie odpowiedziała słowami, ale każda dała poznać mimiką i ruchami rąk, iż rozumie, co mówi do niej ordynator.

– Jest zmiana – rzekł do mnie ordynator. – Zmiana wątpa i cienka jak nić. Taki wątpy, maleńki strumyczek, który rzeźbi skorupę skały...

Nazajutrz zlecił mi przeprowadzenie wywiadów z choricami

przeznaczonymi do terapii wstrząsowej.

– Zorientuje się pan w ich stanie, stwierdzi pan, jakie są między nimi różnice, bo to nie jest masa plastycznych brył – wtrącił z lekkim naciskiem – a potem, po wstrząsach, powie mi pan, czy są różnice, czy ich nie ma. Wtedy pogadamy...

Nie zdążyłem przeprowadzić wywiadów. Ordynator przydzielił mi pacjentkę, u której, jak stwierdził, wszystkie metody zawiodły, pozostały jedynie elektrowstrząsy.

– Czy mam je wykonać? – zapytałem.

– To zależy od pana – odrzekł ordynator. – To pańska pacjentka. Pan tu decyduje, nie ja...

Chciałem odrzec, że on już zdecydował, mówiąc, iż pozostały jedynie wstrząsy, ale nie oponowałem, aby nie wszczynać niepotrzebnych dyskusji.

Pacjentka, chuda blondynka, z krótko obciętymi włosami, przebywała w kilku szpitalach od ośmiu lat. Rozpoznanie było zawsze to samo: schizofrenia paranoidalna, czyli schizofrenia urojeniowa. Choroba rozpoczęła się nagle, w trakcie wycieczki na Mazury, którą zorganizował jej macierzysty zakład pracy.

W pewnym momencie pacjentka oddaliła się od grupy, rozebrała do naga i zaczęła się opalać. Co działo się pomiędzy godziną dziesiątą przed południem i szesnastą następnego dnia, tego nikt nie wie. Znalaziono ją skuloną, pobitą, i jak się potem okazało, zgwałconą. Nie odpowiadała na pytania, nie reagowała na polecenia i jak twierdzili wszyscy, którzy w tym czasie mieli z nią do czynienia, robiła wrażenie, „jak gdyby z kimś w myślach rozmawiała”. I to ostatnie określenie oddawało sens choroby,

albowiem pacjentka słyszała głosy, reagowała na nie, a jej kontakt z otoczeniem był coraz słabszy.

Lata mijały, pacjentka wędrowała od szpitala do szpitala, w końcu trafiła na nasz oddział. Była osobą samotną. Nikt jej nie odwiedzał, nikt się nią nie interesował. Zajmowała się wycinaniem kopert oraz malowaniem obrazków i tak schodził dzień za dniem. Pewnego ranka przestała jeść i pracować, nie chciała wychodzić z łóżka, uśmiechała się do siebie, czasem wykonywała ruchy rękoma, jak gdyby chciała kogoś lub coś od siebie odpędzić. A ponieważ z dotychczasowych historii chorób wynikało, że stany powyższe stale się wydłużają, ordynator przeznaczył ją do terapii wstrząsowej.

Powiedziałem pacjentce, że będzie leczona wstrząsami, potem poleciłem pielęgniarkom, aby zabrały ją do gabinetu zabiegowego. Obserwowałem ją, jak zareaguje na widok aparatury. Nie było żadnej reakcji. Pacjentka leżała obojętna, bez jakiegokolwiek odruchu niechęci, czy niepokoju.

– Była doskonale obojętna – powiedziałem później ordynatorowi, relacjonując przebieg zabiegu. Nawet wstrząsy nie były tak wyraziste, jak u innych pacjentek. Zadziwiające – zakończyłem swoją relację, na co ordynator odrzekł, że w psychiatrii nie ma nic zadziwiającego, albowiem ludzka psychika jest zdolna do przybrania nieskończenie różnych obrazów i postaci, reakcji i przeobrażeń.

Druga tura wstrząsów również nie wywołała poprawy, trzecia spowodowała lekki protest, czwarta opór, zaś piąta – płacz i skargę na maltretowanie. Teraz ordynator rzekł, że to zdumiewający przypadek, ale zaraz przypomniał sobie podobny sprzed iluś lat i posiedzenie zostało

zakończone. A tymczasem pacjentka ożywiła się i zaczęła mnie wypytywać, co spowodowało, że znalazła się w szpitalu. Nie wierzyła, że jest tak długo chora, pytała o osoby, które, według jej relacji, powinny ją odwiedzać, podała nawet kilka telefonów, prosząc, abym zadzwonił i poprosił o kontakt, w końcu zażądała natychmiastowego wypisu. Wysłuchałem wszystkich żądań pacjentki, następnie powiedziałem, że wypisać jej nie mogę, albowiem jest to w tej chwili niemożliwe.

– Dlaczego? – przerwała mi w połowie zdania pacjentka. – Przecież wszystkich po kuracji wypisujecie.

– Nie wszystkich – odparłem. – I to już chyba zdążyła pani zauważyć.

– Niezupełnie – odburknęła pacjentka, ja zaś wyjaśniłem, że pacjent lub pacjentka opuszczająca szpital musi mieć gdzie i do kogo wrócić, musi mieć mieszkanie, dom, swoich bliskich. Gdzie jest jej dom, mieszkanie, gdzie są jej bliscy? W odpowiedzi pacjentka podbiegła do telefonu i zaczęła wykręcać jakieś numery. Ponieważ byłem obok niej, usłyszałem dialog, który powtórzył się kilkakrotnie. – Halo, tu ja, Lidka. No ja, Lidka. Czy to mama? – Gdzie pani dzwoni? – odezwał się skrzekliwy głos jakiegś więdźmy, tak doniosły, że stojąc za pacjentką w sporej odległości, dokładnie jej głos słyszałem. – Dzwonię do pani Puchalskiej. – Tu taka nie mieszka – brzmiała obcesowa odpowiedź.

– Od dawna? – Od ćwierć wieku! – wykrzyknął niewidoczny babsztyl i słuchawka opadła. Kolejne telefony zaczynały się w sposób podobny:

– Czy to wujek Czesław? – Czy to ciocia Sławska? – Czy to Kajtek?

– Czy to babcia Ala? – Nie, teściowa Wala – odpowiedział jakiś dowcipniś z głupkowskim rechetem i dziewczyna położyła z płaczem słuchawkę.

– Co się stało? – Moje pytanie nie było zbyt mądre, bo jak to już zaznaczyłem, przez cały czas stałem tuż obok niej, ale zapytałem ot tak, dla nawiązania rozmowy.

– Co się stało? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

– Nic się nie stało. Jestem sama. Sama, jak palec. Nikogo nie mam. Nikomu nie jestem potrzebna. Czy pan potrafi to zrozumieć?

– Proszę pani – odparłem – w trakcie pani choroby odwiedzał panią jakiś mężczyzna.

– Jak wyglądał? – zapytała z ożywieniem dziewczyna.

– Średniego wzrostu, ciemny blondyn. – wyjaśniłem. – Przynosił kwiaty, czasem słodczyce, siadał przy łóżku, a ponieważ nie mógł nawiązać z panią kontaktu, odchodził. Podawał się za pani brata.

– Brata? – zdziwiła się pacjentka. – Ja nie mam brata. Nigdy brata nie miałam.

– Więc kim był ten człowiek?

– Nie wiem – odparła szczerze dziewczyna. – Nie pamiętam, aby mnie kiedykolwiek odwiedzał.

Pomyślałem, że teraz na mnie kolej, że powinienem jej pomóc. Poprosiłem pacjentkę o adresy jej najbliższych i obiecałem, że ich odszukam. Potem zapytałem, co i kogo pamięta do momentu przybycia do szpitala.

Pacjentka długo zbierała myśli.

– Wie pan – powiedziała po chwili. – To bardzo trudne. Nie pamiętam wszystkiego. Nie ma w moich wspomnieniach ciągłości. Raczej urywki, fragmenty, strzępy nawet. Tak jak gdybym miała pamiętnik i ktoś go podarł.

Wtedy zapytałem o wycieczkę na Mazury sprzed dziesięciu laty.

– Brałam udział w kilku wycieczkach – powiedziała dziewczyna.

– Mylą mi się. Chociaż – zastanowiła się przez moment. – Wydaje mi się, że w trakcie jednej z nich stało się coś złego. Ale to niemożliwe – rzekła – chyba widziałam to na filmie. Mnie nie mogło się to przytrafić...

Zamilkła. Nic już tego dnia nie mogłem z niej wydobyć.

Nazajutrz powędrowałem do archiwum i poprosiłem królującego w tym przybytku pana Józia o materiały dotyczące mojej pacjentki.

– Już się robi, już się podaje – rzekł pan Józio szczęśliwy, że może mi się przysłużyć. Dotarł po drabinie do jednej z półek i wyciągnął z niej plik zakurzonych dokumentów. – Oto one...

Podziękowałem panu Józiovi serdecznie i powędrowałem do gabinetu. Miałem lekturę na wiele godzin.

Cóż można odtworzyć sprzed dziesięciu lat mając jedynie do dyspozycji garść papierków? Niewiele. Tym bardziej, że pacjentka była przenoszona ze szpitala do szpitala wiele razy. Pomyślałem w końcu, że zamiast szukać w dokumentach jakiegoś śladu o dramacie, jaki rozegrał się na Mazurach, powinienem zacząć od jej rodzinnego domu. I tak też zrobiłem. Bez uprzedzenia i telefonicznego porozumienia udałem się pod stale powtarzający się w historiach choroby adres.

Zapukałem. Otworzył mi mężczyzna około siedemdziesiątki, obok którego pojawiła się niemal natychmiast chuda staruszka.

– Czy państwo Czertokowie? – zapytałem.

– Tak, tak – odrzekli, jedno przez drugie. – A pan kim jest?

– Jestem lekarzem psychiatrą – powiedziałem. – Przyszedłem do państwa w sprawie waszej córki.

Moi rozmówcy spojrzeli na mnie ze zdumieniem. Nie zaprosili mnie do mieszkania, nadal stałem w progu. Po dłuższej chwili milczenia mężczyzna rzekł:

– Nasza córka nie żyje.

– Tak – potwierdziła kobieta. – Naszej córki nie ma.

– Wasza córka żyje – odparłem. – Jest w naszym szpitalu. Czuje się lepiej i chce was zobaczyć.

– Chce nas zobaczyć? – zapytał z niedowierzaniem ojciec.

– Pamięta nas? – zapytała matka.

– Tak – odparłem. – Zastosowaliśmy wstrząsy. Po nich czuje się lepiej. Możecie jej pomóc. Ona was potrzebuje.

Płaczący mężczyzna zawsze sprawia wstrząsające wrażenie. Teraz ten nieznajomy mi człowiek stał przede mną i płakał. A potem obydwójce wciągnęli mnie do mieszkania i zaczęli mi opowiadać, jak wielkim dramatem i tragedią była i jest dla nich choroba córki, jak wydawali pieniądze na leki zagraniczne, jak wzywali różnego typu specjalistów i jak wreszcie podjęli decyzję zmiany mieszkania tak, aby nikt ich nie znalazł. – Pan nie rozumie, co to znaczy, panie doktorze – mówił wycierając oczy mężczyzna. – Mamy drugą córkę, a tu wszyscy czekają, czy zwariuje, czy nie, my zaś żyjemy w popłochu, jaką będzie miała przyszłość i kto ją będzie chciał. Och, czy potrafi pan nas zrozumieć? Pomyślałem, że to ja powinienem westchnąć: – Och, ileż razy słyszałem to pytanie i ileż razy kryło ono, poza cierpieniem i nieszczęściem, próbę wymigania się od odpowiedzialności za najbliższych.

– Nie – odrzekłem szorstko. – Nie potrafię. – I zapytałem: – Czy to możliwe, ażeby rodzice zapomnieli o córce i pochowali ją żywcem?

– Żywcem? – zdumiał się mężczyzna. – A czy ona żyje? Wstałem. Było mi ich żal, ale jednocześnie budzili we mnie niechęć.

– Chwileczkę – rzekł mężczyzna. – Wiem, co pan czuje, widzę w pańskich oczach potępienie. Ale proszę mnie zrozumieć i wczuć się w sytuację człowieka, który mówi do swej córki, a ta nic, ani be, ani me, ani pana nie poznaje, to się obnaża, to głupkowato uśmiecha, ucieka z domu, gada głupstwa, naraża nas na ośmieszenie, plotki, upokorzenia i tak całymi miesiącami i latami? O, nie, panie doktorze, to nie cynizm, nie brak miłości, ale przerażenie i odraza. Tak, panie doktorze, odraza. Wiem, że mnie pan potępi i powie, że takich uczuć w stosunku do własnej córki mieć nie wolno, ale tak się niestety stało. – Mężczyzna znów płakał. – Niech pan dziękuje opatrności, że pana nic takiego nie spotkało i niech pan się modli, aby nikomu z pańskiej rodziny nic takiego na głowę się nie zważyło. Człowiek sam może oszaleć, kiedy widzi powłokę swego najbliższego, a to, co w niej siedziało, zabrał szatan. Czy pan zdaje sobie sprawę, panie doktorze, co nas spotkało i jak wielkie jest nasze nieszczęście?

Powiedziałem ojcu pacjentki, że go rozumiem i że podzielam jego rozterki, tudzież że szanuję jego ból i cierpienie, ale że on sam musi zrozumieć, iż kiedy jego córka wyzwoliła się z mocy ciemności i powróciła na nasz ziemski padół, trzeba być człowiekiem, podać jej rękę i podźwignąć z nieszczęścia. Pomyślałem w tym miejscu, że muszę sięgnąć do jakiegoś mocniejszego argumentu i palnąłem: – To prawo ludzkie. Nakaz dany przez Boga!

I tu trafiłem, bo mężczyzna chwycił się za serce i zawołał:

– Niech tak będzie, przyjadę! – po czym poprosił o wyznaczenie

terminu odwiedzin.

Odparłem, że mogą przyjść razem całą czwórką w najbliższy wtorek, w dzień mojego dyżuru.

– Jaką czwórką? – zdumiał się mężczyzna. – Mieszkamy z drugą córką, jest nas troje.

– A syn? – zapytałem. – Nie macie państwo syna?

– To jakaś pomyłka – rzekła matka chorej. – Nigdy syna nie mieliśmy. Czy córka mówiła, że ma brata?

– Przepraszam – powiedziałem. – Zrobiłem błąd w notatkach. Jeszcze raz przepraszam...

Pozostała do wyjaśnienia sprawa mężczyzny, który co jakiś czas odwiedzał chorą, podając się za jej brata. Nie mając żadnych danych ani wskazówek, ponownie zabrałem się do wertowania dokumentów pacjentki.

W pewnym momencie omal nie krzyknąłem z radości: w jednym z zespołów kart obserwacyjnych chorej znajdował się stary kalendarzyk pacjentki, przyklejony do jednej z okładek. Przekartkowałem go dokładnie i na jednej ze stroniczek znalazłem następujący zapis: – *Wycieczka nad Mamry. Będzie Pudel!!* Kim był „Pudel”? Komu dano takie przezwisko? A może nie było to przezwisko? Może ktoś naprawdę nazywał się Pudel? Ludzkie nazwiska bywają przedziwne, żaden pisarz nie wymyśli oryginalniejszych, niż takie, jakie można spotkać w spisach lokatorów, urzędników, czy pracowników dużej fabryki. Zakładając tedy, że taki osobnik istnieje naprawdę, należało sprawdzić, co i kiedy ich łączyło. Czy był to „bohater” dramatu znad jeziora Mamry, czy zwykły kolega, którym się interesowała? I dlaczego przy nazwisku Pudel znajdowały się dwa

wykrzykniki?

Tego samego popołudnia udałem się z notatnikiem do chorej i zapytałem ją o pana Pudła. W oczach chorej pojawił się lekki, ledwie zauważalny przez moment wyraz niepokoju, który zaraz zgasł. Potem chora odwróciła się i na dalsze pytania nie odpowiadała. Jednak ten niewielki, minimalny odruch wystarczył, aby mnie przekonać, że trafiłem na właściwy ślad, że coś wiem. I że należało znaleźć mężczyznę o nazwisku Pudel, a wówczas kolejny rąbek tajemnicy zostanie uchylony. Należy znaleźć... Należy znaleźć... Tak zwykle mówią zwierzchnicy wydający polecenia, a potem albo chwałą za osiągnięcia, albo besztają. Jeśli chodzi o mnie, mogłem jedynie sam sobie pogratulować, gdyby się udało lub nauręgać, gdyby spęzło na niczym. Ażeby zaś nie spęzło, należało znaleźć uczestników pamiętnej wycieczki na Mazury. Ponownie przejrzałem notatnik, a potem kolejno wszystkie karty chorobowe. Moją uwagę zwróciła notatka: – *Zadzwoń do Ali!* i obok numer telefonu. Ślad był niewielki, ale należało go sprawdzić. Sięgnąłem po słuchawkę, wykręciłem numer, ale telefon milczał. Zadzwoniłem po dwóch godzinach, potem powtarzałem tę samą czynność co dwie godziny. Około dziesiątej wieczorem trafiłem na mężczyznę, który przez dłuższy czas nie mógł pojąć, o co chodzi, wreszcie wezwał teściową.

– To ja mam na imię Ala – usłyszałem lekko zachrypnięty głos poszukiwanej przeze mnie niewiasty. – O co panu chodzi?

Wyjaśniłem, jaki jest cel moich poszukiwań i wtedy usłyszałem odpowiedź:

– Pan mnie zadziwia panie doktorze. Przyzywa pan duchy. Myśmy już Lidkę pochowali. Nikt inaczej o niej nie wspomina, jak o tej, która

odeszła. A Pudel? Pudel to skrót od Pudelskiego, instruktora kulturalnooświatowego. – Co się z nim dzieje? – Nie wiem. To nie był ciekawy typ. Nikt nie chciał mieć z nim do czynienia. Podejrzewaliśmy, że to pedofil, ale nikt dowodów na to nie miał. Tolerowaliśmy go, bo był świetnym organizatorem. – A tamtego dnia? – Myśli pan o dniu, w którym znaleziono Lidkę? Pudel miał alibi. Przez dwa dni uczestniczył w naradzie w sąsiednim miasteczku. Wszyscy go tam widzieli, więc wypadł z kręgu podejrzanych. Ale kto wie, kto wie... Niech pan jednak pomyśli, panie doktorze, że gdyby nawet Pudel miał coś z tym wspólnego, czy to ma dziś jakiegokolwiek znaczenie? Sprawa jest przedawniona. Minęło tyle lat...

Potem dała mi adres Pudła, podziękowała za wiadomość o Lidce, ale odmówiła przybycia do szpitala.

– Nigdy u czubków nie byłam i nie będę. A to, co było dziesięć lat temu, już mnie nie ciekawi. Mam wnuczka, panie doktorze, cudownego chłopczyka, aniołka blondaska, który śpiewa jak urodzony śpiewak. Ma na imię Zygmus. Chciała mi o nim opowiedzieć, ale podziękowałam i odłożyłam słuchawkę.

Teraz należało zadzwonić do Pudła. Należało? Przedtem, kiedy nie miałem jego danych, nie miałem wątpliwości. Teraz wątpliwości narastały. Jakież bowiem miałem podstawy do indagowania obcego, nie związanego z chorą i ze mną mężczyzny? Żadnych. Postanowiłem tedy, że zaproszę go po wizycie rodziców oraz po wyjaśnieniach pacjentki, na które mimo wszystko liczyłem. W tym momencie pomyślałem, że zachwycona przyszłym Kiepurą, czyli Zygmusiem, pani Ala, miała dużo racji. Na co ta rekonstrukcja? Skąd pewność, że Pudel to winowajca? Skąd przekonanie, że wybuch choroby został wywołany przez gwałt? Takie i im podobne

pytania przewijały mi się przez głowę, kiedy sięgałem po słuchawkę, aby zatelefonować do pana Pudelskiego.

– Pudelski – usłyszałem soprani głos eunucha. – Czym mogę służyć?

Przedstawiłem się i powiedziałem o aktualnym stanie zdrowia pacjentki.

– Co dalej? – usłyszałem pełne zniecierpliwienia ponaglenie eunucha. – Z panią Lidką nic mnie nie łączyło i nic mnie nie łączy.

– A jednak pan ją odwiedzał – powiedziałem spokojnie. – Dlaczego teraz nie chce pan zejść do szpitala?

Przez moment trwała cisza, potem usłyszałem krótką odpowiedź:

– Dobrze, wpadnę do Lidki któregoś dnia. Do widzenia. – Słuchawka trzasnęła, zanim zdołałem ustalić termin spotkania. Po namyśle postanowiłem odstąpić od ponownego wezwania.

Pan Pudelski pojawił się w niedzielę. Zobaczywszy go, nie potrafiłem ukryć zaskoczenia. Miał zaczesaną na prawo, ufarbowaną na złoty brąz czuprynę, przymilny uśmiezek i bardzo niespokojne oczy.

– Przyszedłem – rzekł. – Ale zarówno ta wizyta, jak i inne nic nie znaczą.

– Jakże to? – zapytałem ironicznie. – Wizyty u rodzonej siostry nic nie znaczą? Więc rodzinna nie ma dla pana znaczenia?

– Czego pan chce ode mnie? – podniósł głos mężczyzna.

– Ja? Od pana? – wyraziłem zdumienie. – Cieszę się, że pan znów odwiedza siostrę. Pójdziemy?

Pudelski wstał z krzesła bez słowa i ruszył w kierunku drzwi. Przecieliśmy korytarz i znaleźliśmy się w separacie, w której leżała Lidka.

– Proszę – powiedziałem – pani Lidka czeka na pana. Mężczyzna

wszedł pierwszy, stanął przy łóżku, ja szedłem wolniej.

A że szedłem wolniej, więc miałem przed sobą plecy właściciela sopranowego głosu. A ponieważ zasłaniały mi one chorą, przeto nie widziałem wyrazu jej twarzy, usłyszałem jedynie przeraźliwy krzyk:

– To on! To on! To on mnie zgwałcił! Potem zapadła cisza. Mężczyzna odwrócił się i ruszył szybko ku wyjściu. Zatrzymałem go na korytarzu.

– Chwileczkę – powiedziałem. – To nie wszystko!

– A czego by pan jeszcze chciał? – zapytał z beczelnym spokojem mężczyzna. – Czy pan nie widzi, że to wariatka?

– Ale pan ją zgwałcił! – zawołałem.

– A skąd pan wie? – roześmiał się mężczyzna. – Widział pan, jak ją gwałciłem? Ma pan świadków? – Mężczyzna splunął mi pod nogi.

– A gdyby nawet, to kto będzie słuchał wariatki po tylu latach?

– Mężczyzna chciał splunąć ponownie, ale nie zdążył, ponieważ moja ręka wylądowała na jego gębie. Zrobiłbym to ponownie, niestety czyjś uchwyt uniemożliwił mi uderzenie. Odwróciłem się i ujrzałem przed sobą ordynatora.

– Dość! – rzekł ostro. – Jak pan może!

– Ja go podam do sądu! – zawołał mężczyzna, wskazując w moim kierunku ręką.

– Za co? – zapytał spokojnie ordynator.

– Za spoliczkowanie! – wrzasnął mężczyzna.

– Ma pan świadków? – zapytał ordynator.

– Mam – odparł mężczyzna.

– Kogo?

– Pana!

– Mnie? – zdumiał się ordynator. – I pan sądzi, że ja tu po to przyszedłem, żeby się panu przyglądać?

– Wezwę milicję – podniósł głos mężczyzna.

– A wie pan – rzekł spokojnie ordynator – że to świetny pomysł? Chodźmy – wskazał ręką swój gabinet – tam jest telefon...

Mężczyzna spojrział w kierunku gabinetu, potem na nas, wreszcie syknął: – My się jeszcze spotkamy! – I opuścił spieszenie oddział.

Wróciliśmy do chorej. Leżała bez ruchu, wpatrując się tępo w sufit. Jej twarz przypominała woskową maskę.

– Pani Lidko! – zawołałem. – Jak się pani czuje? Odpowiedziało mi milczenie. Ująłem ją za rękę, ale pacjentka nie zareagowała. Autyzm wrócił. Lidka znalazła się znów „za szybą”. We wtorek przyszedł ojciec chorej. Spojrzął na córkę, powiedział:

– Za co wam płacą? Za kłamstwa?

A kiedy chciałem wyjaśnić, co się stało, zawołał:

– Dość! Ja z tą kobietą – wskazał ręką w kierunku chorej – nie mam nic wspólnego. Jeśli pan się jeszcze raz wygłupi – zwrócił się do mnie ostro – zgłoszę skargę do ministerstwa zdrowia! – I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Natychmiast po wyjściu uprzejmego tatusia powędrowałem do ordynatora.

– Klęska – powiedziałem. – Totalna klęska. – I opowiedziałem ordynatorowi o tym, co stało się w separacie Lidki. – Kto tu jest winien? – zapytałem. – W czym i kiedy popełniłem błąd?

Ordynator wysłuchał mnie z absolutnym spokojem. Potem powiedział, że widzi w moim postępowaniu tylko jeden błąd: bicie po pysku łobuzów. Tego nie wolno robić, a nerwy trzeba trzymać na wodzy. Poza tym

wszystko gra jak należy. Muszę powtórzyć wstrząsy i czekać. Póki co – zakończył – to cała psychiatria polega na czekaniu. Da Bóg, w przyszłości będzie inaczej...

Pewnego dnia pełniłem całodobowy dyżur w szpitalu. Nadszedł wieczór, na oddziale panowała cisza, pogotowie, o dziwo, chorych nie przywoziło. Miałem zły nastrój, nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca, odczuwałem potrzebę zwierzeń. Każdy ma takie chwile, kiedy chce otworzyć się przed kimś drugim, wyrzucić z siebie bagaż przeżyć i nękających myśli, znaleźć swego „wielkiego” spowiednika. Ja miałem taką chwilę dziś. Nie mogąc zatem znaleźć sobie miejsca w gabinecie powędrowałem do separatki Lidki. Usiadłem przy łóżku, przyglądałem się przez moment jej bladej, wychudzonej twarzy, a następnie opowiedziałem jej o mojej miłości do Inki, o sytuacji, w jakiej się znalazłem oraz o koncepcji anonimów, które byłyby nie tylko aktem zemsty, ale i próbą odzyskania Inki. Mówiłem tak i mówiłem, spowiadałem się i zastanawiałem na głos, czy anonim to sprawa uczciwa, czy nieuczciwa, aż pewnego dnia stało się coś, co mogę określić jako wydarzenie bez precedensu.

Oto chora w trakcie jednego z naszych posiedzeń wydobyła się ze swej skorupy, jak pisklę z rozbitego jaja. Najpierw spostrzegłem blask oczu, potem niewielkie ruchy warg, języka, drgnienia policzków, czoła, wreszcie usłyszałem słowa, które mnie tak zaskoczyły, że nie potrafiłem przez dłuższy czas znaleźć odpowiedzi:

– Panie doktorze, ja to panu napiszę...

I znów zrobiłem coś, czego nie wolno mi było zrobić. Ani z punktu widzenia sztuki lekarskiej, ani kanonów etyczno-moralnych. Zrobiłem

więc źle, szczerze to przyznaję, ale relacjonując fakty, muszę być obiektywny i nikogo nie wolno mi okłamywać. Pobiegłem więc do gabinetu, chwyciłem dwie kartki papieru i dwie koperty, wróciłem do separatki, wręczyłem je chorej i zacząłem dyktować: – *Szanowna pani, pani mąż ma kochankę Inkę B. i Szanowny panie, pańska żona ma kochanka doktora Busia.* Z kolei podałem koperty i podyktowałem adresy. Pacjentka szybko napisała, co jej podyktowałem, po czym zapytała:

– Czy coś jeszcze?

– Nie, dziękuję – odparłem i chwyciwszy korespondencję, pobiegłem do gabinetu. Tu ochłonąłem.

Dopiero teraz dotarł do mej świadomości fakt, iż pomogła mi... pacjentka! Pacjentka, owładnięta jednym z najstraszliwszych schorzeń psychicznych, schizofrenią. A więc bezwolny człowiek – fantom, którym można poruszać i kierować jak się chce, „wynurzający się” z odmętów choroby w okresie remisji. I choć w tym krótkim okresie powrotu do zdrowia jest w dość dobrym kontakcie z otoczeniem, to kto mi uwierzy, iż nie uległa mojej presji, że zdawała sobie sprawę z tego, co robi?

Listy schowałem do kieszeni. Poczulem dziwną, odprężającą ulgę i niebywałe zadowolenie. Wydawało mi się, że stało się coś, co zmieni diametralnie moją obecną sytuację.

Z każdym dniem pobytu w szpitalu potrzebowałem Inki coraz bardziej: jej obecność, jej seks były niezbędnym atrybutem mojego istnienia.

Było mi bez niej ciężko i starałem się w związku z tym nawiązywać z nią kontakt jak najczęściej. Dzwoniłem do Inki wielokrotnie, do Uli tyleż samo. Inka rzucała słuchawkę, Ula zaś tłumaczyła mi, że w tej chwili zażyłość Inki z Busiem osiągnęła apogeum, że Inka ogłasza wszystkim, że

jest nim zafascynowana, on zaś, że chce się z nią ożenić.

Pewnego popołudnia postanowiłem odwiedzić panią Ulę. Dzień był posepny, chmury koloru brudnego ołowiu wisiały nisko, zimny deszcz ciął z ukosa. Szybko schowałem się do ify modląc się, aby się nie zepsuła w czasie jazdy i ruszyłem do przychodni.

Pani Ula uściskała mnie serdecznie, poczęstowała kawą i natychmiast rozpoczęła opowieść o Ince. Trzyma się Busia jak rzep psiego ogona, ale jak go nie ma, to daje również innym. Taka jej maść, ona musi mieć stale chłopca w łóżku. „Gdybyś dziś spróbował, to kto wie, bo właśnie Busio wyjechał do Amsterdamu, a jej się nie udało. „ Wstałem i ruszyłem ku drzwiom, ale Ula mnie chwyciła za kark i zawróciła. „Dokąd, wariacie? Ona jest w tej chwili na badaniach w klinice ginekologicznej, bo coś jej tam dokuczają, zaś w domu siedzi mąż. Za godzinę mąż wyjedzie z kolesiami na drinka, a ona będzie w domu sama, wtedy pójdziesz. „

Wyciągnęła z biurka karafkę z winem własnej roboty i naląła mi do szklanki tak, aby wchodzący do gabinetu pacjenci nie mogli rozpoznać, co znajduje się w środku.

– Zdrówko – powiedziała.

– Zdrówko – powtórzyłem i wychyliliśmy zawartość szklanek.

– Zmieniam pracę – powiedziała nagle pani Ula. – Nie jesteś ciekaw, gdzie będę?

– Ogromnie! – zawołałem. – Byle niedaleko od nas!

– Niestety, synku, dość daleko. Na ginekologii. Już tam byłam. Byłam i wiesz, co pomyślałam? Że muszę cię tam ściągnąć, że musisz tam po tej przeklętej karze wrócić. To wymarzona placówka dla ciebie. Bo popatrz! Wchodzimy sznurem, na czele profesor, za nim docent, po nich adiunkt,

starsi asystenci, pielęgniarki i specjaliści. Chore leżą na łóżkach, przyglądają się nam z uwagą, niektóre uśmiechają się zalotnie. Potem mówią o swoich lekarzach, porównują, każda ma „swego” pana doktora, swoją sympatię. Każda demonstruje nową fryzurę, manicure, pedicure, kosztowną koszulę, zagraniczne kosmetyki. Każdy z lekarzy ma swoją sympatię, a najprzystojniejszy z nich posiada największą liczbę podkochujących się w nim pań.

Popijałem herbatę i świąteczne wino i oczekiwałem na „porę” świntuszenia. Znajac świetnie panią Ulę, wiedziałem, że taka „pora” musi nadejść, że bez niej opowieści o ginekologach będą niepełne. Tak też się stało.

– Po obchodzie zaczynają się badania. Och, gdybyś Sławeczku ujrzał te rumieńce, protesty, wzdychania w czasie badania, lekkie prowokacje niespodziewanym ruchem miednicy, na które reagując, lekarz mógł lekko przesunąć palec wewnątrz pochwy, znacznie dłużej niż tego wymagało badanie. I jeszcze jedno. Och, Sławku – zapiszczała nagle pani Ula – ginekolog, któremu asystuję, swój gruby palec opiera o górną część seksu i w trakcie badania lekko ją uciska. Kiedy pacjentka zaczyna się kręcić, szybciej oddychać, cofać, to jest sygnał, że czuje dotyk i nań reaguje. I tu wyłania się kwestia najtrudniejsza: kiedy przerwać i jak sprawić, aby pacjentka chciała całego orgazmu, bo, jak twierdził mój mistrz z oddziału, można nieźle oberwać po mordzie. Onże mistrz musiał oberwać i to nie raz i nie dwa, skoro o tym mówił i przed niebezpieczeństwem uprzedzał, ale miał na swym koncie nie byle jakie sukcesy. Oto bowiem potrafił wmówić niektórym nie mogącym zajść w ciążę kobietom, iż trzeba sprawdzić, czy orgazm przebiega prawidłowo, czy mięśnie kurczą się

właściwie, czy zacisk pochwy jest należyty i że po to właśnie, aby to sprawdzić, należy wywołać akt sztuczny. Nie, nie z nim i nie wykonany jego palcami, ale z jego pomocą, a mianowicie poprzez trzymany przezeń pędzelek. Tak, kochany Sławku, pędzelek! – Pani Ula przełknęła ślinę, ja zaś pomyślałem, że wreszcie uzyskała to, o czym marzyła: pławienie się w świństwach, świństewkach i przeróżnego rodzaju seksualnych wybrykach. – „Facet sadzał pacjentkę przed sobą i tak długo dotykał pędzelkiem najczulszych miejsc, aż kobietę doprowadzał do szczytu. Wtedy udawał, że obserwuje ruchy mięśni na jednym i drugim udzie, reakcje całego uda, mierzył miednicę, pobierał wydzielinę z pochwy do probówek, aby zbadać poziom hormonów, wreszcie miętosił piersi, aby zbadać, czy mają „gotowość mleczną”, czy też wymagają masażu. Tak! Sławku, mój chłopaku kochany, ginekologia to specjalizacja dla prawdziwych mężczyzn! Pacjentki zwierają ci się z najintymniejszych szczegółów swego życia. Nie mają żadnych tajemnic. Wiesz wszystko. Każdy szczegół z ich rodzinnego, osobistego, pozamałżeńskiego życia, widzisz panów, męża, tego drugiego, a czasem trzeciego i czwartego, których delikwentka kiwa w sposób wręcz cudowny. W cudowny również sposób będzie ci się oddawała w czasie dyżurów i tak kółko będzie stale otwarte. A na koniec dostajesz kwiaty, czekolady, koniaki i koperty zamieszczane w specjalnych opakowaniach lub dyskretnie wsuwane do kieszeni fartucha.

Pani Ula przerwała swą opowieść i pobiegła do koleżanek po cukier, ja zaś popadłem w zamyślenie. Gdybym sam z kolei chciał komuś zaufanemu opowiedzieć o swych doznaniach w szpitalu psychiatrycznym, byłyby one takie: wchodzisz, witasz się, pijesz herbatę, rozmawiasz, w międzyczasie nadchodzą pielęgniarki, formuje się obchód. Na czele idzie

ordynator, za nim jego zastępca, stażyści, pielęgniarki, zwarta grupa. Rozpoczynamy od ostrej schizofrenii. Ordynator: dzień dobry pani, jak się pani czuje? Chora uśmiecha się, potem mówi: tamci, tamci, nie to tamci, cha, cha, cha, oni, potem nagle ni stąd ni zowąd woła: spierdalaj! Ordynator przygląda się chorej spokojnie, pyta dyżurną pielęgniarkę o jej zachowanie, pielęgniarka odpowiada, że bez zmian, ordynator zaleca wstrząsy. Idziemy do następnej: ta, skrępowana pasami, milczy. Wstrząsy. Inne albo dużo mówią, albo nic nie mówią. Te, które czują się lepiej i mogą chodzić, gromadzą się w rogu sali. Podchodzimy, rozmawiamy. Są spokojne, układne, tylko w niektórych spojrzeniach można rozpoznać starannie tłumioną nienawiść, złość i niechęć. Jeśli mają urojenia, starają się je zataić, byle ich nie zauważył ordynator, byle mogły stąd wyjść, uciec od znienawidzonego szpitala, w którym przekłęci lekarze poddają je torturom leczenia, niszczą, krępują i bezprawnie przetrzymują. Jest między mną a nimi jakaś zasłona, kurtyna, owa przysłowiowa szyba, o której często wspominam, bo to określenie jest tu najadekwatniejsze. Ludzie spoza tej szyby mówią innym językiem, widzą rzeczy, które nie istnieją, słyszą głosy, których nie ma, lękają się ludzi, którzy istnieją tylko w ich wyobraźni, mówią o sytuacjach, które nie mają sensu: o odciąganiu szpiku, mózgu, krwi, spermy i to wszystko bez odczuwania bólu oraz bez ludzi, którzy to wykonują. I tak dzień po dniu, noc po nocy. W końcu twoja myśl zaczyna krążyć wokół słów, które wypowiadają chorzy, zaczynasz się zastanawiać, czy przypadkiem nie widzą i nie słyszą więcej niż ty, bo są od ciebie bogatsi, bardziej przez naturę wyposażeni w zdolność odczuwania i spostrzegania. I robi ci się przykro i łyso, zaczynasz się zastanawiać, a że nic o przyczynach chorób psychicznych

nie wiesz, każdy pomysł i każda bzdura jest możliwa. I rodzi ci się we łbie idea, że jesteś fantomem lub nadczłowiekiem, imbecylem lub geniuszem. A wszystko dlatego, że skoro przyszedłeś do czubków, to i ty stałeś się czubkiem. Och – pomyślałem – gadam głupstwa. Idiotyzmy. Może dlatego – zacząłem się nagle tłumaczyć – że działam w próżni. Bez aprobaty, właściwej oceny, życzliwości i wdzięczności. Działam, jak gdyby wbrew choremu. Nie przynoszę mu pomocy, nie daję mu szczęścia. On mnie pomija, ucieka ode mnie i nienawidzi mnie serdecznie. Czy ktoś potrafi to zrozumieć? Czy ktoś potrafi zrozumieć psychiatrę?

Moje rozmyślania przerwała nagle pani Ula.

– Panie doktorze – powiedziała. – Mamy gościa...

W chwilę później ujrzałem przed sobą Inkę. Była podobnie zdziwiona i zaskoczona jak ja.

– Będę w sąsiednim pokoju – powiedziała pani Ula. – Jeśli będę potrzebna, zawołajcie... I wyszła. W tym samym momencie chwyciłem Inkę i zacząłem ją rozbierać.

– Nie tak – szeptała Inka. – Nie tak. Muszę zostać w sukience i fartuchu.

Wziąłem ją na stojąco. Inka nadal była zmysłowa, wyuzdana, wyczuwałem, że nasze karesy sprawiają jej radość, jej pocałunki, westchnienia, uściski nie były udane, ale – jak zwykły był określać podobną sytuację jeden z moich kolegów – to nie było to. Czegoś brakowało. Może spontanicznego wyuzdania, może uniesienia, zachłanności, łapczywego poznawania mojego ciała i zadziwiającej, właściwej tylko Ince zaborczości. Nie wiem: może się myliłem, może mi się wydawało, jednego jednakowoż byłem pewien: było inaczej.

Kiedy uniesienie minęło, Inka opadła na fotel. Leżała tak na wznak przez dłuższą chwilę, potem sięgnęła po torebkę i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się kilka razy, potem rzuciła go do popielniczki i wybiegła z gabinetu.

W chwilę później uczyniłem to samo. Pani Uli nie wezwałem: nie chciałem wysłuchiwać jakichkolwiek komentarzy.

* **

Zawsze uważałem, że noc sylwestrowa jest najsmutniejszą nocą w roku. Ludzie bawią się, obżerają, wypijają o dwunastej szampana i składają sobie życzenia, aby następny rok był „lepszy, pomyślniejszy i szczęśliwszy”, a potem upijają się na umór, bo nikt nie wierzy, ażeby następny rok był „lepszy, pomyślniejszy i szczęśliwszy”, za to każdy wie, że stuka kolejny rok życia, młodość się oddala, siwych włosów przybywa, nie wspominając już o narastających wciąż kłopotach. Dla pewnej grupy ludzi starszych oraz osób z tendencjami depresyjnymi, a w szczególności samotnych, jest to noc okropna. Nasilają się myśli o przemijaniu, niepowodzeniach i trudnościach, zmniejszających się perspektywach na wszystkich polach: osobistych, zawodowych, fizycznych, psychicznych i licho wie jeszcze jakich. Stąd tyle samobójstw tej nocy...

Tego roku w wyniku losowania czarna karteczka przypadła mnie. Powiedziałem: trudno, i kiedy nadszedł trzydziesty pierwszy, zapakowałem piżamę, aparat do golenia, herbatę i stawilem się o normalnej porze na oddział.

Obchód tego dnia miał charakter uroczysty. Ordynator odświętnie ubrany, pielęgniarki „zrobione”, sale przybrane kwiatami, lampki na

choinkach zapalone od rana, obowiązkowo wszędzie powywieszane życzenia od Dziadka Mroza, bo o świętym Mikołaju nie wolno było nawet pisnąć, no i pełna gala! Po obchodzie ordynator złożył wszystkim życzenia, a następnie zebraliśmy się grupkami, aby z mini kieliszków wychylić koniak jajeczny przygotowany przez pielęgniarki. Były też toasty z życzeniami, przy czym każdy przymrużał powieki i robił znaczącą minę, tak, aby partner czy partnerka rozumiała, że wszyscy życzymy, aby ten bandycki ustrój diabli wreszcie wzięli.

Około pierwszej oddział opustoszał oprócz dwóch pielęgniarek, które, jak się później okazało, również dokonały między sobą losowania, tak że o północy pozostała ze mną tylko jedna, Basia.

– No i co, siostrzko Basiu – zapytałem. – Obojgu nam los dokuczył.

– Tak – odrzekła Basia – miałam iść na randkę, a los plany pokrzyżował. Czy to nie kara Boża? – I zaraz zaczęła pochlipywać.

Około godziny dziesiątej przywieziono trzech samobójców demonstrantów, których po wypłukaniu żołądka i podaniu leków nasercowych umieściłem na oddziale obserwacyjnym. O jedenastej trzydzieści zatelefonował ordynator i złożył nam życzenia. W chwilę później w tym samym celu zadzwonił dyrektor.

Zaraz po telefonie dyrektora odezwał się Staszek.

– Życzę ci wszystkiego, co najlepsze – zawołał. – A najbardziej lepszych czasów. Innych niż te, psia ich mać.

– Daj Boże! – odkrzyknąłem. – A co z tobą?

– Nic nie wiem. Nie chcą nas tam wpuścić!

– Gdzie?

– Na ich szubrawy teren. Informacji.

– Staszku! – zawołałem. – Skąd dzwonisz?

– Ze szpitalnej budki. Nic się nie bój! Tu jeszcze podsłuchu nie ma.
Cześć!

– Cześć!

Kwadrans przed dwunastą zadzwoniłem do Inki. Zrobiłem to odruchowo, kierowany impulsem, wbrew własnym podjętym uprzednio ustaleniom. Uznałem bowiem, iż lepiej będzie, jeśli będę milczał i odezwę się po Nowym Roku. Przypuszczałem jednocześnie, że w domu jej nie zastanę, że jest na jakimś balu z Busiem, na prywatce lub również z nim – za granicą. Po tych rozważaniach przyszła mi nagła myśl do głowy, że Busio może być u niej, jeśli mąż pijaczek i oferma gdzieś wyjechał.

Jak się okazało, trafiłem bez pudła. Telefon zareagował.

– Kto tam? – usłyszałem podchmielony głos Busia.

– Poproś Inkę, sukinsynu – powiedziałem.

– Co? Co? Jak pan śmie? Kto jest sukinsyn? – rozległy się wołania w telefonie, najpierw Busia, potem Inki.

– Kto przy telefonie? – usłyszałem głos Inki.

– Mówi Sław – odrzekłem. – Witaj kurtyzано. Składam ci życzenia noworoczne.

– Posłuchaj, bydlaku – odparła Inka. – Jestem z Busiem i z nim już będę na zawsze. Jeśli się kiedykolwiek pokażesz, to tak ci mordę skuję, że ruski miesiąc popamiętasz – zapluła się Inka. – Zrozumiałeś, łobuzie? Ja ci dam wymyślać Busiowi od sukinsynów, a mnie od kurtyzan. Ja ci pokażę, ty parszywy draniu.

Rzuciłem słuchawkę i sięgnąłem do teczki po anonimy. Doszedłem do wniosku, że dalsze wyczekiwanie nie ma już sensu. Założyłem płaszcz i

ruszyłem ku wyjściu. W drzwiach przystanąłem jak wryty. Przede mną na korytarzu stała Arna.

– Ama! – zawołałem. – Co ty tu robisz? Dziewczyna roześmiała się wesoło.

– Kapitalne! Sam mnie tu przywiozłeś, a teraz się pytasz, co ja tu robię. Pozwolisz, że wejdę?

– Ależ proszę, wejdź – zaprosiłem Amę do gabinetu. Ama weszła, sięgnęła po koniak, napełniła dwa kieliszki i wzniosła toast: – Za pomyślność!

Wychyliłem kieliszek, po czym powiedziałem:

– Amo, wracaj do siebie. Tu jest szpital. Dostałbym upomnienie, gdyby nas ktoś zobaczył.

Ama wzruszyła lekko ramionami. Z jej twarzy nie znikał miły, serdeczny uśmiech.

– To nie jest zwykły szpital – odparła. – Tu są czubki. A ja nie jestem zwykłą dziewczyną, tylko kurwą-gruzinką, z gruzów. O co zatem chodzi?

Pomyślałem, że brakuje tu tylko Komposta i towarzyszki Rysi wraz z zetempowską trójką „Brygady Lekkiej Kawalerii”. Stary łobuz nie posiadałby się ze szczęścia, a wraz z nim jego kompani, że oto znienawidzony doktor Sierpski pije koniak z pacjentką zadzierającą szpitalną spódnicę po same uda! Skierowanie do KaKaZetu byłoby zbyt małą karą. Kompost sięgnąłby zapewne po sąd i ministerstwo zdrowia.

– Boisz się? – zapytała Ama. – Czy nie chcesz?

– Co masz na myśli, Amo? – zapytałem.

– To samo, co w gruzach – śmiała się Ama. – Ja jestem „gruzinką”, zapomniałeś?

Podciągnęła spódnicę ponad uda, odsłaniając podwiązki.

– No i jak? – zapytała. – Nie masz na mnie ochoty? Wciąż myślisz o tamtej?

Wypiłem jeszcze jeden kieliszek.

– Nie rozumiesz mnie, Arno – powiedziałem. Pokochałem Inkę po wariacku, szaleńczą, nieokiełznaną miłością. Nie potrafię nad sobą zapanować, boję się, że wkrótce nie będę umiał odpowiadać za siebie, za swoje czyny.

Ama zakryła nogi fartuchem.

– Aż tak źle z tobą? Wiesz – powiedziała po chwili. – Przed kilkoma laty zakochałam się bez pamięci w swoim koledze z kursów baletowych. Zwodził mnie i zwodził, aż kiedyś, kiedy oszalała z uczucia odwiedziłam go w domu, postawił warunek: jeśli chcę z nim być bliżej, to muszę się oddać jego czterem przyjaciołom. Zgodziłam się, a kiedy tych czterech mnie załatwiło, wtedy mi wyznał, że jest pedałem. Łyknęłam prochy, ale mnie odratowano. Wtedy ruszyłam w gruzy i stałam się „gruzinką”. Czyli – uśmiechnęła się z sarkazmem – jestem w jakiś sposób ofiarą miłości. Czy nie jest ci lżej, że nie tylko ty cierpisz?

Była tak ujmująca, tak bliska i serdeczna, a jednocześnie pociągająca, iż wstałem, wziąłem ją na ręce i zaniósłem do pobliskiej dyżurki. – Niech się dzieje, co chce – pomyślałem rozbierając Amę. – Będę ją kochał, choćby tu miało wtargnąć stu Kompostów...

* * *

Moje napięcie nerwowe wzmagало się z każdym dniem. Wyprowadzał mnie z równowagi fakt, iż nie miałem żadnej wiadomości od Inki, męczył

mnie coraz bardziej „mur”, jaki istniał między mną a pacjentami. Ten „mur” lub jak przedtem uważałem „szyba” istniejąca między nami doprowadzała mnie do rozpacz. Przeżywałem ten fakt tak silnie, iż zaobserwowałem występowanie pewnych objawów chorobowych, jakich nigdy przedtem u siebie nie stwierdziłem, a więc: skłonność do zniechęceń, depresji, bólów głowy oraz świądu w najprzeróżniejszych miejscach ciała. Najdokuczliwszy był świąd moszny. Dokuczliwy, zmuszający do drapania, orania pazurami naskórka aż do krwi. Początkowo próbowałem używać znanych mi maści antyświądowych. Na próżno. Zacząłem wędrówki po dermatologach. Nic nie pomagało. W końcu jeden z nich zaproponował dziegieć.

– Będzie śmierdziało – powiedział – ale nie mam już nic innego...

Spróbowałem. Pomogło. Ale zgodnie ze słowami dermatologa śmierdziało na kilometr. W szpitalu odsuwano się ode mnie, ordynator pytał, czy pobrudziłem smołą ubranie, pacjentki mówiły, że się nie myję, psycholożka, z którą dzieliłem gabinet, opuszczała go ostentacyjnie, kiedy stawałem w progu, ja zaś musiałem smarować moszną płynem dziegciowym nawet w trakcie pobytu w szpitalu! Było to piekielnie uciążliwe, powodowało, że miałem zły nastrój, stroniłem od swych kolegów nie mówiąc już o koleżankach. Moi bliscy zauważyli szybko, że jestem rozdrażniony i wybuchowy i źle sypiam, a ponadto również pytali, czy muszę używać jakichś obrzydliwych mazideł i co mi właściwie dokucza. W konsekwencji zaczęto mnie unikać.

Pewnego dnia zostałem zaproszony na dyskusję poświęconą zagadnieniu „miłości złotego kłosa”. Zebranie prowadzili jacyś dwaj wyjadacze: „znany” psycholog wraz ze „znanym” socjologiem. Obydwaj

prześcigali się w wypowiedaniu wyświechtanych komunałów, przy czym socjolog miał przewagę nad psychologiem, albowiem co chwila cytował jakieś nazwisko, zaś psycholog tokował o uświadamianiu, środkach antykoncepcyjnych oraz roli środków masowego przekazu w tworzeniu nowej roli seksu we współżyciu dwojga ludzi. Kiedy wreszcie skończyli, wstał elegancko ubrany, łysy właściciel potężnego brzuszka zwanego „walizeczką” i ciężko oddychając, zapytał:

– Proszę panów, dlaczego ludzie się śmieją, kiedy ktoś starszy się zakocha?

Pytanie wywołało wrzawę, śmiechy i krzyki, które uciszył prowadzący zebranie socjolog.

– Widzi pan – stwierdził – ludzie wciąż myślą niemądrze i stereotypowo, że miłość związana jest z wiekiem młodzieńczym i wstępowaniem w życie. A to nie jest tak. O regułach mówić tu nie wolno. Kto tak mówi, hołduje przesądom. Jeśli chodzi o mnie, jestem za tym, żeby się nie śmiać, kiedy starsi ludzie się kochają.

– Kochają czy zakochują – zapytał mężczyzna. – Proszę o precyzję w określeniach.

– I jedno, i drugie – odparł socjolog wyraźnie urażony zwróconą mu uwagą – zawsze jestem precyzyjny – dodał szybko.

– Nie jest pan precyzyjny – zareplikował ze stoickim spokojem mężczyzna. – Mówi pan: „I jedno, i drugie”, co dowodzi, że wcale nie jest pan pewien, jak to jest naprawdę, a ja chcę znać prawdę.

– Jaką prawdę? – zapytał wyraźnie zniecierpliwiony socjolog. Starszego mężczyznę nie można było zbić z pantałyku.

– Dlaczego człowiek starszy wiekiem – powtórzył pytanie – kiedy jest

zakochany budzi sprzeciw otoczenia?

– Czy pan się spotkał z takim sprzeciwem? – zapytał psycholog. – Napadł ktoś na pana? Krytykował? Wyśmiał? Dokuczył?

Pomyślałem, iż pytania socjologa oraz psychologa nie trafiają w sedno sprawy. Zapytałem:

– Proszę pana, ile ma lat pańska wybranka?

Mężczyzna zwrócił ku mnie wzrok. Jego oczy były duże, jasne, pełne smutku. Latały mu ręce, był rozdrażniony, wymagał pomocy.

– Ona ma – zawahał się przez moment. – Ona miała – poprawił się szybko. – Ona miała – powtórzył – osiemnaście lat...

– A ty sześćdziesiąt – pomyślałem – sytuacja książkowa. Wypisz, wymaluj z podręcznika psychiatrii. Ostatnia szansa. Próba odwrotu, skok po młodość, cofnięcie czasu. Cokolwiek by się na ten temat nie powiedziało, u podłoża każdej tego typu sytuacji leży lęk przed nieubłaganym końcem wszystkich życiowych możliwości, niedołęstwem, bocznym torem i odejściem.

– Czy sprawa trwa czy jest skończona? – zapytałem, ale starszy pan nie udzielił mi na to odpowiedzi, natomiast socjolog rzekł, iż problem jest trudny, bo ludzie wolą sprawy typowe, i stąd biorą się kłopoty. Psycholog skorzystał z okazji do ataku i zapytał natychmiast, co to znaczy typowe. Socjolog odrzekł, że takie pytanie może paść tylko z ust psychologa, na co ten zareplikował, że zadał pytanie tylko po to, aby socjolog zrozumiał, o co chodzi, po czym wywiązała się ogólna wymiana zdań, która spowodowała zamieszanie i w rezultacie przerwanie obrad. Wyszedłem na korytarz i tam dopadł mnie mężczyzna zabierający głos w sprawie zakochania, problemów miłosnych ludzi starszych.

– Czy pan jest lekarzem? – zapytał.

– Tak.

– Psychiatrą?

– Pracuję u czubków.

– Cudownie – ucieszył się mężczyzna. Nazywam się Juliusz. Czy pan mi pomoże?

– Jeśli będę mógł – odparłem ostrożnie. Pacjenci tego typu byli nieobliczalni. Żądali pomocy „realnej”. Jakichś zastrzyków, hormonów, wyciągów, Bóg wie czego, byle tylko przywrócić im możliwości fizyczne, byle tylko nie doszło do kompromitacji. – Każdy traci młodość – dodałem. – To fakt, którego nikt nie zmienia...

– To ja do pana przyjdę – zaproponował mężczyzna, wcale nie zrażony moim przemówieniem. – Wtedy pogadamy...

– Niech pan przyjdzie – wyraziłem zgodę i podałem mu adres przychodni przyszpitalnej. – Chętnie z panem porozmawiam.

Mężczyzna zgłosił się do przychodni następnego dnia, ale do gabinetu nie wszedł.

– Poczekam – oświadczył. – porozmawiamy po przyjęciach.

– Po przyjęciach idę na spacer – odparłem szorstko. – To mój jedyny odpoczynek.

– To ja pana odprowadzę – rzekł mężczyzna wcale nie zrażony moim tonem. – Nie będzie się pan nudził.

– Trudno się przy was nudzić – pomyślałem, następnie rzekłem: W porządku. Może mnie pan odprowadzić.

Wyszedłem z przychodni wyczerpany i bez humoru. – Tu jest zawsze beznadzieja – powiedział mi kiedyś jeden z kolegów, ja zaś byłem na tyle

naiwny, że podejrzewałem go o wyolbrzymianie sytuacji. Dziś zmordowali mnie chorzy z depresjami i tendencjami samobójczymi. Psychiatra nie może wypuścić z pola widzenia kogoś, kogo podejrzewa o ukryte tendencje samobójcze. Jest to jeden z najtrudniejszych problemów naszej praktyki, świadczący o niebywale zawilej strukturze chorób psychiatrycznych. Pacjent, którego przywieziono do mnie z interny na konsultację, uporczywie twierdził, że chce żyć i żyć będzie, ale było w jego zachowaniu coś, co zmuszało mnie do podejrzenia, że dysymuluje. Zaleciłem leki oraz szczególną opiekę, co sam zainteresowany przyjął z wyraźną dezaprobatą.

– Chorzy pana utrudzili? – przywołał mnie do rzeczywistości głos idącego przy mym boku mężczyzny. – Postaram się pana nie zmęczyć...

– Oby tak było – pomyślałem z przekąsem, głośno zaś powiedziałem. – Niech pan mówi, będę pana słuchał z uwagą.

Do mych uszu doleciał daleki warkot samolotu. Uniosłem głowę ku niebu. Było jasnoniebieskie, bez chmur, nieznana mi grupa ludzi zamknięta w srebrzystym pudle podążała gdzieś poza granice Polski, a może Europy. Nagłym skojarzeniem faktów przypomniało mi się jedno z ostatnich spotkań z moim ojcem. Wtedy niebo było równie niebieskie jak dziś i w sposób identyczny jak ten ponad nami, przecinał je srebrzysty punkt podążający do siebie tylko znanego celu. Mój ojciec mówił: Amerykanie nie chcieli wojny. Jedynie generał Patton przestrzegał, że lepiej uderzyć teraz, póki ma się przewagę, niż czekać aż Sowieci obrosną w siłę. Ale Eisenhower nie chciał go słuchać. Kowboje mieli dość wojny. Myśmy jednak czekali wierząc, że coś się zmieni.

– Że będzie trzecia wojna światowa? – zapytałem.

– Tak – odparł ojciec – że będzie trzecia wojna światowa i że ona przyniesie nam wolność. No i w czterdziestym szóstym marzenia się skończyły. Amerykanie kazali nam się przebrać w granatowe mundury, Anglicy przenieśli Andersa do Anglii i do cywila zarazem. To było następstwo Jałty. Tu sowiecka okupacja, tam won do roboty i żadnych marzeń. Wróciłem, ale mogą mnie w każdej chwili schwytać, trzech moich kumpli już zamordowali...

– Ona ma na imię Asia – rzekł nagle pacjent.

– Czy pan z nią żyje?

Mężczyzna przystanął. Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Co pan! Jak pan śmie!

– Idziemy! – powiedziałem. Zaczynałem się domyślać, na czym polegają prawdziwe kłopoty mojego rozmówcy. – Nie usiłował pan jej zdobyć?

– Panie doktorze – w oczach mężczyzny pojawiły się łzy. – Ja ją naprawdę kocham...

– Co za facet! – pomyślałem z nagłą niechęcią. – Kocha dziewczynę, a myśl o jej zdobyciu przyprawia go o łzy. Skup się – skorygowałem swoje odczucia. – I spójrz na niego! Naczynia na skroniach, jak węzły, ręce upstrzone brunatnymi plamami, głos chrapliwy, męczy się, przystaje, łapie powietrze ustami, jak wyrzucona na brzeg ryba, a ty się dziwisz jego reakcją?

– Przepraszam – powiedziałem. – Jestem zmęczony i dlatego moje pytania są nieprzemyślane.

– Rozumiem – odrzekł mężczyzna. – To moja wina, ponieważ nudzę pana po tak znojmym dniu...

– W porządku – odrzekłem, następnie zapytałem rzeczowo:

– Jakże ma pan kłopoty z Asią?

– Kłopoty? – powtórzył w zamyśleniu mężczyzna. – Czy to można nazwać kłopotami? Ona nie chce mnie znać. Śmieje się ze mnie. Pokazuje swym koleżankom i kolegom. Kiedy spaceruję pod jej oknami, rzucają we mnie kamieniami. Raz wezwali milicję...

„W kółko to samo – pomyślałem spoglądając na płaczącego mężczyznę. – Facet stworzył sobie mit powrotu do wielkiej miłości i nic go od niej nie odciągnie. Ale zanim dozna nieuchronnej klęski, będzie narażony na niezliczoną ilość upokorzeń, złośliwości i kompromitacji, nie wykluczając kłopotów i kar w miejscu pracy, łącznie z wyrzuceniem”.

– Panie Juliuszu – powiedziałem. – Mam dla pana propozycję. Jeśli pan ją przyjmie, będziemy współdziałali, jeśli nie, nie będę panu pomagał.

– Jakaż to propozycja? – zapytał z niepokojem w głosie mężczyzna.

– Obieca mi pan, że nie zrobi pan żadnego kroku bez porozumienia ze mną.

– Nie rozumiem – zdumiał się pacjent. – O jakim kroku pan myśli?

– O każdym. O każdej próbie umówienia się z Asią, napisania listu, wyjścia pod okna. Czy pan się zgadza?

Mężczyzna długo milczał, zastanawiał się, zbierał myśli, wreszcie powiedział z wahaniem:

– Cóż. Nie mam wyboru. Zgadzam się.

– W porządku – odrzekłem. – Czekam na pana pojutrze. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – odpowiedział pan Juliusz i mocno uściskał moją dłoń.

Pod koniec lutego wezwał mnie do siebie dyrektor szpitala. Nie byłoby w tym nic dziwnego, albowiem dyrektor przeprowadzał ze wszystkimi rozmowy „rozpoznawcze”, w czasie których wypytywał o szkolenie, staże, urlopy i terminy egzaminów, ale w moim przypadku chodziło mu o coś innego. O zapach. Dyrektor zapytał wręcz:

– Panie doktorze, śmierdzi pan dziegiem. Dlaczego? Odpowiedziałem szczerze, co używam i dlaczego. Dyrektor pokiwał głową i zapytał, czy chorowałem kiedyś na choroby alergiczne i czy mam skłonności do uczuleń. Odpowiedziałem, że nie. Wtedy dyrektor rzekł:

– Powiem panu, co mnie tu przed laty doprowadzało do rozpacz. – Dyrektor zapalił papierosa, zaciągnął się dymem, spojrzął w okno, potem na regał i znajdującą na nim skrytkę z alkoholem. – Ach, koniaczek – wykrzyknął. – Nie ma zwierzeń bez koniaczku. – Zerwał się, postawił na stoliku dwa kieliszki, wydobył ze skrytki Martella, nalał do obu, wręczył mi jeden i rzekł: – A teraz ad rem. Kiedy byłem w wieku pana, denerwowało mnie tu wszystko: starcze depresje i psychozy maniakalno-depresyjne, koszarne urojenia psychotyków, zapaprane kałem koszule i bełkot schizofreników. A nade wszystko ten chód po omacku i bez oparcia, atmosfera napięcia i wszechogarniającego niepokoju – dyrektor ujął w dłonie kieliszek, podsunął sobie pod nos, nabrał kilkakrotnie powietrza, mruknął: – cudowny zapach, wspaniały bukiet – następnie dokończył podjętą uprzednio myśl – to wszystko było nie do zaakceptowania. W pana wypadku wiem, że musi pan być tutaj rok. Wiem, że gdyby nie decyzja komisji uciekłby pan, gdzie pieprz rośnie, ale póki co, trzeba wytrzymać. A wytrzymać można tylko wtedy, kiedy się potraktuje te wszystkie okropieństwa, jako objawy choroby. Strasznej, nieznannej, której pokonać

jeszcze nie umiemy, a z której objawami właśnie mamy do czynienia na co dzień. Kiedy pan to zrozumie, zdoła pan zaakceptować szpital. Świąd minie wówczas bez śladu.

Zapadło milczenie. Od strony podwórka dolatywały odgłosy kłótni. Kłóciło się dwóch pacjentów, przy czym jeden używał słów wyszukanych, grzecznych i uprzejmych, drugi maksymalnie wulgarnych i rysztokowych. Potem zawarczał motor, rozległ się piskliwy głos mężczyzny grzecznego i uprzejmego, potem zapadła cisza. Spojrzałem na dyrektora. Sącył koniak rozkoszując się jego smakiem i milczał. Spodziewałem się pytania o moje odczucia na oddziale psychiatrycznym, ale zamiast niego usłyszałem następujące słowa:

– Panie doktorze, od marca przejdzie pan na dwójkę.

– Na dwójkę? – powtórzyłem ze zdziwieniem. Oddział drugi nosił miano eksperymentalnego, głównie ze względu na większe upodobanie jego ordynatora do psychoterapii, niżli do wstrząsów. Mieścili się w nim głównie nerwicowcy, psychopaci i zбочeńcy, aczkolwiek o tych ostatnich nie wolno było wspominać, jako że w ustroju – budowanym takim wysiłkiem – szczęśliwości społecznej, nie mogło być ani zбочeńców, ani psychopatów, ani w ogóle zaburzeń psychicznych.

– Bardzo dziękuję – odrzekłem – wiele o tym oddziale słyszałem.

– W porządku – rzekł dyrektor. – Tośmy się dogadali. Na zdrowie.

– Na zdrowie – odparłem, wychylając kieliszek. Poczulem ciepło w żołądku, a wkrótce potem w całym ciele. Było to ciepło życiodajne. Czulem, że się wynurzam z toni złych myśli i niedobrego nastroju...

* * *

Pewnego dnia wpadł do mego gabinetu Ludwik. Był rozdygotany, jego źrenice były szerokie i nieruchome, jak po przedawkowaniu atropiny.

– Panie doktorze! – krzyknął. – Proszę mi pomóc! Powieszę się, jeśli mi pan nie pomoże! W głosie Ludwika było tyle rozpacz i napięcia, że skoczyłem na równe nogi.

– Wpadł pan? – zapytałem. – Chwycili pana? Ludwik uśmiechnął się z sarkazmem.

– Pan zawsze swoje: wpadł pan? Chwycili pana? A ja żyję pod strachem Boga. W każdej chwili mogę wpaść i w każdym momencie mogą mnie chwycić. – Na jego policzkach pojawiły się krople potu, a w chwilę później spływały strużkami na dygocącą szczękę, aby zginąć w fałdach ni to chusty, ni to szalika, którą pacjent owinął szyję. – Czy pan wie, gdzie byłem? Gdzie spędziłem noc? Nie zgadnie pan, ba, na myśl to panu nie przyjdzie – zaczerpnął tchu i otarł rękawem czoło.

– Byłem na dachu. Zamarzłbym, gdyby był mróz – dodał, po czym siadł ciężko na krześle i zaczął płakać.

„To dobrze – pomyślałem – uspokoi się i odpręży i wtedy pogadamy”.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Muszę się odświeżyć i przebrać. Jestem po nocnym dyżurze. – Potem pogadamy. Poszedłem do łazienki, gdzie wziąłem prysznic, potem założyłem spodnie i koszulę, następnie powróciłem do pacjenta.

Było tak jak przypuszczałem, nie płakał, nie histeryzował, siedział osowiały, apatyczny, z opuszczoną głową, wpatrzony w czubki butów. Poczęstowałem go kawą, podałem bułkę z masłem, a kiedy się posilił, powiedziałem:

– Wspomniał pan o dachu. O jaki dach chodziło?

– Dach internatu dla dziewcząt – odparł spokojnie pacjent.

– A ściślej: przybudówki do skrzydła budynku, w którym znajdowały się prysznice.

Uśmiechnąłem się. Pomysłowość pacjentów przechodziła wszelkie granice wyobraźni.

– Wszedłem tam wieczorem – mówił tymczasem Ludwik – przesiedziałem pomiędzy kominami do jedenastej, potem stróż wyszedł z psem, zamknął włącz, przez który się dostałem i w taki sposób musiałem tam zostać do rana. O szóstej cięć otworzył włącz, więc wyszedłem z budynku bez trudu, potem wdrapałem się na płot, ale nim zdołałem go przeskoczyć, dopadł mnie pies i pogryzł kostkę. Ale na tym nie koniec. Ujadanie wilczura obudziło dziewczyny, które stanęły w oknach i śmiejąc się ze mnie i wyzywając, zaczęły rzucać we mnie pecynami błota i śniegu. I chichotały – usta pacjenta znów zaczęły drgać. – Czy pan wie, że ja ten chichot wciąż słyszę? Że on mi rozsadza uszy? Tłucze się po czaszce? – Ludwik znów zaczął płakać, w związku z czym postanowiłem zmienić temat.

– Co z nogą? – zapytałem. – Powiedział pan przed chwilą, że pies pogryzł panu nogę. – Byłem w pogotowiu – odrzekł pacjent. – Noga jest w porządku. Jak długo mam czekać? – Podniósł nagle głos. – Czy pan jest lekarzem, czy pan nim nie jest?

– To już lepiej – odrzekłem. – Lepsza złość niż płacz. Lepszy krzyk niż biadolenie. Po każdej wpadce przybiega pan do mnie, krzyczy, wyzywa, prosi, grozi, żąda i zawsze ma pan pretensje. A ja bym sytuację odwrócił: dlaczego pan ma mieć pretensje do mnie, a nie ja do pana? Dlaczego pan podnosi głos, a nie ja? Pan musi wreszcie zrozumieć – na ostatnie słowa

położyłem nacisk – musi pan to zrozumieć – powtórzyłem niemal krzyżąc – że wszystko zależy od pana, że musi pan się opanować, musi pan zrozumieć, że tak, jak człowiek zakochany w dziewczynie nie rzuca się na oczach innych ludzi na swą wybrankę, aby ją zdobyć, lecz działa spokojnie, bez uniesień, ewolucyjnie, krok po kroku, tak i pan nie może się poddawać napadom popędu, bo ten popęd pana zabije. Czy wyrażam się jasno? – zapytałem. – Czy mam zacząć od początku? – Zamilkłem i spojrzałem przez okno.

Pośrodku klombu stała Iza i tak jak pierwszego dnia mego pobytu w tym szpitalu, zdejmowała z siebie okrycie. Dzień był ciepły, nie było mrozu, ale płatki śniegu leżały na trawnikach, zaś na ścieżkach połyskiwał lód. Ludwik podniósł się i przyglądał się Izie z wyraźną lubością. Wstałem i ruszyłem do pokoju pielęgniarzy. Zanim zdołałem tam dotrzeć, Iza zdążyła się rozebrać i odtańczyć swój rytualny taniec. W końcu wystraszył ją doktor Jaśkiewicz, który wypadł z oddziału z pielęgniarką. Wróciłem do gabinetu.

– Tak to jest – rzekł pacjent. – Ja obnażam się po parkach, a ona pośrodku szpitala.

– Tyle, że pan jeszcze chodzi po mieście, a ona tu siedzi ponad rok – powiedziałem. – Chce pan dzielić jej los?

Pacjent wrócił na swoje miejsce i popadł w zamyślenie.

– Chciałbym panu coś wyznać – rzekł nagle. – Ale zanim to uczynię, chciałbym panu coś zaproponować.

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, ja zaś skinąłem głową przyzwalająco.

– Proszę – rzekłem. – Co chce mi pan zaproponować? Nagle ujrzałem

Inkę nagą w malwach, na opuszczonej farmie na Mazurach. Chciałem ją sfotografować, niestety, nie pozwoliła. Potem kąpaliśmy się w pobliskim jeziorze. Było beztrosko, radośnie. Dlaczego to minęło, dlaczego musiało minąć?

– Panie doktorze – dotarł do mej świadomości głos pacjenta. – Czy pan wciąż myśli o niej?

– O niej? – powtórzyłem półprzytomnie. – O kim pan mówi? O Ince?

– Tak – potwierdził pacjent. O Ince.

Oprzytomniałem. Zdałem sobie nagle sprawę, że mój pacjent, którego nie dopuszczałem nigdy do moich spraw osobistych, wszczyna rozmowę na temat najbardziej mi bliski i intymny zarazem.

– Co panu przyszło do głowy? – zapytałem. – Kto pana upoważnił do zadawania mi takich pytań?

Pacjent uśmiechnął się lekko.

– Sam siebie upoważniłem – odrzekł. – Nie mogło być inaczej. Pan wie o mnie wszystko, chce mi pan pomóc, to i ja pomyślałem, że musi być tak samo i z mojej strony: muszę o panu wiedzieć więcej niż wiem i pomóc panu, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Patrzyłem na pacjenta ze zdumieniem: czego, jak czego, ale takiej sytuacji nie spodziewałbym się nigdy.

– Czy pan mnie szpiegował? – zapytałem.

– Trochę – wyznał pacjent. – ostatnio więcej niż kiedykolwiek, bo ta suka panu dokuczyła.

– Pan ją zna?

– Tak.

– Skąd?

– Nieważne. Powtarzam: pragnę panu pomóc. Sytuacja stawała się coraz ciekawsza.

– Jak? – zapytałem. – W jaki sposób?

– To zależy od pana – odparł pacjent. – Pan tu decyduje. Pacjent miał minę spokojną i poważną. Ktoś, kto w taki sposób deklaruje swoją chęć pomocy, na pewno nie myśli o wzajemnych zwierzeniach. Nie! Tu chodziło o coś więcej. To „coś” musiało mieścić się w takich obszarach, jak szantaż, pobicie, ba, może nawet... Nie dokończyłem swych rozważań. Ponownie ujrzałem przed sobą Inkę: jej oczy, twarz, piersi, wzgórek łonowy z czarnym trójkątem, cudowne zagłębienie znajdujące się poniżej. Nie, nigdy bym się nie odważył na jakikolwiek krok odwetu, który naraziłby Inkę na przykrości, nie mówiąc już o dolegliwościach cielesnych.

– Nie chciałem sprawić jej przykrości – powiedziałem ostrożnie, przypatrując się z uwagą reakcji jego twarzy. Nadal usiłowałem zorientować się, czego pragnie i do czego zmierza. – Żadnych – dodałem. – Nie wolno mścić się na kobiecie za to, że nie potrafi kochać.

– Ona nie potrzebuje nikogo – rzekł pacjent z nagłym ożywieniem. – Na wzajemności też jej nie zależy. Ona nie potrafi kochać. U niej liczy się tylko seks. To podła kreatura.

Zapamiętałość pacjenta, ostrość jego wypowiedzi spowodowały, iż zacząłem go podejrzewać o znajomość Inki.

– Panie Ludwiku – zapytałem. – Czy pan ją znał? Pacjent lekko pobleadł.

– Tak – odparł niepewnie. – Trochę...

– Kiedy pan ją poznał? – zagadnąłem. Nie chciałem zbyt ostro

napierać, aby go nie spłoszyć. – W szpitalu? W przychodni? U znajomych? U kolegów? Koleżanek?

Pacjent uśmiechnął się bezradnie.

– Pyta pan w taki sposób, jak gdyby mnie pan nie znał – odparł z nutą sarkazmu. – Nie mam kolegów, nie mam koleżanek. Bywam tylko w Oleandrach – dodał. – Sam pan wie, kto tam bywa.

– Czy to oznacza – zapytałem – że poznał pan Inkę w Oleandrach?

Pacjent milczał przez dłuższy moment.

– To nie było w Oleandrach – rzekł wreszcie, spoglądając gdzieś ponad moją głowę. – To było nie opodal Oleandrów, na plaży.

– Pacjent westchnął, wydało mi się, że wraca pamięcią do tego momentu i delektuje się wspomnieniami z owego okresu.

– To było tak: Inka przebierała się do kąpieli, ja zaś dostrzegłszy ją, natychmiast ruszyłem na podgląd. I oto, co się stało. Inka spostrzegła, że ja podglądam i zamiast odwrócić się, dokończyć przebieranie i uciec, zrobiła coś wręcz odwrotnego. Zaczęła ubierać się i rozbierać, rozwierać uda, pokazywać ich wnętrza, namaszczać kremem, rozcierać je, wypinać pośladki, nachylając się tak, abym mógł dostrzec wszystko. I wtedy już bez żadnej żenady podszedłem do niej i zacząłem robić to samo. W końcu doszło do tego, iż zaczęliśmy robić to sobie nawzajem – pacjent chwycił ustami powietrze, jego oczy były szeroko otwarte, zwilżał językiem wargi. Był podniecony, spoglądał w kierunku drzwi, czułem, że najchętniej wyskoczyłby z mojego gabinetu na ulicę, wsiadł w taksówkę i kazał się podwieźć do Inki, aby tam ulżyć swemu spotęgowanemu przez treść wspomnień, wzmagającemu się popędowi.

– Czy opuściliście plażę razem? – zapytałem, pragnąc ostudzić jego

rozdygotaną wyobraźnię. – Czy spotykaliście się później u niej? U pana?

Pacjent drgnął i zamrugął powiekami, jak obudzony z głębokiego snu. Przez dłuższą chwilę zbierał myśli, wreszcie wykrzyknął:

– Panie doktorze! Proszę mi wybaczyć! Jestem wobec pana świnia, najpodlejszą, najobrzydliwszą świnia, draniem, łobuzem, podłym niewdzięcznikiem. – Pacjent upadł na kolana i zaczął całować moje buty. – Panie doktorze! – Jął wołać. – Nie wiem, jak wyrazić swój żal i jak prosić pana o wybaczenie. Bo ja, widzi pan – głos pacjenta załamał się, a w jego oczach pojawiły się łzy – ja się z nią potem spotykałem. U niej. Wtedy, kiedy pan u niej bywał. Stałem za kotarą. Ona oddawała się panu, a jednocześnie przypatrywała się mnie. Musiała widzieć, że ja się waszej miłości przyglądam. Potem rozwierała nogi, abym mógł ją po akcie miłosnym obejrzeć. A ja spełniałem jej polecenia, bo sprawiało mi to przyjemność, bo na jakiś czas odtrącało mnie od mojego zboczenia. Panie doktorze – zawołał jękliwie – czy ta suka nie zasługuje na śmierć?

Przez długi moment zbierałem myśli. Pomyślałem po raz nie wiedzieć który, iż dostałem się w obręb jakiegoś diabelskiego kręgu, który niczym wir wciąga mnie do przedsionka piekieł, a wciągając otacza ludźmi najgorszego autoramentu, wyzutych z jakichkolwiek zasad i pozbawionych wstydu, odpadami z marginesu, złoczyńcami i zboczeńcami bez zasad i hamulców Taka jest psychiatria – pomyślałem – przeklęty szpital, jego prawa i właściwości, jego atmosfera i klienci. Czym Inka różniła się od nich, czym ich przewyższała i jakie posiadała prawa do paradowania wśród ludzi normalnych? Oczyma wyobraźni ujrzałem Inkę spozierającą w kierunku kotary i ogarnęła mnie duszność, a zaraz potem zaczął dokuczać świąd podbrzusza. Dałem znak ręką pacjentowi, żeby

odszedł.

– A widzi pan – rzekł pacjent, wstając – wiedziałem, że się zrozumiemy. Ja cierpię, pan cierpi, a takie ścierwo żyje. Ja panu pomogę, pan mi pomoże – zawiesił głos, obrzucając mnie baczny spojrzeniem – będziemy współpracować...

– Niech pan już wyjdzie! – krzyknąłem, walcząc z dusznością i z trudem opanowując kaszel. – Niech pan stąd wyjdzie!

– W porządku – odparł pacjent, zmierzając ku wyjściu. – Umowa stoi: ja pomagam panu, pan pomaga mnie. Nie może być inaczej – dodał w drzwiach. – Cześć!

Nagle cofnął się i zawołał!

– Panie doktorze! Wysłałem anonim do Busiowej i do jej pijaczka. Na razie Busia nie ma w Polsce, ale jak wróci będzie bal! Suka wreszcie dostanie za swoje, że hej!

Pacjent jeszcze raz powtórzył: – Cześć! – i zniknął na korytarzu.

* * *

I znów minęło kilka dni. Inka milczała, co świadczyło o całkowitym fiasku anonimowej akcji. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu pani Ula, która dostarczała mi pełnego zestawu informacji o wspólnych wyjazdach Busia i Inki, „bywaniu” u znajomych, uczęszczaniu do teatrów i Filharmonii. Moje samopoczucie pogarszało się z dnia na dzień. Zażywałem środki uspokajające, stawałem pod prysznicem, puszczając wodę na przemian raz zimną, raz gorącą, chodziłem na długie spacery.

Pewnego ranka zatelefonowała do mnie Inka.

– Muszę się zaraz z tobą zobaczyć – powiedziała. – Sprawa pilna!

– Jakaż to sprawa? – zapytałem. – Mówiłaś niedawno, że żadnych spraw między nami nie ma i nie będzie.

Zemsta jest rozkoszą bogów – pomyślałem jednocześnie. – Nie ja wymyśliłem te mądre i powstałe z dobrej znajomości natury ludzkiej słowa. Wiedziałem, że chodzi o anonimy: żadna inna kwestia nie wywołałaby takiej reakcji u mojej dawnej kochanki.

– Sław! – krzyknęła Inka. – To problem wielkiej wagi! Nie żartuj! Było w jej głosie coś, co mnie zmitygowało.

– W porządku – powiedziałem. – Będę o czwartej w „Narożnej”.

Kawiarnia „Narożna” znajdowała się w centrum Warszawy, w pobliżu skrzyżowania Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Większość stolików okupowana była przez mężczyzn szepczących coś sobie na ucho, obliczających na kartkach jakieś rachunki i wręczających ukradkiem pakunki z pieniędzmi. Sądząc po minach, znali się wszyscy znakomicie.

Inka przyszła punktualnie. Miała na sobie szary kostium, ciemne okulary oraz wielką, srebrną bransoletę.

– Witaj! – powiedziałem.

– Witaj! – odparła szybko Inka, następnie zapaliła papierosa, zaciągnęła się i rzekła: – Jakiś łajdak pisze anonimy.

Podeszła kelnerka, zamówiłem wino, kawę i ciastka.

– Do ciebie? – zapytałem.

– Do mojego męża i do żony Busia, bałwanie! – Inka podniosła głos, jej oczy pociemniały. – Jeśli będziesz strugał wariata, dam ci tu, zaraz, przy wszystkich po mordzie!

Łyknąłem wino i przez moment słuchałem dobiegającej z radia orkiestry Jana Cajmera, usiłującej grać jazz. Nic biedakowi nie

wychodziło. Być może nie była to jego wina, ponieważ jazz był oficjalnie potępiany i wszelkie łączenie go z oberkami i polkami stwarzało mieszankę nie do zaakceptowania.

– Czy ty o tej sprawie nic nie wiesz? – usłyszałem głos Inki.

– Dlaczego milczysz?

Pomyślałem, że kobieca intuicja nie ma sobie równej. Inka trafiła w dziesiątkę. Ale żeby oskarżyć mnie, musiała mieć dowody; tych zaś na szczęście nie miała.

– Czy sądzisz – zapytałem – że ów łajdak, jak to określiłaś przed chwilą, konsultował ze mną swoje posunięcia?

– Myślę, że jesteś do tego zdolny – powiedziała bez wahania Inka.

– I dlatego rozmawiam z tobą.

– A ja myślę – odparłem po namyśle – że byłoby dobrze, gdybyś mi wszystko wyjaśniła...

Przypomniała mi się wycieczka do Kazunia. Skręciliśmy przed mostem nad Narwią w lewo, zjechaliśmy na asfaltową szosę, po bokach wznosiły się sosnowe zagajniki. Był upał, na błękitnym niebie ani jednej chmurki i lepki zapach żywicy w powietrzu.

– Stań – rzekła nagle Inka. Skręciliśmy w boczny dukt, wysiedliśmy, Inka wybrała miejsce i zaczęła się rozbierać. Potem stanęła naga wśród kłujących sosen, a ja ułożyłem ją na wrzosach i wziąłem ją, wdychając zapach żywicy, przemieszany z wonią wrzosów.

– Co mam ci wyjaśnić? – Inka znów podniosła głos. Jakieś panie siedzące obok zaczęły nam się przyglądać i coś do siebie szeptać. Kelnerka podeszła i zapytała, czy ma coś podać. Zaprzeczyłem ruchem głowy, wobec tego odeszła.

– Chodzi ci o Busia? Już ci mówiłam, co o nim sędzę. To kryształowy człowiek. Jestem nim zauroczona! Daleko ci do niego. Do pięt mu nie dorastasz – syczała. – Ba! Żeby do pięt! Jesteś przy nim – szukała jakiegoś poniżającego słowa, a że nie mogła takiego znaleźć, siedziała w milczeniu z wypiekami na policzkach. – Jesteś – powtórzyła – zerem! Zwykłym zerem! Tak! – podchwyciła. – Zerem! Tylko zerem!

Wstałem.

– Zapłać za wino i kawę – powiedziałem i nachylając się nad jej głową, szepnąłem. – Z pożyczki od Busia. Na pewno dzieli się z tobą tak, jak ja, po bratersku...

Wspomniałem o „pożyczce” od Busia celowo i złośliwie. Inka stale „pożyczała” ode mnie różne kwoty, nigdy ich potem nie zwracając. Powstał w końcu między nami taki układ, że albo sama prosiła o pożyczkę, albo ja pytałem, czyjej coś potrzeba i że mogę podzielić się z nią „po bratersku” tym, co mam. A ponieważ byliśmy „razem”, uważała taką sytuację za prawidłową.

* * *

Po przyjęciu pacjentów przywiezionych karetkami mogłem trochę odetchnąć. Zawsze tak było, chorych przywożono grupowo, lub, jak mówił ordynator stadnie, potem przez dwie lub trzy godziny trwała niczym nie zmacona cisza. Zajrzałem do gazet, wysłuchałem dziennika radiowego, ale myśl o Ince nie pozwalała mi na skupienie. Przymknąłem powieki i znów znalazłem się pod Brwinowem, pośród wysokich paproci. Było ich mnóstwo, istny zagajnik, chroniący parę kochanków przed oczyma osób postronnych. Leżałem na ziemi, na plecach, na mnie

siedziała okrakiem Inka. Lubiła taką pozycję. Pieściłem jej piersi, unosząc rytmicznie uda, wbijając się w nią od dołu, czując jej ciasne, sprężyste wnętrze. Kiedy zaczynała szybko oddychać i wciskać swą twarz pomiędzy moją głowę i bark, spoglądałem przez korony paproci w niebo. Było pastelowe, jak oczy Inki, pamiętam, iż marzyłem o tym, aby nasze zespolenie trwało wiecznie. Byłem szczęśliwy.

– Panie doktorze – obudził mnie nagły okrzyk dyżurnej pielęgniarki. – Przywieźli ranną! Skoczyłem na równe nogi i pobiegłem do ambulatorium. Jakież było moje zdumienie i przerażenie zarazem, kiedy zobaczyłem, iż opuchniętą na twarzy, pokrwawioną i trzymającą się za lewy bark dziewczyną była... Inka!

– Boże! – zawołałem. – Co się stało?

– Boli! – jęknęła Inka. – Boli!

Pracowaliśmy z dyżurną pielęgniarką w sposób zgodny i szybki. Ona obmywała twarz Inki, ja założyłem opatrunki. Potem obejrzałem ramię. Inka zawyła z bólu, kiedy dotknąłem punktu, w którym mieścił się tak zwany „splot barkowy”, siedlisko nerwów rozchodzących się w kierunku najbliższych okolic ciała.

– Siostro! – zawołałem. – Pyralgina!

Pielęgniarka sprawnie wykonała zastrzyk, ale pyralgina ulgi Ince nie przyniosła. Zaczęliśmy szukać mocniejszego środka przeciwbólowego, niestety, niczego innego poza morfiną nie posiadaliśmy. Zacząłem telefonować po sąsiednich oddziałach, wszystko na próżno. Wtedy zawołałem: – Siostro! Morfina! – I Inka otrzymała pierwszy zastrzyk narkotyku.

Po iniekcji ból minął w tempie błyskawicznym. Inka przestała płakać.

– Co się stało? – powtórzyłem, widząc że Inka dochodzi do siebie. – Kto cię tak urządził?

– Ty – stwierdziła krótko Inka. – Ty – powtórzyła i zaraz dodała. – Za pomocą Busiowej. Jej rękoma.

– Użyłem hipnozy? – zapytałem.

– Nie – odparła spokojnie Inka. – Użyłeś anonimów. Żeby ci to udowodnić, muszę znaleźć osobę, która ci pomogła. Ta osoba gdzieś tu jest – mówiła powoli Inka, wpatrując mi się w oczy – sprzyja ci, lubi cię, chce ci pomóc. Może jedna z lekarek? Może zadurzona pielęgniarka? Ogłupiała pacjentka?

– Przestań Inko – zawołałem. – Dość! Tak nie wolno!

– Znam cię – powiedziała spokojnie Inka. – I wiem, że to ty. Nikt inny, tylko ty. Nikt inny nie wpadłby na taki pomysł i nikt nie ścigałby mnie tak zapamiętale. Urodziłeś się pod znakiem skorpiona i działasz jak skorpion. Powiedz szczerze i z ręką na sercu: czy nie odczuwasz satysfakcji z sytuacji w jakiej się znalazłam?

– Tak – przyznałem. – Skłamałbym, gdybym odpowiedział nie. Ale to „nie” trzeba rozpatrywać w kontekście moich uczuć do ciebie.

– Zatem miałam rację – rzekła Inka. – Komu innemu zależałoby na tak wielkim upokorzeniu mojej osoby, jeśli nie temu, który tak zaborczo kocha?

Było w jej głosie tyle bezradności i żalu, iż ogarnęła mnie ochota, aby wyznać jej wszystko, opowiedzieć, jak szukałem osoby, która potrafiłaby mi pomóc i że wreszcie stała się nią pacjentka, leżąca w sąsiednim pawilonie, schizofreniczka, oraz że żałuję tego, co zrobiłem i proszę ją o wybaczenie. Aby temu zapobiec, rzekłem:

– Zejdź do mnie, porozmawiamy...

Mówiąc: zejdź do mnie, miałem na myśli pokój szpitalny. Inka zgodziła się i wyszliśmy z gabinetu.

Nasza późniejsza rozmowa trwała kilka godzin. Inka zwierzała mi się, opowiadała o zajściu z Busiową w sposób niebywale dokładny, tak dokładny, że chwilami przechodzący w ekshibicjonizm. Kiedy zastanawiałem się później, co leżało u podstaw tak żywiołowej szczerości, nieodparcie nasuwała mi się myśl, że była to – poza koniecznością katharsis, jaka towarzyszy tak wielkim przeżyciom, jakie miały miejsca w życiu Inki, jeszcze jedna komponenta. Była nią chęć wydobycia ze mnie prawdy: jaki był mój udział w aferze z Busiową i kto pomógł mi w wysłaniu anonimu.

Z Busiową zaś było tak: Inka umówiła się z Busiem w kawiarni „Złoty Zefir” obok jego przychodni, skąd Busio miał ją zabrać na chatę, do mieszkania przyjaciela. Siedziała zatem w „Złotym Zefirze”, sączyła kawę, słuchała muzyki i tak minęła godzina. Busio nie nadchodził. Podeszła do kelnerki, uiściła rachunek i wyszła. Dość szybko znalazła się pod przychodnią, odnalazła wóz Busia i zaczęła w jego pobliżu spacerować. Zapadł już mrok, było mgliście i mokro. Spojrzała na zegarek, sięgnęła po papierosa, w tym samym momencie ktoś wyrwał jej torebkę i uderzył nią w twarz Inki. Uderzenie nie było mocne, ale tak zaskakujące i nieoczekiwane, że straciła na dłuższy moment poczucie rzeczywistości. Kiedy wreszcie doszła do siebie, dostrzegła przed sobą... żonę Busia. Stała przed Inką z twarzą pałającą nienawiścią i gniewem, miotającą przekleństwa, tak przerażające i niebezpieczne, że Inka odwróciła się i zaczęła uciekać. Biegła przed siebie ile sił, aż wreszcie

wyczerpana stanęła, obejrzała się i znów ujrzała przed sobą straszliwą prześladowczynię. Wyraźnie ochłonęła, była spokojna, opanowana, na jej twarzy malował się wyraz satysfakcji.

– Chodź – rzekła. – Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Dobrze – odparła Inka. – Ale najpierw przeprosisz mnie za policzek.

– Nie będę cię przepraszała – odparła Busiowa. – Ponieważ jesteś kurwa.

– Jak śmiesz! – zawołała Inka. – Najpierw mnie bijesz, a potem obrażasz?

– Chodź – powiedziała Busiowa. – Musimy porozmawiać. I ruszyliśmy – kontynuowała swą opowieść Inka. – Nie, nie zaszliśmy do kawiarni. Nie mogłybyśmy ani wypić wina, ani kawy. Szliśmy obok siebie ulicami, w kierunku pobliskiego parku.

– Jesteś kochanką Busia – mówiła Busiowa. – Nie zaprzeczaj, wiem, że tak jest i wiem od kiedy. I wiem, jakieś to zorganizowała. Dostałam anonimy, zaś Busio je potwierdził. Ale mojego Busia nie dostaniesz. Żyję z nim trzydzieści lat, znam jego zalety i wady, wiem, czym żyje, co lubi i jakie ma ambicje, jak bardzo jest uczciwym człowiekiem, nie tak, jak ty, zdziro, i dlatego szkoda go dla ciebie i ja nigdy nie dopuszczę do rozbicia małżeństwa i odejścia Busia ode mnie i od dzieci. Zrozumiałaś?

Stanęłyśmy przed skrzyżowaniem, w pewnej chwili minął nas wartburg, prowadzący go mężczyzna opuścił głowę, wydawało mi się, że to był Busio, ale nie dałam znać po sobie, że go widzę. Minęłyśmy skrzyżowanie i wtedy powiedziałam:

– Zrozumiałam. A teraz ty posłuchaj, co ja ci powiem: nie wszystko układa się według schematu: małżeństwo, dzieci, rodzina, nienaruszalna

wież, i tym podobne ple, ple, ple. Tak nie jest. Świat jest bardziej skomplikowany niż ci się wydaje. W naszym przypadku jest tak, że ja kocham Busia, jestem nim zafascynowana, on kocha mnie i chce się ze mną ożenić. Łączy nas miłość, rozumiesz? A to nie to samo, co przywiązanie. I co na to poradzisz? Nic. Wtedy Busiowa zapytała: – „Więc nie odejdziesz?” – Na co ja odrzekłam, że nie. I wtedy chwyciła za kawał deski i zaczęła mnie tłuc, gdzie popadnie. Najsilniej po twarzy i głowie oraz rękach, którymi się zasłaniałam. W pewnej chwili Busiowa rąbnęła mnie w to okropne miejsce. Upadłam, ona zaś odrzuciła deskę, splunęła i rzekła ochryplym, groźnym głosem: – „Jeśli cię kiedyś z nim zobaczę, zabiję!” Potem odeszła, ja zaś wstałam, zaczęłam wzywać pomoc i wtedy wezwano pogotowie...

– I przyjechałaś do mnie...

– I przywieziono mnie do ciebie.

– Sama chciałaś, żeby cię tu przywieziono.

– Fakt – potwierdziła Inka, płacząc. – Ofiara ciągnie do kata. Przecież to tyją na mnie napuściłeś...

Pomyślałem, że kropla alkoholu dobrze by jej zrobiła i zajrzałem do ukrytego barku dyrektora. Jakież było moje zdziwienie, kiedy ujrzałem tam butelkę tokaju. Autentycznego, przywiezionego z Węgier, królewskiego płynu. Domyśliłem się po chwili, skąd taka butelka tu się znalazła. Był to prezent dla dyrektora od stażystki, która niedawno wróciła z Budapesztu. To, co zrobiłem, nie było zbyt piękne, ale jak uważałem, konieczne. Tokaj bowiem miał w naszych wspomnieniach z Inką szczególne znaczenie. Będąc uprzednio razem wynajdywałem każdą okazję do wspólnego przebywania poza przychodnią. Któregoś dnia

nadarzyła nam się okazja wyjazdu do Częstochowy. Pierwsza pojechała Inka, ja dotarłem do hotelu późnym popołudniem. Zatelefonowałem do jej pokoju i udałem się do kawiarni. Pamiętam, iż okna zasłonięte były zieloną materia, stolik zaś przy którym siedziałem, oświetlony był promieniami słońca docierającymi poprzez wąską szparę w zasłonach. Podszedł kelner, zamówiłem dwa tokaje z lodem. Po chwili miałem przed sobą dwa kielichy z mieniącym się w słońcu złotym płynem. Z niewidocznych głośników dolatywał głos Marty Mirskiej, pomyślałem: za chwilę zejdzie Inka, usiądzie obok mnie, potem pójdziemy do pokoju i to jest właśnie szczęście. Trwaj chwilo! Inka zeszła po schodach, siadła w milczeniu obok mnie. Zaczęliśmy sączyć wspaniałe wino. Potem Inka położyła mi rękę na mojej dłoni, siedzieliśmy tak, milcząc, wreszcie Inka rzekła: – Chodź.

I poszliśmy.

Odkorkowałem tokaj, rozlałem do kieliszków i wrzuciłem do nich lód.

– Pamiętasz?

– Pamiętam.

Wysączyliśmy tokaj, Inka zapytała nagle:

– Pamiętasz, jak się wtedy kochaliśmy?

– Pamiętam.

– Chciałbyś to powtórzyć?

– Inko! – w moim okrzyku było wszystko: i radość z osiągniętego sukcesu, i zachwyty z faktu, że osiągnąłem to, o czym tak bardzo marzyłem i na co tak długo czekałem. – O niczym innym nie marzę. Chodź! – zawołałem z entuzjazmem.

– Dokąd?

– Tu – zacząłem się płatać. Głos Inki brzmiał złośliwie i kpiąco. Podejrzywałem, że jej poprzednie pytanie było kpina. – Obok.

– Obok, czyli do łóżeczka – rzekła spokojnie Inka, a potem wybuchnęła głosem pełnym nienawiści. – Nie pójdziemy do łóżeczka, mój ty kochany oprawco. Najpierw pobawimy się w kotka i myszkę tak, jak ty ze mną. Nareszcie popamiętasz, co to znaczy zacząć ze mną, ty parszywy szubrawcu. – Wstała i ruszyła ku wyjściu. – Nie odprowadzaj mnie – syknęła – wyjdę sama. – Do zobaczenia – dodała tonem, w którym brzmiała groźba.

– Do zobaczenia – powiedziałem ze smutkiem. – Dzwon do mnie w razie potrzeby.

W odpowiedzi Inka trzasnęła drzwiami. Pozostałem w gabinecie sam.

W chwilę później salowa Zenobia przyniosła mi „służbową” kolację. Spojrzała na butelkę po winie z niedowierzaniem, po czym zabrała ją i rzekła:

– Nigdy nie widziałam pana pijanego i na pewno nie zobaczę, ale nie wiem, czy towarzyszka Rysia wybaczyłaby panu takie przestępstwo!

– Fakt, pani Zenobio, ma pani rację. Dziękuję. Przepraszam – zacząłem pleść bez ładu i składu, po czym siadłem przy stole usiłując zebrać myśli.

Ale nie dane mi było dojść dziś ze sobą do ładu. W chwilę później w moim gabinecie pojawił się Ludwik. Wszedł jak kot bezszelestnie, stanął przy oknie, poza obrębem światła i jął szeptać z przejęciem:

– Proszę się nie ruszać, panie doktorze, wolałbym, żeby pan się nie odwracał, chciałbym pozostać nie zauważony. Ponawiam swoją propozycję, niech pan przestanie kręcić głową, niech pan pomyśli o sobie. Obydwaj będziemy szczęśliwi: pańska ambicja własna otrzyma należną

satysfakcję, ja odzyskam zdrowie i szczęście. Aha, jeszcze jedno: jeśli zginę, znajdzie pan w kieszeni mojej marynarki kartkę. A teraz proszę się nie odwracać. Odchodzę. Jutro lub pojutrze będzie po wszystkim. Pa!

Pacjent chciał wyskoczyć na korytarz, ale go zatrzymałem.

– Panie Ludwiku! – zawołałem. – O czym pan mówi? Co panu przyszło do głowy?

Oczy Ludwika pałały. Był podniecony, na jego twarzy malował się wyraz zaciętości i determinacji. Wyglądał jak ktoś, kogo nie można powstrzymać przed popełnieniem zamierzonego przestępstwa.

– Niech pan mnie nie zatrzymuje – zawołał. – Proszę! Czy chce pan, żebym użył siły wobec pana?

– Sprawy pomiędzy ludźmi są skomplikowane i zawile – powiedziałem, pragnąc załagodzić sprawę i uspokoić Ludwika. – Dziś jest źle, jutro będzie lepiej i tak dookoła Wojtek. Nie wolno sięgać po środki tak drastyczne, nie wolno o nich myśleć! Zabraniam panu!

Pacjent zgasł. Stał przy drzwiach i jął, nie patrząc na mnie, mówić:

– Pan nie zna ludzi. Pan nie rozumie innych. Żyje pan sobą. Przeżywa pan swą miłość i niczego poza nią pan nie dostrzega. A co by było, gdybym to ja zażądał od pana wzajemności? Gdybym panu powiedział o swoim do pana uczuciu? Wie pan, co by pan zrobił? Wzruszyłby pan ramionami i pokazał drzwi. A wie pan dlaczego? Dlatego, że istnieje ona, przeklęta, parszywa Inka, którą pan bezgranicznie kocha, chociaż pańskiej miłości nie była i nigdy nie będzie warta. Tak! – zawołał nagle z teatralną emfazą – to ja mam rację! Ja, r bo kocham, bo rządzi mną miłość najprawdziwsza, zdolna do wyrzeczeń i największych poświęceń i dlatego najpiękniejsza na świecie! Żegnaj – zawołał. – Może nie zginę!

Odrzucił moją rękę z klamki i rzucił się na korytarz. Po chwili usłyszałem tupot jego nóg po schodach. Uciekł.

I znów minęło kilka dni. Rzadziej wychodziłem na podwórze, do stołówki udawałem się najwcześniej, kiedy jeszcze przy stołach było pusto, na spacery nie wychodziłem. Przesiadywałem najchętniej z pacjentami szykującymi się do wyjścia. Usiłowałem nie dopuszczać do swej świadomości wszelkiej myśli o Ince i Ludwiku.

Któregoś popołudnia radio transmitowało kolejną rozprawę przeciwko wrogom ludu wywodzącym się z wrażej, łajdackiej organizacji współpracującej w czasie okupacji hitlerowskiej z gestapo, czyli Armii Krajowej. Przypomni mi się ojciec, jego rozpacz i poczucie absolutnej i nieodwracalnej klęski i pomyślałem, iż znalazłem się na dnie jakiegoś diabelskiego kręgu, z którego wyjścia nie było. Przypomni mi się „dawny” Staszek, który pieniał się, mówiąc o reakcji. Pieniał się w dosłownym tego słowa znaczeniu. Pewnego dnia mówiliśmy o bohaterach przeszłości. Staszek jak zwykle o Pawce Korczaginie, ja i Bernard – o Zośce i Anodzie. Staszek chwycił oburącz za blat stołu i tak długo nim szarpał, aż wyrwał go z hukiem, a potem odwrócił się do nas z twarzą tak zmienioną, że ogarnęło nas przerażenie. Sądziliśmy, że zaatakowała go wścieklizna. Miał oczy wytrzeszczone, przekrwione spojówki, wywalony do połowy język, po którym spływała ślina. Pieniał się i pluł. – „Ja was – syczał – ja was obu tak urządzę, że was rodzone, reakcyjne mamusie nie poznają! Jesteście sukinsyny – ryczał wrogie ludowi sukinsyny! I marny wasz los i waszych rodzin!” To oświadczywszy splunął na podłogę i opuścił moje mieszkanie, trzaskając ile sił w ramionach drzwiami.

Staliśmy przez chwilę zdeprimowani i przerażeni. Potem Bernio

zerwał się, krzyknął: – „Pogadam z tym bydlakiem!” – i pognął za Staszkiem.

Pamiętam, że w chwilę potem w drzwiach stanął mój ojciec. Był blady, miał w oczach wyraz lęku. Wiedziałem, co go przeraziło. W trakcie kolejnych przesłuchań w UB usłyszał ostrzeżenie, iż wystarczy jakiegokolwiek doniesienie o wrogiej robocie i rozstanie się na zawsze z ludową ojczyzną. Powiedziałem: – „Tato, nie martw się. Bernio sprawę załatwi. Donosu nie będzie. „

– I co dalej? – zadawałem sobie wciąż to samo pytanie. – Co będzie z nami za rok, za dwa, za trzy, za dziesięć lat?

Bolała mnie głowa, byłem rozdrażniony, chociaż żadnego powodu do złości nie miałem, napływały wspomnienia o treści dla mnie niemiłej i upokarzającej, powołujące do życia sytuacje, o których wolałbym zapomnieć i z mojej świadomości wykreślić. – Dysforia – pomyślałem – typowa dysforia. Nie sposób się od niej uwolnić, nie sposób jej zlikwidować. Trzeba przeczekać, jak ból zęba. Albo zalać jak robaka. Ta ostatnia myśl spodobała mi się najbardziej i aby ją spełnić, ruszyłem do lodówki po piwo. Zanim jednak zdążyłem zrealizować swój zamiar, zaterkotał telefon. Zawróciłem, ująłem słuchawkę i przyłożyłem do ucha. Powiedziałem: – Słucham – zaś w odpowiedzi jakiś głos kobiecy zaczął wykrzykiwać:

– Panie doktorze, to pan? Panie doktorze, stało się nieszczęście, wypadek, nie wiemy, jak do tego doszło, obydwójce zginęli, czy pan już o tym wie? – głos na chwilę zawisł, jego właścicielka nabierała tchu, szykując się do dalszego, hałaśliwego przemówienia, z czego korzystając zawołałem:

– Szanowna pani! Nie wiem, naprawdę nie wiem, o czym pani mówi, nie słyszałem ani o wypadku, ani o niczyjej śmierci, może zechce pani uspokoić się i opowiedzieć mi spokojnie, w czym rzecz? – Przez moment trwało milczenie, następnie kobiecy głos rzekł:

– Panie doktorze, w pobliżu szpitala miał miejsce ciężki wypadek. Zginęli pańscy znajomi: pani Inka i pan Ludwik. W kieszeni marynarki denata znaleziono list do pana. To tyle.

Słuchawka szcęknęła, zanim zdołałem pozbierać myśli i zapytać o szczegóły. Chwilę stałem bez ruchu, następnie pobiegłem do samochodu i ruszyłem w kierunku szpitala.

Pierwsza myśl, jaka zaczęła drażnić mój umysł, dotyczyła mojej odpowiedzialności za wypadek, którego jeszcze sobie nie potrafiłem wyobrazić. – „Twoje rozmowy z Ludwikiem – usłyszałem towarzyszący mi we wszystkich przykrych chwilach głos wewnętrzny. – Ich treść miała związek z tym, co się stało. To one spowodowały, że pacjent Ludwik zaaranżował wypadek, w którym zginął sam. Nosił się zresztą z taką myślą, dawał mi do zrozumienia, że mnie wybawi z kłopotów i uwolni od ciężaru, od którego sam uwolnić się nie potrafiłem. Potwierdzeniem moich domniemań była kartka znaleziona w jego kieszeni”.

Wreszcie dotarłem do szpitala. Przyjął mnie nowo przyjęty lekarz stażysta.

– Ach, to pan? – wyraził swe zdziwienie. – Co pana sprowadza? Na pańskim oddziale całkowity spokój. Przed chwilą wróciłem z obchodu...

– Nie chodzi mi o oddział – odparłem. – Zawiadomiono mnie telefonicznie o wypadku. Podobno dwie osoby zginęły.

Ostatnie zdanie wypowiedziałem niepewnie, jak gdyby spodziewając

się, że usłyszę odpowiedź zaprzeczającą mojej informacji. Niestety, stażysta potwierdził wiadomość telefoniczną.

– To prawda. Świadców katastrofy nie było, milicja twierdzi, że sprawca spowodował wypadek z premedytacją, ale kto to może wiedzieć. Zajdzie pan do mnie na kawę?

– Nie, dziękuję. Do jutra, panie doktorze.

– Do jutra.

Powróciłem do domu i popadłem w zamyślenie. Nadal fakt śmierci Inki nie docierał do mej świadomości. Zdawałem sobie sprawę, że Inka odeszła, że jej nie ma, ale trzecia komponenta nowej sytuacji, ta mianowicie, iż Inki już nie będzie – jeszcze nie została przeze mnie przyswojona i zaakceptowana. Widziałem kiedyś na pewnym lotnisku ludzi, którym powiedziano, iż samolot, na który oczekują, rozbił się, nikt nie ocalał, w związku z czym nie powinni na lotnisku czekać. Tymczasem ludzie czekali. Ktoś wreszcie zawołał do recepcjonistki: – Proszę pani, niech pani powie, że to nieprawda, to omyłka. – Na co w odpowiedzi usłyszał: – Nie, proszę pana, to nie omyłka, to prawda! Ale nawet i wtedy część osób czekała nadal... Byłem w takiej właśnie sytuacji. Dowiedziałem się o śmiertelnym wypadku, przyjąłem do wiadomości, ale podświadomie uważałem, że to czyjś błąd, zła identyfikacja, ktoś chciał mi zrobić na złość, ja zaś na pewno następnego dnia zobaczę się z Inką...

Nazajutrz udałem się do szpitala. Pracowałem intensywnie, mechanicznie, pochłonięty bez przerwy jedną myślą odnoszącą się do Inki. Na oddziale nikt mnie ani o nią, na szczęście, ani o Ludwika nie pytał, nikt ich tu bowiem nie znał i nikt mojego dramatu nie znał. Inaczej było w przychodni. Tu dopadła mnie pani Ula i natychmiast obsypała mnie

pytaniem i informacjami:

– Czy pan wie, że Inka nie żyje? Że zabił ją zboczeniec, który leczył się u pana? – potem ściszyła głos i rzekła: – Czy pan wie, co u nas mówią? U nas mówią, że on to zrobił na pańskie polecenie i że pan o wszystkim wiedział. Ja zaprzeczam, ale czy to na pewno jest tak, jak mówię?

Pomyślałem, że jest to pierwsza próba wytrzymałości i że jeśli przez nią przejdę bez szwanku, dalsze nie będą już tak ostre.

– I na moje polecenie zginął? – zapytałem ironicznie. – Pani Ulo! Czy pani zdaje sobie sprawę, jak okropne i jak koszmarnie bzdury pani powtarza? – A potem, nie dopuszczając jej do głosu, mówiłem: – Pani Ulo! Nikt inny, poza panią, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo kochałem Inkę, jak bardzo była mi bliska i jak niesłychanie zależało mi na jak najbliższym z nią związku. Och, pani Ulo, tylko pani zdaje sobie sprawę, co oznacza więź erotyczna i zespolenie psychofizyczne. Nikt inny poza panią nie potrafi ocenić, ile radości daje współzycie płciowe dwojga ludzi o dobranych temperamentach i wspólnie zainteresowanych seksem. Nikt inny, tylko pani potrafi zrozumieć, jak sprawy powyższe wiązały mnie z Inką i nikt inny, jak tylko pani potrafi pojąć, jak bardzo będzie mi jej brak.

Na twarzy pani Uli pojawiły się wypieki, zaś jej oddech uległ wyraźnemu przyspieszeniu.

– Panie doktorze! – zawołała. – Czy kiedyś, w przyszłości, kiedy pan ochłonie po tak bolesnej stracie, opowie mi pan o tym – szukała szybko słów – no, o tym, wie pan, jak żeście to robili?

Wykonałem nieokreślony ruch głową, który pani Ula przyjęła jako przyzwolenie, w związku z czym na jej opasłej twarzy pojawił się wyraz szczerzego zadowolenia.

– Jeśli zaś chodzi o pana Ludwika – ciągnąłem dalej spokojnie – to nie mam tu sobie nic do zarzucenia. Był moim pacjentem, leczyłem go, jak umiałem, a to, że mnie lubił? Cóż, bywa tak, że mężczyzna za bardzo lubi drugiego mężczyznę i nic się na to nie poradzi. Przypuszczam – dodałem w zamyśleniu – że nie chodziło tu o seks, ale o poczucie zrozumienia, głębokiego zaufania, męską przyjaźń.

– On zostawił dla pana kartkę! – wybuchnęła pani Ula. – Z jej twarzy ustąpiło podniecenie, powrócił wyraz ogromnego zaciekawienia.

– Czy on panu coś obiecał?

– Nie rozumiem pani pytania – odrzekłem. – A cóż takiego mógłby mi pan Ludwik obiecać? Śmierć Inki? Swoją własną śmierć? Czy powyższe podejrzenia nie są zbyt absurdalne?

– No tak – potwierdziła pani Ula. – No tak – powtórzyła.

– Ma pan rację. A więc umowa stoi – zawołała nagle – kiedy pan ochłonie, powróci do życia, opowie mi pan wszystko? – pani Ula zawiesiła głos i zaczęła poruszać zalotnie fartuchem. – Czy mogę na pana liczyć?

Powinienem ją wyrzucić za drzwi, ale z uwagi na przyjaźń jaką mi okazywała, ograniczyłem się jedynie do stwierdzenia, iż na pewno pacjenci na nią czekają i że powinna wrócić do rejestracji.

– Fakt – stropiła się pani Ula. – Zupełnie o nich zapomniałam. To ja już pana żegnam. Do widzenia. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – odparłem z niekłamaną ulgą myśląc jednocześnie, iż w starym porzekadle: – „Boże, chroń mnie od przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sam się obronię”, jest sporo prawdy. W chwilę później opadła mnie refleksja, iż jestem niesprawiedliwy, albowiem pani Ula jest jedyną osobą, na którą będę mógł liczyć wtedy, kiedy towarzyszka Rysia i

Kompost wejda do akcji. Nikogo poza nią nie miałem.

A tymczasem towarzysze weszli do akcji wcześniej niż się spodziewałem. Obydwoje, co prawda, nie mieli uprawnień do wytoczenia mi sprawy dyscyplinarnej ani do zwołania Komisji Kontroli Zawodowej, nie mieli również podstaw do podania mnie do sądu. Uczynili co innego. Dobrali się do mnie po linii partyjnej.

Zostałem zatem zaproszony na... „Komisję Partyjno-Społeczną Wydziału Służby Zdrowia w celu omówienia – zajęć związanych z moim nazwiskiem, mogących rzutować na dobre imię socjalistycznej służby zdrowia”. Był to wstęp do późniejszych poważniejszych oskarżeń.

Dzień był pochmurny, mglisty, nadal nie było mrozu, trwała obrzydliwa chlapanina, sprzyjająca bólom głowy, gorączce, przeziębieniom, tudzież nieodłącznej przy takiej aurze, chandrze. Doczepia się wówczas jakiś obrzydliwy temat lub natrętna melodia i ani rusz nie można jej się pozbyć. W moich uszach grał dziś Cajmer, zaś męski chórek piał nieudolnie o „budowie nowego domu”.

Pokonując obrzydliwą pogodę i parszywe pieśnidło dotarłem zziębnięty i rozdrażniony do gmachu Wydziału Zdrowia, gdzie urzędowała Komisja i zająłem miejsce przy drzwiach. Po chwili do mych uszu zaczęły dobiegać słowa zacieklej dyskusji na temat szkolenia stażystów w zakresie narkomanii. Prym wiodła towarzyszka Rysia.

– Nie! – wołała. – Nie będziemy uczyli młodzieży w tym temacie, bo tego tematu w Polsce Ludowej nie ma! Nie ma i nie będzie, albowiem w socjalizmie nie ma miejsca ani dla alkoholików ani dla prostytutki, ani narkomanii. Te trzy obszary wyrodków społeczeństwa – grzmiała stentorowym, męskim głosem – to obszary kapitalizmu, zwyrodniałego

mieszczanstwa i obumarłych klas. – Nagle nastąpiła cisza i rozległo się głośne siorbanie i gulgotanie, co świadczyło o tym, że towarzyszka Rysia przepłukiwała gardło wodą mineralną. – A ten – wrzasnęła wzmocniona kuracją pitną – kto podrzuca nam taki pasztet, ten jest sługusem imperializmu, płatnym agentem mocarstw zachodnich, obcym ideowo wyrzutkiem społeczeństwa, obrzydliwym poplecznikiem działalności antysocjalistycznej, śmieszną pokraką międzynarodowego kapitalizmu i odpadem historii!

Zebrani na sali skwitowali wypowiedź towarzyszkę Rysię mocnymi oklaskami, ja zaś pomyślałem, że towarzyszka Rysia na pewno zostanie II sekretarzem, taki bowiem był zar ideowy z jej wypowiedzi, że nikt by się nie zawahał przed powierzeniem jej jak najszczytniejszych funkcji, nie tylko wymarzonego stołka II sekretarza. – Ja protestuję! – wrzasnęła towarzyszka Rysia, kiedy oklaski ucichły. – Ja protestuję przeciwko obznajmianiu młodzieży z problematyką narkomanii. I każdy, kto wierzy w socjalizm – dodała gromko – winien przyłączyć się do mojego protestu!

Głośność oklasków świadczyła, że wszyscy zebrani bez reszty poparli towarzyszkę Rysię.

Po tym frenetycznym aplauzie ktoś otworzył drzwi i zawołał:

– Doktor Sierpski! Prosimy!

Wszedłem i stanąłem przed obliczem Komisji. Za stołem siedzieli: towarzysz Kompost, towarzyszka Rysia i dwóch wyźłów, których usłużne i gotowe do wszelkich zleceń miny świadczyły, że nie będę miał łatwej przeprawy. Kompost wskazał mi ręką krzesło przed stołem i rzekł:

– Witam obywatela Sierpskiego w imieniu Komisji Partyjno-Społecznej, której mam zaszczyt przewodniczyć. Zechciejcie kolego

Sierpski zająć miejsce. O tak: naprzeciw mnie. W porządku. Dziękuję – Kompost był uprzedzająco grzeczny, z ust płynęła mu sama słodycz.

– Wezwaliśmy was – wyjaśnił – aby uściślić pewne niepokojące nas sprawy.

Spojrzałem w kierunku okna. Było małe, zachlapano błotem, zakratowane. Ściany były szare, obdrapane, miejscami odlatywał z nich tynk. Nad Kompostem wisiał Bierut, pod nim na szafce, niczym na ołtarzyku, znajdował się portret Stalina. Wydawało mi się, że obydwaj spoglądają na mnie podejrzliwie.

– Jakież to sprawy? – zapytałem zaczepnie. Nie byłem dyplomatą, nie miałem talentu Bernia. Kiedy ponosiła mnie złość, zaczynałem popełniać błędy. – O jakie sprawy chodzi? – powtórzyłem. – O nerwizm, leczenie snem, błędy terapii?

Kompost zachował stoicki spokój. Nie wybuchnął. Spoglądał na mnie swoimi lekko wyłupiastymi ślepiami, jak gdyby pragnąc prześwidrować mnie na wylot. Czułem, że się cieszy. Uważał, że ma mnie w ręku, w związku z czym będzie celebrował swe czynności, smakował pełnię władzy, przeciągał swe czynności, ile się tylko da, a wszystko po to, aby mnie maksymalnie upokorzyć i pognębić.

– Pytacie, kolego Sierpski – rzekł nagle Kompost – czy i tym razem chodzi o nerwizm? No cóż – Kompost wydał górną wargę, następnie mlasnął głośno i powiedział. – I tak, i nie. I tak – bo chodzi o postawę, i nie, bo nie o nerwizmie będzie dzisiaj mowa. Ale póki co, to przypomnę tu, z tego miejsca pozostałym towarzyszom, iż nerwizm był doktryną niebywale obiecującą. Tak obiecującą, że uległo mu mnóstwo autorytetów. A że wśród nich znalazłem się i ja? Cóż – Kompost westchnął, opluwając

sobie koszulę – że i ja dałem się wprowadzić w maliny? – Ponownie westchnął, po czym wstał i jął krążyć pomiędzy mną a nieco wystraszonymi jego zachowaniem asesorami. – Widzicie, towarzysze, to jest tak. Musicie zrozumieć, że wychodząc naprzeciw ludzkim oczekiwaniom, wzięliśmy na siebie nadludzki wysiłek dźwignięcia z upadku fizjologii i patofizjologii, a tym samym medycyny polskiej. I przeprowadziliśmy bolesną do granic wytrzymałości samobiczującą krytykę, z której wyszliśmy oczyszczeni, wolni, otwarci na nowe horyzonty i idee. – Kompost wyjął z kieszeni fajkę, mocnym uderzeniem o brzeg stołu opróżnił jej zawartość na podłogę, następnie nabił tytoniem z ozdobnej torebki i zapalił zawartość. – Tak, towarzysze – rzekł, potoczywszy wzrokiem po zebranych. – Tak to jest w tym naszym krótkim życiu. – Następnie sięgnął po teczkę i wyciągnął z niej znaną mi z poprzednich spotkań na terenie kliniki księgę. Chwilę szukał stronicy, wreszcie znalazłszy ją, zawołał: – O, już mam, posłuchajcie!

– a następnie wyjaśnił. – To, co wam przeczytam ma charakter uniwersalny i zawsze będzie stanowiło podstawę do szkolenia. A więc oto czytam zapowiedziane posłanie:

Najbliższe otoczenie Sztern składało się z lizusów (Kassil, Szatensztejn, Chwoles, Rosin, Cejtlin), którzy sztucznie rozdmuchiwali jej rzekomy autorytet naukowy. W rzeczywistości zaś wyszło na jaw, że Sztern – to pseudonaukowiec, że w ciągu wielu lat zaśmiecała tylko naukę radziecką swymi licznymi i natarczywymi wystąpieniami i wypowiedziami. Sztern krzewiła na naszym gruncie zaciekły kosmopolityzm, reprezentowała brak wszelkich zasad politycznych i korzenie się przed fałszywymi autorytetami

zagranicznymi. W związku z tym Sztern i jej zwolennicy całkowicie zignorowali krytykę, z jaką błędy ich spotykały się ze strony radzieckiej społeczności naukowej, nie potrafili więc znaleźć własnej drogi do przewyciężenia swych omyłek. Wszystko to raz jeszcze ilustruje myśli – Kompost wstał i jął czytać z namaszczeniem – które wypowiedział nasz genialny wódz Józef Stalin na temat znaczenia krytyki rozwoju doktryn naukowych, na temat szkodliwości kast i reżimu Arakczejewa w nauce. Sztern i jej tak zwaną naukę w sposób najbardziej typowy charakteryzuje właśnie kastowość i reżim A rakczejewa, wprowadzony przez nią przy poparciu kilku jej uczniów!

– To byłoby na tyle – rzekł, siadając Kompost. Schował książkę i zapytał: – Jak sądzicie, towarzysze, dlaczego przypomniałem wam powyższe świetlane słowa? – I nie czekając na reakcję Rysi i wyźłów, wyjaśnił: – Otóż dlatego, towarzyszeko Rysiu i wy towarzysze asesorzy, musicie pamiętać, iż zrobiłem wszystko, aby przekonać naszego niedoświadczonego jeszcze kolegę, lekarza Sierpskiego o znaczeniu krytyki i jej roli w podejściu do wszystkiego, co dzieje się w medycynie.

– I nie tylko w medycynie! – poparła Komposta towarzyszka Rysia. – W całym naszym życiu społecznym nic bez krytyki i samokrytyki obyć się nie może. A w szczególności w życiu społecznym państwa socjalistycznego!

– Właśnie! – potwierdzili swe identyczne z poglądami Komposta przekonania asesorzy. – Tylko krytyka i samokrytyka! Wspaniale pan wychowywał tego młodego nicponia!

Zanim zdołałem zaproponować przeciwko inwektywom w rodzaju

„nicpoń”, co mi kompletnie nie odpowiadało, na salę wszedł niski, chudy mężczyzna o twarzy starego Chińczyka i manierach cwanego wygi. Poznałem go natychmiast i bezbłędnie. Był to instruktor Komitetu Wojewódzkiego, tak zwany bezpartyjny-dyspozycyjny, zajmujący się zagadnieniami moralności pracowników służby zdrowia, ich etyką i socjologią. Na temacie się nie znał, plótl „okrągłe” dyrdymały, podejmował się każdego tematu, jaki mu zaproponowano, w zamian za co otrzymywał delegacje zagraniczne dokąd chciał i kiedy chciał, w związku z czym przesiadał się z jednego samolotu na drugi, zawsze z istotnym i znaczącym referatem pod pachą.

Na widok starego lisa Kompost podniósł się, po czym wyskoczył zza stołu i jął witać „szlachetnego obywatela Kórkę”, dostojnego przedstawiciela humanistyki i kultury w służbie „Partii, Narodu i Państwa”. – Witamy pana, witamy – powtarzał na przemian z towarzyszką Rysią, a po powitaniach oznajmił: – Z waszych profesorze światłych rad i pouczeń będziemy korzystać w trakcie naszej poszlakowej rozprawy przeciwko lekarzowi Sierpskiemu i waszej opinii będziemy posłuszni. Czy możemy zaczynać? – zwrócił się najpierw do profesora Korke, potem do towarzyszki Rysi, a w końcu do wyźłów asesorów.

– Możemy! Możemy! – rozległy się okrzyki i Kompost rozpoczął swój dawno przygotowany elaborat:

– Szanowni zebrani! Sprawa wygląda tak: doktor Sierpski przyjaźnił się ze zmarłą w tragicznym wypadku samochodowym asystentką socjalną naszego szpitala, panną Inką. Ich przyjaźń była bardzo bliska, zaangażowanie doktora Sierpskiego było coraz intensywniejsze, a przed śmiercią – bliskie obłędu. Wszyscy ten stan obserwowaliśmy i wszyscy

zadawaliśmy sobie pytanie, do czego taka sytuacja doprowadzi. Jak wiemy, tuż przed śmiercią pani Inka porzuciła doktora Sierpskiego – Kompost westchnął sztucznie i potoczył po zebranych długim, pełnym zaznaczonego żalu i głębokiego przejęcia, wzrokiem. – Ale – tu przełknął ślinę i wytarł nos starannie i dokładnie, co siedzący obok towarzysze przyjęli z wyraźnym aplauzem, odtąd bowiem nie groziło im oplucie ich czaszek. – Ale – powtórzył Kompost i ponownie przełknął ślinę – wyłania się kolejna kwestia: oto doktor Sierpski miał przyjaciela: oddanego sobie mężczyznę, pacjenta, zboczeńca, o dość dziwnym do doktora Sierpskiego stosunku. – Kompost zawiesił głos, ja zaś pomyślałem: – Cóż za dziwny konglomerat: Inka, jej zażyłość z Ludwikiem, oddanie Ludwika w stosunku do mojej osoby, oto sprawy, z którymi nie zdołałem się jeszcze oswoić i przejść nad nimi do porządku dziennego. Przede wszystkim nie potrafiłem sobie uświadomić faktu, że Inki nieodwracalnie nie ma i nigdy już nie będzie.

Odwieczny dylemat wszystkich ludzi tracących swych najbliższych polega na niemożności zaakceptowania rzeczywistości. Wciąż oczekują na jakiś cud, niezwykle zdarzenie, którym będzie powrót zmarłego. Tłumaczymy sobie, iż wyjechał, wyszedł, opuścił mieszkanie na chwilę, moment, dzień i miesiąc, po czym zaczynamy wysiadywać godzinami na cmentarzu, jak gdyby utracony przez nas bliski był ukryty poza płytą grobową i tylko czekał, aby pojawić się między nami ponownie.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić siebie przed grobem Inki, nie rozumiałem faktu odejścia Inki. To było niemożliwe. Miałem do czynienia z kłamstwem. Omyłką. Czyjąś potworną złośliwością. Nie. Nie chciałem o czymś takim myśleć. Życie bez Inki nie miało sensu. Nie mogłem takiej

sytuacji zaakceptować.

– Ów pacjent – podjął znów swą opowieść Kompost – gotów był, jak sam twierdził, „zrobić dla swego dobroczyńcy wszystko”. – Kompost pokiwał znacząco głową – Tak. – Potwierdził, pochrzając parokrotnie. – Nie będę wniknął w rozpatrywanie pojęcia „wszystko”.

Cisnie się jednak na usta pytanie: co oznaczały słowa zabitego: *Panie doktorze, wykonałem wyrok. Jestem wolny, pan również. Zawsze Panu oddany. Zen.* Co oznaczała treść powyższej informacji? Dlaczego zmarły umieścił kartkę w swej kieszeni przed wypadkiem? Dlaczego, jak stwierdziła MO, doprowadził do czołowego zderzenia? Oto pytania, na które poza sądem i milicją powinna odpowiedzieć obiektywnie nasza Komisja. Proponuję, aby teraz zabrał głos profesor Korka.

Profesor był niski, chudy i niepozorny, w związku z czym usiłował zwrócić na siebie uwagę różnego typu oratorskimi sztuczkami w rodzaju niespodziewanych zapytań, nagłych przerywań toku wypowiedzi, zawieszania głosu, jego podnoszenia i natężania wraz z unoszeniem obu rąk ku górze, chrząkaniem, ba, nawet krótkimi spacerami na podium z palcem przyłożonym do policzka, co miało znamionować nagłe zbieranie myśli etc, etc.

– Panie przewodniczący, pani Rysiu, panowie – zagaił cichym, modulowanym głosem. – Sprawa do której mnie wezwaliście, należy do obszaru spraw najtrudniejszych. Zapytacie: dlaczego? Odpowiem: ta bowiem sprawa dotyczy niezbadanej dotychczas i nie rozpoznanej sfery zależności pomiędzy lekarzem psychiatrą, a jego pacjentami. Albowiem – profesor zaczynał podnosić głos i wpadać w tak zwany ferwor – co by się nie rzekło i czego by się nie uznało, zależność taka istnieje. Istnieje i

istnieć będzie. Pacjent bowiem chory psychicznie czy jak wolicie umysłowo jest jak dziecko, jak kłębek lęku, niepokoju, stresu i rozdrażnienia. Ów nieszczęsny człowiek boi się: od chwili przestąpienia drzwi szpitala lub przychodni może go spotkać wszystko co najgorsze. W przychodni może dostać skierowanie na oddział zwany oddziałem czubków, na oddziale może dostać wstrząsy, a jak one nie pomogą, może zostać w tym przybytku trwogi na długie lata. Stąd nienawidzi lekarzy i uważa ich za przedstawicieli grupy ucisku. A z drugiej strony – profesor zrobił długą, znaczącą pauzę – ci sami ludzie – rzekł z nieszczerym uśmiechem, któremu chciał nadać wyraz bezstronnej życzliwości – ci sami ludzie – powtórzył – mogą stać się niezwykłymi przyjaciółmi lekarzy. Ludźmi serdecznie im oddanymi, podporami, powiernikami, ucieleśnieniem nadziei i wiary. I wtedy! – profesor podniósł rękę i wycelował palcem w lampę, co spowodowało, że wszyscy zadarli głowy do góry i utkwili wzrok w szklanej, pokrytej grubą warstwą kurzu kuli. Po chwili ręka profesora opadła, zaś jego palec wskazał na mnie. I wtedy – powtórzył z emfazą profesor – tak uzależniony pacjent może wykonywać wszystko, czego żąda lekarz. Ba.

– zaskrzeczał profesor – lekarz może niczego nie żądać! Taki pacjent może wyprzedzić jego potrzeby i wychodzić mu naprzeciw. Uważam, że z takim mechanizmem działania mogliśmy tu mieć do czynienia.

– Profesor siadł i jał wpatrywać się w zakratowane okienko z taką miną, jak gdyby zrzucił z siebie jakiś ciężar, krępujący go kaftan lub łańcuchy, którymi był zniewolony przez jakieś obce mu i bardzo wrogie siły. – Ale to oczywiście wcale nie pomniejsza winy doktora Sierpskiego – dodał po chwili. – Albowiem mógł sprawie zapobiec i powstrzymać

szaleńca, on zaś tego nie zrobił. I to – zakończył zdecydowanym głosem profesor – wymaga wyjaśnienia. Właśnie to!

Kompost zerwał się z krzesła, chwycił profesora w ramiona i zaczął mu wylewnie i gorąco dziękować za mądrość, wiedzę, przenikliwość i rozwagę. Kiedy zaś Kompost obśliniał gębę profesora, towarzyska Rysia zwróciła się do mnie ze słodkim zapytaniem:

– A może by tak pan, panie kolego Sierpski, coś powiedział? Palnąłbym prawdopodobnie coś ostrego i złośliwego, gdyby nie wydarzenie, które całkowicie zmieniło przebieg zebrania. Oto bowiem na salę wpadł Staszek i stanąwszy przed stołem prezydyjnym, zawołał:

– Towarzysze. Cisza! Przysłał mnie towarzysz Zbug! Nie wiedziałem, kim był towarzysz Zbug i co sobą reprezentował, natomiast na zebranych jego nazwisko wywarło piorunujące wrażenie. Kompost przestał przytulać profesora, odwrócił się błyskawicznie i zawołał:

– Czego żąda towarzysz Zbug?

– Towarzysz Zbug żąda przesłuchania pewnej pani – odparł spokojnie Staszek. – Owa pani czeka za drzwiami.

– Prosić! – wrzasnął Kompost – natychmiast ją tu prosić! Staszek uchylił drzwi, kiwnął ręką i wkrótce przed nami stanęła...

Arna! Miała na sobie żółtą bluzeczkę, krótką, brązową spódniczkę, ciemne pończochy, modne pantofle, w ręku trzymała torebkę z wężowej skóry. – Lokalówka – pomyślałem spoglądając ze zdumieniem na swą pacjentkę – prawdziwa lokalówka w pełnej krasie. Kompost przyjrzał się Arnie ze zdumieniem nie mniejszym niż ja, po czym zapytał:

– Co ta – Kompost miał na końcu języka słowo k... , ale powstrzymał się i zapytał: – Co ta panienska tutaj robi?

– Ta panienska – odrzekł Staszek – przyszła na życzenie towarzysza Zbuga. A wy, towarzyszu Kompostowski – zwrócił się ostro do Komposta – chcieliście zapewne rzec: – dzień dobry pani, dzień dobry panu. Nieprawdaż?

– Tak – potwierdził Kompost, po czym ryknął – nie. To znaczy nie. Co to jest? – zwrócił się do zebranych. – Co to wszystko znaczy? Po co oni tu przyszli?

– Oni to zaraz wyjaśnią – rzekł z wyszukaną grzecznością Staszek. – Panno Amo – zwrócił się do Amy i wskazując niedbałym ruchem ręki Komposta, zapytał: – Czy pani zna tego pana?

– Tak – Ama potwierdziła pytanie i uśmiechnęła się szeroko.

– Skąd?

– Z prywatek.

– Protestuję! – wrzasnął Kompost. – Wysoka Komisjo! To poniżej pasa!

– Oddalam protest – rzekł nagle profesor. – Proszę – zwrócił się do Amy – niech pani kontynuuje.

– Co mam kontynuować? – zapytała Ama.

– Wspomniała pani o prywatkach – rzekł Staszek. – Czy może nam pani wyjaśnić o jakie prywatki chodziło?

– Oczywiście – odparła Ama – o prywatki u Komposta.

– Kto na nich bywał?

– Mnóstwo ludzi. Inka też.

– Zmarły także?

– Także.

– Co działo się na tych prywatkach? – zapytał z wyraźnym zaciekawieniem profesor Korca.

– Jak to co? – roześmiała się szeroko Ama. – To, co się robi na prywatkach.

– To znaczy? – oczy profesora pojaśniały. Zaczął się nerwowo oblizywać.

– To znaczy, że się rozbiera i się ciupcia. Kompost zerwał się z krzesła i jął wymachiwać rękami.

– Ja protestuję! Ja złożę skargę! To zmowa! Spisek! Łajdactwo! Rozbój!

Arna wzruszyła lekko ramionami.

– Kiciu – zapytała z rozkosznym uśmiechem. – Mam podać daty i adresy?

– Ja powiedziałem: to łajdactwo!

– Może – zgodziła się potulnie Ama. – Ale wspólne!

– Proszę pana – zapytała nagle Staszka towarzyszka Rysia. – W jakim celu przepytuje pan panią Amę. Do czego pan zmierza?

– Zaraz pani zrozumie – odparł Staszek. – Pani Amo – zwrócił się do mojej byłej pacjentki. – Czy nie zechciałaby pani nam wyjaśnić, co łączyło pana Komposta z panią Inką?

– Proszę bardzo – odparła Ama. – Żyli ze sobą i robili ze wszystkich balona.

Profesor poruszył z dezaprobatą ramionami.

– Cóż to za prymitywne wyrażenia. I to w socjalistycznej instytucji. Czy nie może pani wyrażać się taktowniej? I jaśniej?

– Chodzi o to, panie profesorze – odparła ugrzecznionym tonem Ama – że oni uzgadniali wszystkie posunięcia.

– Jakie posunięcia? – zapytał profesor.

– Kiedy na przykład jechali do Krakowa, Inka mówiła doktorowi Sierpskiemu, że jedzie do Sopotu i na odwrót. Kiedy jechała do Sopotu z doktorem Sierpskim, mówiła Kompostowskiemu, że jedzie do Krakowa.

Spojrzałem na Komposta. Pomyślałem, że obydwaj mamy jednakowe miny. Mój przeciwnik siedział znużony, zdezorientowany, z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Moje zaskoczenie nie było mniejsze.

– Panowie! – zawołał Kompost. – To wariatka!

– Może i jestem wariatką – odparła Ama. – Fakt, że się lecę, ale to nie ma nic do rzeczy. Nic nie zmieni takiego na przykład faktu, że treść kartki, jaką miał przy sobie Ludwik Zen w czasie wypadku, wyszła od pana, panie Kompostowski!

Zapadło milczenie. W pobliskiej szkole zaterkotał dzwonek, rozległy się okrzyki, gwizdy, jakieś wołania i wyzwiska, ktoś zapuścił motor, na kracie okienka usiadły dwa wróble. Ama zapytała:

– Czy jestem jeszcze potrzebna?

Zebrani popatrzyli na siebie pytająco, ale żaden nie zabrał głosu. Arna powtórzyła pytanie jeszcze raz, a kiedy i po nim odpowiedziało jej milczenie, odwróciła się i wyszła.

Natychmiast po jej wyjściu członkowie Komisji zerwali się z krzeseł, podeszli do okna i zaczęli zapamiętale szeptać. Do naszych uszu dolatywały jedynie pojedyncze głosy: – „Nie przesadzajcie, towarzyszu Kompostowski”, „W zasadzie macie rację, towarzyszu Kompostowski”, „Gdyby nie wy, towarzyszu Kompostowski, to by zginęli, jak te marne muchy”, „Właśnie, a wy wyszliście im naprzeciw”. „Tak – potwierdził ostatnią opinię Kompost – Ja zawsze wsłuchuję się w głosy dołu i wychodzę im naprzeciw. „Potem towarzysze ściszyli głosy i po podjęciu

jakiejś decyzji wrócili za stół. Siedli, pierwszy zabrał głos Kompost:

– Szanowni towarzysze – powiedział – sprawa jest trudna, niejasna, wymaga szeregu ustaleń i dodatkowej weryfikacji. Stąd też prosimy was wszystkich tu zebranych o wykonanie następujących czynności: po pierwsze – przeprowadzenie dochodzenia, po drugie: wyciągnięcie wniosków z tegoż dochodzenia, po trzecie: przesłanie raportu do naszej Komisji Partyjno-Społecznej. Wtedy spotkamy się ponownie i zapoznamy się z całokształtem waszych działań i zajmiemy wspólne, partyjno-społeczne stanowisko.

Miałem chęć zapytać: – I wyjdziecie nam naprzeciw? Zrezygnowałem jednak z wypowiedzi, która mogłaby być potraktowana za prowokację. A tymczasem Kompost znów rozpoczął orację:

– Wiecie, to jest tak: kiedy się idzie przez rzekę o rwącym nurcie, potrzeba przewodnika. Dobrego przewodnika. Kiedyś takim przewodnikiem dla lekarzy były Izby Lekarskie, potem jednak okazało się, że w socjalistycznej rzeczywistości trzeba czegoś silniejszego, głębszego, sięgającego istoty rzeczy, obejmującego rzeczywistość antropocentrycznie, zgodnie z postulatami humanizmu socjalistycznego, naszej socjalistycznej moralności i kultury. Tym czymś głębszym, silniejszym i sięgającym w głąb naszego jestestwa są nasze komisje. Dlatego miejmy do siebie zaufanie, ufajmy sobie i wychodźmy oddolnym inicjatywom naprzeciw. Myślę, że na dziś to dosyć. Wystarczy. Czy są jakieś pytania?

Pytań nie było, więc zebranie zostało zakończone i uczestnicy opuścili pospiesznie salę. Zostałem sam na sam ze Staszkiem. Mój uczelniany kolega miał minę człowieka maksymalnie zadowolonego z siebie.

– Stary! – zawołał, klepiąc mnie po ramieniu – mam dla ciebie

wspaniałą wiadomość. Coś, co cię uraduje i napełni szczęściem. Zgadnij, co mam na myśli.

– Wiem – odparłem. – Masz na myśli Amę. Gdzie ją znalazłeś?

– W burdeliku zwanym hotelem – odparł Staszek. – Powiedziała, że ma wobec ciebie zobowiązania, więc ją tu wziąłem. Ale nie o Amę mi chodzi. Mam coś ważniejszego – rzekł, zawieszając na moment głos. – Chodzi o Komposta! – wykrzyknął po chwili. – Skurwiel nareszcie wpadł!

– Co to znaczy?

– To znaczy, że towarzysz doktor Kompostowski, to nie żaden doktor, tylko zwykły felczer. Ot, wracz. Wojenny wracz.

– Kto na to wpadł?

– Jego nieoceniona przyjaciółka, towarzyszka Rysia. Marzy się jędzy jego miejsce, stąd taki atak.

– Co będzie z moją sprawą?

– Nie będzie twojej sprawy. Komisja rozleci się jak domek z kart. Nikt jej nie pozbiera, bo chętnych nie będzie. Cieszysz się?

– Zdziwiałem – powiedziałem. – Nigdy bym się nie spodziewał...

– W tym kraju wszystko jest możliwe – rzekł Staszek. – Od największych tragedii do najgłupszych komedii. Wszyscy znamy i jedno i drugie.

Chciał się pożegnać, ale go zatrzymałem.

– Co z twoim ojcem? Staszek posmutniał.

– Nie wiemy. Informacja nie daje odpowiedzi. Myślę, że go zamordowali.

– Co zrobisz?

– Nic. Trzeba czekać. Wiesz – zastanowił się nagle. – Twój tata

opowiadał kiedyś o Murnau. Żołnierze z AK, Iwowiacy śpiewali taką piosenkę: – „Ale kiedyś bomba pęknie, pęknie mądrze, w samym jądrze, wtedy ten z wąsami zmięknie i powrócim do swych chat”. Może kiedyś dożyjemy takich czasów. Cześć! – zawołał i swoim zwyczajem pognał gdzieś przed siebie.

* * *

Nazajutrz udałem się do dyrektora Dobiały. Ten powitał mnie z niekłamana radością.

– Witam pana, witam – wołał ściskając mnie mocno. – Wiem o wszystkim. Co za szczęście – mówił. – Co za szczęście – powtarzał, sadzając mnie w fotelu naprzeciw biurka. – Wszyscy wiedzieli, że Kompost to wojenny felczer i wszyscy milczeli. Ja też wiedziałem i też milczałem – na chwilę zamilkł, po czym westchnął i rzekł: – Takie czasy. – Sięgnął po koniak i rozlał aromatyczny płyn do kieliszków.

– Za koniec pańskiej gehenny – wzniósł toast. – Za koniec pańskich cierpień: stażu u czubków, niepokoju, płaczu, depresji i wszelkich świądów. Czy jest pan szczęśliwy?

– Szczęśliwy? – powtórzyłem, spoglądając ze zdumieniem na dyrektora. – Ja? – zapytałem nieporadnie. – Panie doktorze!

– zawołałem. – Inki nie ma. Inka zginęła. Straciłem Inkę. Dyrektor spoglądał przez moment w kierunku okna. Po brudnej szybie spływały płatki śniegu, rysując zabawne esy-floresy.

– To przykre – rzekł wreszcie. – Cóż – dyrektor zawiesił głos na dłuższą chwilę – pacjentowi powiedziałbym, że trzeba pracować. Pracować dzień i noc. Jak najprędzej i ponad siły. Wtedy się o kłopotach

zapomina. Wtedy czas koi. Innego wyjścia nie ma.

Przypomniała mi się Inka we wrzosach. Było to nasze ostatnie wyjazdowe spotkanie, jak zwykle pełne uniesień, seksu, oddania. Poczułem nagły skurcz gardła. Znow ogarnęła mnie fala samooskarżeń. A może byłoby inaczej, gdybym w porę powstrzymał Ludwika?

– Ona była moim światłem – powiedziałem. – Innego nie było. Ona pozwalała mi zapomnieć o tym, co było i co jest wokół nas. To było światło w mroku.

Dyrektor przez moment milczał. Pochodził z Wileńszczyzny i w każdej chwili mógł iść za kratki. Uważał na każde słowo, ale dziś czułem, że pragnie narzucony sobie system milczenia przełamać.

– Mrok nie minie – rzekł wreszcie. – Przynajmniej na razie. Musimy czekać. Jak długo? – zapytał po chwili. – Tego nie wiem i nikt inny nie potrafi tego przewidzieć. Czy dożyjemy jakiejś zmiany? – dyrektor westchnął. – Nie wiem i nikt tego również nie wie. Czy może mi pan powiedzieć – zapytał nagle – jakie ma pan plany na przyszłość?

Ktoś puścił za ścianą radio i usłyszałem głos Odolskiej.

– Znow kogoś zamordowali – pomyślałem. – Po Kompostowskim przyjdzie drugi Kompostowski, potem trzeci i czwarty i każdy gorszy od swego poprzednika i tak da capo al fine. W tym kraju nie może być inaczej.

– Chcę zostać u pana – odrzekłem. – W tym szpitalu. U czubków.

Dyrektor nie był zaskoczony.

– Cieszę się – powiedział – jest pan tu potrzebny. Potem zaproponował wizytację oddziału ostrego.

– Jest tu pacjentka – wyjaśnił – która wymaga pańskiej pomocy.

Ruszyliśmy. Na sali bez klamek leżała... Arna. Sztywna, nieruchoma, milcząca. Woskowa mumia. Stupor.

Usiadłem. Ująłem dziewczynę za rękę.

– Amo – powiedziałem łagodnie. – Wiem, że mnie widzisz i słyszysz. Zapamiętaj, co powiem: ten stan minie. Wyzdrowiejesz. Musisz tego chcieć wraz ze mną i z nami wszystkimi. Zgoda?

Odpowiedziało mi milczenie. Wzrok Amy skierowany był gdzieś poza mną. Twarz jak wykuta z metalu pozostawała bez najmniejszego drgnienia.

Nachyliłem się i ucałowałem ją mocno w zimny, sztywny policzek.

KONIEC